

Italo Calvino

BARON DRZEWOŁAZ

Tłum. Barbara Sieroszevska

Dnia 15 czerwca 1767 Cosimo Piovasco di Rondo, mój brat, po raz ostatni zasiadał pośród nas przy stole. Pamiętam, jakby to było dzisiaj. Siedzieliśmy w sali jadalnej naszego wiejskiego domu w Ombrosa, tuż za oknami widniały rozłożyste konary ogromnego ostrolistnego dębu. Było południe, nasza rodzina starym obyczajem zasiadała do stołu o tej porze, na przekór szerzącej się w wielkopańskich domach modzie obiadowania późnym popołudniem - modzie przeszczepionej z francuskiego dworu królewskiego, gdzie wcześniej wstawać nie lubiono. Wiał, pamiętam, wiatr od morza, liście drzew poruszały się z szelestem. Cosimo rzekł: „Powiedziałem, że nie chcę, i nie chcę!” - i odsunął od siebie talerz ślimaków. Było to nieposłuszeństwo poważne, wręcz niesłychane.

U szczytu stołu siedział baron Arminio Piovasco di Rondo, nasz ojciec, w zasłaniającej uszy peruce a la Ludwik XIV, równie przestarzałej jak wiele innych rzeczy w jego otoczeniu. Pomędzy mną a moim bratem siedział ksiądz Fauchelafleur, jałmużnik domowy i nasz, chłopców, preceptor. Miejsca naprzeciw nas zajmowały: nasza matka Konradina di Rondo, zwana Generalessą, i nasza siostra Battista, świecka mniszka. Na drugim końcu stołu, naprzeciw naszego ojca, siedział ubrany turecką modą adwokat, cavaliere Enea Silvio Carrega, administrator naszych dóbr, wciąż projektujący jakieś nowe systemy nawadniania, a zarazem nasz przyrodni stryj - brat naszego ojca z nieprawego łoża.

Od dwóch miesięcy, odkąd Cosimo skończył dwanaście lat (ja miałem osiem), zaczęliśmy być dopuszczani do stołu rodziców; właściwie to ja przedwcześnie skorzystałem z tego awansu, gdyż nie chciano, żebym jadał samotnie. Słowo „skorzystałem” nie jest tu odpowiednim określeniem: w rzeczywistości zarówno dla Cosima, jak dla mnie skończyły się z tą chwilą dobre czasy i obaj z żalem wspominaliśmy posiłki spożywane w naszym pokoju, gdzie byliśmy sami z księdzem

Fauchelafleur. Ksiądz był to chudy, pomarszczony staruszek, powszechnie uważany za jansenistę; rzeczywiście uciekł był z ojczystego Delfinatu, gdzie zagrażał mu proces ze strony inkwizycji. Ale owa niezłomna siła charakteru, którą u niego wychwalano, ta surowa dyscyplina wewnętrzna, jaką sobie i innym narzucał, wciąż ustępowały przed naturalną skłonnością do biernej obojętności, do pozostawiania każdej rzeczy własnemu jej biegowi, jak gdyby długie medytacje ze wzrokiem wbitym nieruchomo w pustkę przynosiły mu tylko nudę i zniechęcenie i jakby w każdej najbliższej nawet trudności dostrzegał oznakę jakiejś fatalnej siły, której po prostu nie warto się przeciwstawiać. Nasze posiłki w towarzystwie księdza Fauchelafleur rozpoczynały się zawsze od budujących oracji, od poruszania sztukami w sposób pełen uroczystego, milczącego skupienia i biada temu, kto by podniósł oczy znad swego talerza albo wydał najłżejszy bodaj odgłos siorbania przy zupie. Ale już pod koniec pierwszego dania ogarniało księdza znużenie i nuda, wlepił pusty wzrok w przestrzeń i mlaskał językiem przy każdym łyku wina; zdawało się, że dostępne mu są tylko najbardziej powierzchowne, przypadkowe i nieważne wrażenia. Przy drugim daniu mogliśmy już śmiało jeść rękami, a pod koniec rzucaliśmy w siebie ogryzkami gruszek, podczas gdy nasz preceptor pomrukiwał tylko raz po raz leniwie i bezradnie: „*Oooo, bien! ...Ooo, alors!*”

Teraz, odkąd siadaliśmy do stołu razem z wszystkimi, mieliśmy wciąż przed oczyma wszelkiego rodzaju rodzinne niesnaski - ten smutny rozdział księgi dzieciństwa; nie było też końca strofowaniom, ojciec i matka nie spuszczała nas z oczu: a to niewłaściwe manewrowanie sztukami przy kurczętach, a to siedź prosto, a to łokcie ze stołu, bez końca; i na dodatek ta antypatyczna dziewczyna, nasza siostra Battista. Nieprzerwany szereg połajanek, szturchańców, kar, dokuczania ciągnął się aż do tego dnia, kiedy Cosimo odmówił jedzenia ślimaków i postanowił odciąć swoje życie od naszego.

Z tego narastania wzajemnych uraz rodzinnych zdałem sobie sprawę dopiero później: wtedy miałem zaledwie osiem lat, wszystko wydawało mi się zabawą, nasza

dziecinna walka przeciwko dorosłym była rzeczą zwykłą u takich jak my chłopców, nie rozumiałem wcale, że upór mego brata kryje w sobie coś znacznie głębszego.

Nasz ojciec baron był człowiekiem raczej nieprzyjemnym, chociaż w gruncie rzeczy nie był zły. Nieprzyjemnym dlatego, że całym jego życiem władały idee dziwnie z sobą sprzeczne, jak to nieraz bywa w epokach schyłkowych. Niespokojne czasy wywołują u wielu ludzi potrzebę takiejże niespokojnej ruchliwości, ale skierowanej w przeciwną stronę albo wręcz schodzącej na bezdroża; tak też i nasz ojciec, przy tym wszystkim, co w owym czasie wrzało na świecie, wnosił pretensje do tytułu d'Ombrosa i o niczym innym nie myślał, tylko o genealogiach, sukcesjach, rywalizacjach i przymierzach z bliższymi i dalszymi potentatami.

Toteż życie w naszym domu było czymś w rodzaju nieustającej próby generalnej przyjęcia na Dworze - nie wiadomo, czy na dworze cesarzowej Austrii, króla Ludwika, czy ostatecznie nawet domu Sabaudzkiego, o którym pogardliwie mówiono „ci górale w Turynie”. Kiedy podawano indyka, ojciec śledził bacznie, czy krajemy go i oddzielamy mięso od kości zgodnie z nakazami królewskiej etykiety, a ksiądz wołał raczej nie próbować nawet pieczystego, niż dać się schwytać na jakimś błędzie - on, którego obowiązkiem było wtórować ojcu w strofowaniu nas. Co się zaś tyczy cavaliere adwokata Carregi, odkryliśmy przy tej okazji jego obłudę: całe smakowite udka chował w zakamarkach swojej tureckiej czamary, aby potem móc je ogryzać swobodnie w zaciszu winnicy; i moglibyśmy przysiąc (choć nigdy nie udało nam się przychwycić go na gorącym uczynku, tak zwinne i szybkie były jego ruchy), że przychodził do stołu z kieszenią pełną kostek oczyszczonych już z mięsa i zostawiał je na talerzu zamiast kawałków pieczystego, które w cudowny sposób znikają. Nasza matka, Generalessa, nie liczyła się w tym wypadku, gdyż swoje szorstkie wojskowe maniery zachowywała także i przy stole: „*So! Noch ein wenig! Gut!*” - i nikt nie znajdował w tym nic niewłaściwego; jeśli o nas chodziło, przykładła wagę nie tyle do etykiety, ile do dyscypliny wojskowej, ale właśnie dlatego przychodziła w sukurs baronowi rzucając

rozkazy jak na placu musztry: „*Sitz! ruhig!* I otrzyj gębę!“. Jediną osobą, która czuła się w swoim żywiole, była Battista, nasza świecka mniszka; obierała z mięsa kostki drobiu z jakąś zacieklą dokładnością, aż do najmniejszej odrobiny, posługując się przy tym specjalnymi spiczastymi nożykami, do jej wyłącznego użytku, podobnymi do chirurgicznych lancetów. Baron, choć powinien by stawiać nam ją za przykład, nie miał odwagi patrzeć na nią; wytrzeszczone oczy pod sztywnymi, białymi skrzydłami kornetu, zaciśnięte zęby i cała żółta, szczurza twarzyczka Battisty nawet jego napełniała lękiem. Jak widać, stół jadalny był miejscem, gdzie wychodziły na jaw wszelkie nasze rodzinne antagonizmy i niezgodności charakterów, wszelkie namiętności, a także i wszelka obłuda. Zrozumiałe więc, że właśnie przy stole wybuchł bunt Cosima. Dlatego też rozwodzę się nad tym szeroko, zwłaszcza że nakrytych stołów nigdy już więcej w życiu mego brata nie spotkamy, to pewne.

Stół jadalny był też jedynym miejscem, gdzie spotykaliśmy się z dorosłymi. Resztę dnia nasza matka spędzała w swoich pokojach zajęta robieniem koronek i haftem, gdyż Generalessa w gruncie rzeczy tylko do tych tradycyjnych kobiecych robótek miała zamiłowanie i tylko na tym polu dawała upust swoim wojowniczym pasjom. Jej koronki i hafty przedstawiały najczęściej mapy geograficzne; matka rozpościerała je na poduszkach lub makatach i pstrzyła szpilkami czy chorągiewkami, wyznaczając plany bitew z wojen sukcesyjnych, których przebieg znała na wyrywki. Albo też wyszywała armaty z wylatującymi z luf różnego rodzaju pociskami i rozmaite przyrządy celownicze, gdyż na balistyce znała się doskonale, a ponadto miała do dyspozycji całą bibliotekę swego ojca, generała, z rozprawami o sztuce wojennej, tabelami strzelniczymi i atlasami. Nasza matka była z domu von Kurtewitz, Konradine, córka generała Konrada von Kurtewitz, który przed dwudziestu laty zajął nasze ziemie jako dowódca wojsk Marii Teresy Austriackiej. Córkę swoją, sierotę bez matki, generał woził z sobą, za wojskiem. Nie było w tym nic romantycznego: podróżowali oboje wygodnie, kwaterowali w najlepszych zamkach z całą chmarą służebnych, i panna

spędzała dni przy tamborku do haftu. To, co o niej mówią, że konno brała udział w bitwach, to czczya legenda; była sobie zawsze kobietką o różowej cerze i zadartym nosku - taką samą, jaką ją pamiętam z późniejszych czasów; zostało jej tylko odziedziczone po ojcu upodobanie do wszystkiego, co wojskowe - może zresztą płynęło ono z przekory, z chęci przeciwstawienia się mężowi.

Nasz ojciec był jednym z niewielu szlachciców w naszych okolicach, którzy opowiedzieli się w tamtej wojnie po stronie cesarskich najeźdźców. Z otwartymi ramionami powitał generała von Kurtewitz w swoich posiadłościach, oddał mu swoich ludzi do dyspozycji i, aby lepiej jeszcze zademonstrować swoje oddanie dla sprawy cesarstwa, poślubił Konradine; wszystko to w nadziei na uzyskanie tytułu diuka, ale nie powiodło mu się i tym razem - wojska cesarskie niebawem odeszły, a genueńczycy obciążyli go kontrybucjami i podatkami. Zyskał jednak, bądź co bądź, dzielną żonę, Generalesę, jak ją zaczęto nazywać, kiedy ojciec jej poległ podczas wyprawy na Prowansję, a Maria Teresa przysłała córce generała złoty łańcuch na adamaszkowej poduszce. Żył z tą żoną w zgodzie i harmonii, mimo że ona, wychowana w wojskowych obozach, śniła wciąż o armiach i bitwach i miała za złe mężowi, że jest tylko niezdarzonym wiejskim szlachciurą.

Ale w gruncie rzeczy oboje tkwili wciąż jeszcze w czasach wojen sukcesyjnych: ona miała głowę pełną artylerii, on - drzew genealogicznych. Ona pragnęła dla nas, swoich synów, wysokich stanowisk w armii, wszystko jedno jakiej, on natomiast widział nas w marzeniach jako małżonków księżniczek, córek elektorów cesarstwa... Z tym wszystkim byli jak najlepszymi rodzicami, tylko tak roztargnionymi, że w rezultacie my, chłopcy, rośliśmy pozostawieni całkowicie niemal samym sobie. Czy wyszło nam to na złe, czy na dobre? Któż może o tym sądzić? Życie Cosima było tak niezwykle, moje znów ściśle uregulowane i skromne, choć przecież dzieciństwo spędziliśmy razem, obaj równie obojętni na gniewy i scysje dorosłych, szukając sobie dróg odmiennych od tych, którymi chodzili wszyscy.

Wdrapywaliśmy się na drzewa (te pierwsze dziecinne zabawy pamięć ukazuje mi teraz w świetle jakby wtajemniczenia czy przepowiedni; ale wówczas, komuż by to przyszło na myśl?), wędrowaliśmy łożyskami potoków skacząc z głazu na głaz, myszkowaliśmy po grotach nadmorskich, zjeżdżaliśmy po marmurowych poręczach schodów naszego domu. Jeden z takich właśnie zjazdów po poręczy stał się przyczyną pierwszego starcia Cosima z rodzicami, ponieważ brat mój został ukarany - niesłusznie, jak twierdził - i odtąd zachował urazę do rodziny (a może do społeczeństwa? albo do świata w ogóle?) i dał temu wyraz decyzją powziętą w owym pamiętnym dniu czerwca. Prawdę mówiąc, zjeżdżanie po marmurowej poręczy schodów od dawną było nam wzbronione, nie z obawy, że moglibyśmy przy tym połamać ręce i nogi - o to nasi rodzice nigdy się nie troszczyli i pewien jestem, że właśnie dzięki temu nigdyśmy sobie nic nie połamali - ale dlatego, że w miarę jak rośliśmy i przybierali na wadze, zjeżdżanie po poręczy stawało się coraz groźniejsze dla posągów przodków, które nasz ojciec poustawiał na kolumnkach stanowiących zakończenie balustrady na każdej kondygnacji schodów. W istocie Cosimo zwał już kiedyś niechcący jakiegoś antenata-biskupa razem z mitrą i całą resztą; został ukarany; odtąd nauczył się hamować w ostatniej chwili przed końcem i zeskakiwać, kiedy już-już miał wpaść z impetem na posąg. Ja także nauczyłem się hamować, jako że naśladowałem go zawsze we wszystkim, tylko że ja, zawsze skromny i rozważny, zeskakiwałem już w połowie poręczy albo też zjeżdżałem po kawałku, nieustannie hamując. Otóż pewnego dnia, kiedy Cosimo mknął w dół jak strzała, kogóż to ujrzał idącego w górę po schodach? Ksiądz Fauchelafleur, który kroczył jak zwykle trzymając przed sobą otwarty brewiarz, ale ze spojrzeniem wlepionym w pustkę, jak kura. Gdybyż był wtedy pogrążony w półśnie, jak przeważnie bywał! Ale nie, jak na złość znajdował się właśnie w stanie wyostrzonej uwagi i czujności: takie chwile nachodziły go od czasu do czasu. Spozstrzega Cosima, myśli: balustrada, posąg, wpadnie na posąg, będę i ja miał za swoje (jako że po każdym naszym wybryku obsypywano go wyrzutami, że nie potrafi nas trzymać w ryzach) -

rzuca się więc ku balustradzie chcąc powstrzymać mego brata w pędzie. Cosimo wpada na księdza, pociąga go za sobą (chudy był staruszek, skóra i kości), nie może zahamować, ze zdwojoną siłą wali w posąg naszego przodka Cacciaguerra Piovasco, uczestnika wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej, i wszyscy trzej lądują u stóp schodów: krzyżowiec strzaskany na kawałeczki (był z gipsu), ksiądz i Cosimo. Było reprimend bez miary, chłosta, karne zadania, zamknięcie o chlebie i zimnej polewce. I Cosimo, czując się niewinny, boć to nie on, lecz ksiądz był sprawcą katastrofy, dał wyraz swemu oburzeniu, oświadczając: „Gwiżdżę na wszystkich antenatów, panie ojcze!” - co zwiastowało już wtedy jego przyszłe powołanie buntownika.

Z naszą siostrą, w gruncie rzeczy, działo się podobnie. Ona także, jakkolwiek odosobnienie, w jakim żyła, narzucił jej nasz ojciec po słynnej historii z marchesinem delia Mela, z natury była raczej samotnicą i buntowniczym duchem. Jak to z tym marchesinem naprawdę było, nikt się nigdy nie dowiedział. Po cóż by on, syn rodziny, która do naszej odnosiła się wrogo, miał się podstępnie wślizgiwać do naszego domu? W jakim celu? Żeby uwieść czy wręcz zgwałcić naszą siostrę - mówiło się w czasie przewlekłego sporu, jaki się stał między naszymi dwiema rodzinami wywiązał. Ale trudno było doprawdy wyobrazić sobie tego piegowatego, głupawego wyrostka w roli uwodziciela czy gwałciciela - i to kogo? naszej siostry z pewnością silniejszej niż on i słynnej z tego, że mocowała się nawet ze stajennymi chłopcami. A zresztą, czemuż by w takim razie on właśnie krzyczał i wzywał pomocy? I jakże to się stało, że kiedy służba nadbiegła w ślad za naszym ojcem, znaleziono go w spodniach podartych w strzępy, jakby poszarpanych pazurami tygrysa? Rodzina delia Mela nie przyznała, że jej syn dybał na cześć Battisty, i nie zgodziła się na małżeństwo. Tak więc nasza siostra została żywcem pogrzebana w domu, w zakonnym stroju, mimo że nigdy nie złożyła ślubów nawet tercjarskich, zważywszy, że jej powołanie było raczej wątpliwe.

Smutek swej duszy topiła głównie w zajęciach kuchennych. Była znakomitą kucharką, gdyż nie brakowało jej ani staranności, ani fantazji, tych zalet najcenniejszych u

każdej kucharki. Ale ilekroć do czegoś przyłożyła rękę, niepodobna było przewidzieć, jakie niespodzianki spotkają nas przy stole: pamiętam przyrządzone przez nią kiedyś paszteciki, niesłychanie delikatne - to trzeba przyznać - ze szczurzych wątróbek! A przyznała się do tego dopiero kiedyśmy je zjedli i pochwalili; nie mówiąc już o nóżkach koników polnych, tych tylnych, twardych i ząbkowanych, z których ułożyła kunsztowną mozaikę na torcie; albo o prosięcych ogonkach upieczonych w kształcie obarżanków; kiedyś upiekła nawet jeża, w całości, z kolcami, Bóg jeden wie po co, chyba żeby ucieszyć się naszym zdumieniem, kiedy zdjęto pokrywę z półmiska, bo nawet ona, która potrafiła jeść wszelkie obmyślane przez siebie potrawy, tej nie zdecydowała się spróbować, mimo że jeź był młodziutki, różowy, z pewnością miękki i delikatny. W istocie większą część tych swoich okropności obmyślała bardziej dla efektu niż dla przyjemności wspólnego z nami spożywania owych potraw o odrażającym smaku. Wytwory Battisty były istnymi arcydziełami zwierzęco-roślinnej sztuki zdobniczej: główki kalafiorów z zajęczymi uszami, ułożone na kołnierzykach z zajęczej sierści; albo głowizna wieprzowa, z której rozwartego ryjka zwisała, niby wywalony język, czerwona langusta, w szczypcach trzymająca świński ozorek, jakby go właśnie wyrwała wieprzowi z paszczy. A na koniec ślimaki: potrafiła poucinać łebki Bóg wie ilu ślimakom i umocować te maleńkie, miękkie końskie główki za pomocą patyczków, każdą na małym racuszku: kiedy podano je na stół, wyglądały jak stado miniaturowych łabędzi. Ale bardziej jeszcze niż widok tych specjałów przejmująca była myśl o fanatycznej zaciekłości, jaką musiała wkładać Battista w ich przyrządzanie - obraz jej smukłych rączek ćwiartujących maleńkie żywe ciała.

Sposób, w jaki nieszczęsne ślimaki podniecały makabryczną wyobraźnię naszej siostry, popchnął nas - mego brata i mnie - do buntu, który był jednocześnie wyrazem naszej solidarności z torturowanymi stworzonkami, wstrętu, jakim nas przejmował zapach gotowanych ślimaków, i tego, że mieliśmy dość wszystkiego i wszystkich. Trudno się więc dziwić, że od tamtej pory w duszy Cosima dojrzewała po trochu jego

decyzja i wszystko, co po niej nastąpiło.

Ułożyliśmy cały plan. Kiedy raz cavaliere adwokat przyniósł do domu wiklinowy kosz pełen jadalnych ślimaków, wsypano je w piwnicy do beczki, gdzie miały posiedzieć czas jakiś o głodzie, mając do jedzenia tylko otręby, gwoli ścisłości. Ślimaki poruszały się na ścianach beczki okropnie powoli, wyglądało to już na agonię, pełzały pośród smug grudkowego śluzu i różnokolorowych ślimaczych ekskrementów, ostatniej pamiątki szczęśliwych czasów na wolnym powietrzu, wśród traw i ziół. Niektóre wylazły zupełnie ze skorupki wyciągając naprzód łebki o szeroko rozchylonych rożkach, inne kuliły się wewnątrz, wysuwając tylko nieufnie czułki; jeszcze inne zbite w gromadki, jak zagadane kumoszki; niektóre spały zamknięte w swoich domkach, niektóre leżały martwe w skorupkach wywróconych otworem ku górze. Chcąc je ocalić od spotkania ze straszliwą kucharką, a siebie - od konieczności jedzenia jej wytworów, wywierciliśmy dziurę u dołu beczki i stamtąd za pomocą długich traw posmarowanych miodem wyznaczaliśmy ślimakom szlak ucieczki, możliwie najlepiej ukryty za beczkami, pośród różnych rupieci, aż do okienka wychodzącego na zachwaszczony, nieuprawny kawałek ogrodu.

Nazajutrz, kiedy zeszliśmy do piwnicy sprawdzić wyniki naszej akcji i przy świetle łójówki zaczęliśmy oglądać mury i otwory okienne („Jeden tutaj!... A tu, o, drugi!... Popatrz, dokąd ten zalażł!”) - już długi sznur ślimaków sunął od beczki w stronę okienka, po podłodze i ścianach, wyznaczonym przez nas szlakiem. „Żwawo, ślimaczki! Prędko, spieszcie się, zmykajcie!” - nie mogliśmy się powstrzymać od pokrzykiwania dla zachęty, widząc, jak powoli, leniwie pełzną, jak zbaczają z drogi zataczając tu i ówdzie pętle na szorstkich murach piwnicy, znęcone jakąś plamą pleśni czy gnijącym odpadkiem; ale piwnica była ciemna, zawalona rupieciami, o nierównej wyboistej polepie; mieliśmy więc nadzieję, że zdążą wszystkie uciec, zanim je kto dostrzeże.

Ale nie. Ta dusza pokutująca, nasza siostra Battista, przebiegała po nocach cały dom polując na szczury, ze świecznikiem w ręku i rusznicą pod pachą. Tej nocy za-

puściła się do piwnicy i światło świec padło na ślimaka samotnie wędrującego po suficie i na ciągnącą się za nim srebrzystą smugę śluzu. Rozległ się huk wystrzału. Wszyscy drgnęliśmy w naszych łóżkach, ale zaraz przytuliliśmy na powrót głowy do poduszek, jako że od dawna przywykliśmy do nocnych wypraw myśliwskich naszej domowej mniszki. Battista jednak, zmiażdżwszy ślimaka i utraciwszy kawał tynku swoim bezsensownym strzałem, zaczęła wrzeszczeć wysokim, piskliwym głosem: „Na pomoc! Wszystkie uciekają! Na pomoc!” Zbiegła się na pół ubrana służba, nasz ojciec uzbrojony w szablę, ksiądz bez peruki, a cavaliere adwokat, nim jeszcze zdążył zrozumieć, o co chodzi, na wszelki wypadek wymknął się z domu i położył się spać w szopie na siano.

Przy świetle pochodni rozpoczęło się wielkie polowanie na ślimaki, przeszukiwano zaciekle całą piwnicę, bo choć nikomu na nich nie zależało, to skoro ludzie zostali wyrwani ze snu, już choćby przez miłość własną nie mogli znieść myśli, że miałyby to być na próżno. Wnet odkryto dziurę w beczce i stało się jasne, że to nasza sprawka. Ojciec zaskoczył nas jeszcze w łóżku, z końskim biczem w ręku. I niebawem znaleźliśmy się zamknięci w ponurej izdebce, służącej nam za więzienie, a nasze grzbiety, pośladki i nogi okryte były całe sinymi pręgami.

Przetrzymano nas tam trzy dni o chlebie, wodzie, sałacie, wołowinie i zimnej polewce (która nam, szczęśliwym trafem, smakowała). Potem pierwszy posiłek w rodzinnym gronie, jakby nigdy nic, wszyscy punktualnie, jak należy, w owo pamiętne południe czerwca: i cóż to przygotowała na dziś nasza siostra Battista zarządzająca kuchnią? Zupę ślimakową i ślimaki na drugie. Cosimo nie tknął ani jednej skorupki. „Jedzcie natychmiast albo wróćcie do komórki!” Ustąpiłem, zacząłem połykać mięczaki bez gryzienia. (Było to z mojej strony nędzne tchórzostwo; mój brat poczuł się przez to jeszcze bardziej samotny, toteż kiedy nas porzucił, było to wymierzone także przeciwko mnie, który go zawiodłem; ale ostatecznie miałem zaledwie osiem lat; a zresztą, czyż można w ogóle porównywać moją siłę woli - a raczej tę, jaką mogłem przejawiać będąc dzieckiem - z nadludzką wytrzymałością dominującą w całym życiu mego brata?)

- No więc? - zwrócił się ojciec do Cosima.

- Nie i jeszcze raz nie - odparł Cosimo odsuwając talerz.

- Precz od stołu!

Ale Cosimo już odwrócił się plecami do nas wszystkich i szedł ku drzwiom.

- Gdzie idziesz?

Widzieliśmy przez oszklone drzwi, jak w sieni bierze swój trójgraniasty kapelusze i szpadkę.

- Już ja wiem gdzie! - i wybiegł do ogrodu.

Po chwili ujrzeliśmy przez okna, jak wspina się na ostrolistny dąb. Ubrany był i uczesany bardzo starannie, tak jak ojciec tego wymagał przy stole, mimo że miał dopiero dwanaście lat: włosy upudrowane, ze wstążeczką u końca warkoczyka, trójgraniasty kapelusze, koronkowy żabot, fraczek zielony z długimi połami, pluderki koloru malwy, szpadka, długie kamasze z białej skóry sięgające do pół uda - jedyne ustępstwo na rzecz ubioru odpowiedniejszego przy naszym wiejskim trybie życia. (Mnie, ośmiolatka, pudrowanie włosów jeszcze nie obowiązywało, z wyjątkiem szczególnie uroczystych okazji, ani też szpada, którą zresztą byłbym bardzo chętnie nosił.) W tym stroju Cosimo wspinał się na sękate drzewo, a ruchy jego rąk i nóg cechowała wielka szybkość i pewność siebie, nabyta dzięki naszym wspólnym długotrwałym ćwiczeniom.

Jak już wspominałem, na drzewach spędzaliśmy długie godziny, i to wcale nie w jakichś utylitarnych celach, jak tyłu chłopców, którzy łażą po drzewach po to, żeby zrywać owoce albo wybierać ptaki z gniazd, ale dla samej satysfakcji pokonywania trudności, wyszukiwania dogodnych sęków i rozwidleń, miejsc, gdzie można było wygodnie się usadowić i oglądać świat z wysoka, rzucając żarty i zaczepki, kiedy ktoś przechodził pod drzewem. Wydało mi się więc rzeczą zupełnie naturalną, że pierwszą myślą Cosima wobec takiej niesprawiedliwej zawziętości było wdrapać się na ów dąb, drzewo, z którym byliśmy ogromnie zżyci i którego rozłożyste konary sięgające domu

tuż nad oknami jadalnej sali narzucały całej rodzinie widok jego wzgardliwej, obrażonej miny.

- *Vorsicht! Vorsicht!* Spada, biedaczek! - wykrzyknęła z niepokojem nasza matka, która na pewno z radosną dumą oglądałaby nas pod gradem pocisków armatnich, ale bardzo lękała się naszych chłopięcych zabaw.

Cosimo wspiął się aż do rozwidlenia grubego konara, rozsiadł się wygodnie, zwiesił nogi, skrzyżował ręce wsuwając dłonie pod pachy, głowę wsunął w ramiona i wcisnął głębiej na czoło trójgraniasty kapelusz.

Ojciec wychylił się z okna.

- Zmienisz zdanie, kiedy ci się znudzi tam siedzieć! - krzyknął.

- Nigdy nie zmienię zdania - odpowiedział mój brat z wysokości konara.

- Już ja ci pokażę, jak tylko zejdziesz!

- Nie zejdem nigdy! - I dotrzymał słowa.

II

Cosimo siedział na ostrolistnym dębie. Gałęzie wyciągały się poziomo, niby ? wiszące mosty nad ziemią. Wiał lekki j wiatr; dzień był pogodny. Słońce świeciło poprzez liście, tak że my, chcąc dojrzeć Cosima, musieliśmy robić z dłoni daszek nad oczyma. On zaś patrzył na świat z góry: każda rzecz, widziana stamtąd, wyglądała jakoś inaczej, i już to stanowiło pewne urozmaicenie. Aleja miała jakąś zupełnie inną perspektywę, tak samo rabaty kwietne, krzewy hortensji i kamelii, żelazny stolik, przy którym pijało się kawę w ogrodzie. Dalej korony drzew nie tworzyły już takiej zwartej masy, ogród przechodził stopniowo w małe tarasowate półka, umocnione kamiennymi podmurówkami; grzbiet wzgórza szarzał porastającymi go oliwkami, za nim piętrzyły się dachy Ombrosy, kryte wyblakłą dachówką i łupkiem, a jeszcze dalej sterczały maszty statków ponad niewidocznym w dole portem. I wreszcie morze, jakby wzniesione na widnokregu, i powoli sunący po nim żaglowiec.

Baron z Generalessą wyszli po kawie do ogrodu. Przyglądali się jakiemuś krzewowi różanemu, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na Cosima. Przechadzali się pod rękę, ale raz po raz odrywali się od siebie i rozprawiali o czymś, żywo gestykułując. Ja natomiast poszedłem pod dąb, niby to pochłonięty zabawą, ale naprawdę w nadziei, że przyciągnę uwagę Cosima. On jednak miał widać do mnie żal, bo nie zszedł niżej, tylko patrzył gdzieś daleko przed siebie. Przestałem udawać zabawę i skuliłem się za pobliską ławką, żeby móc go obserwować, sam nie będąc widziany.

Mój brat wyglądał, jakby stał na czatach. Rozglądał się po wszystkim dokoła, ale owo „wszystko” to było tyle co nic. Przez gaj cytrynowy przechodziła kobieta z koszykiem. Stromym stokiem szedł pod górę mulnik przytrzymując się ogona swego muła. Nie widzieli się nawzajem. Słyszając stuk podkutych kopyt, kobieta obejrzała się i nachyliła w stronę drogi, ale odrobinę za późno. Zaczęła więc śpiewać, ale mulnik był już na zakręcie ścieżki; nastawił ucha, potrząsnął biczem i popędził muła okrzykiem: „Aah!”. I

na tym się skończyło. Cosimo nie przestawał się rozglądać. Aleją przechadzał się ksiądz Fauchelafleur z otwartym brewiarzem. Cosimo zdjął coś z gałęzi i spuścił księdzu na głowę. Nie dojrzałem, co to było takiego - może pajak, może odłamek kory - ale chybił. Potem zaczął końcem szpady grzebać w dziupli pnia. Z otworu wyleciała rozwścieczona osa, Cosimo odpędził ją powiewając trójgraniastym kapeluszem i śledził wzrokiem, ale zaraz usiadła na liściu dyni i przyczała się tam. Ruchliwy jak zawsze, cavaliere adwokat wyszedł z domu, przebiegł szparko tarasy ogrodu opadające w dół aż do winnicy i zniknął między rzędami winnych krzewów. Cosimo chcąc wyśledzić, dokąd on tak podąża, wspinał się na wyższą gałąź. W tej chwili dał się tam słyszeć nagły szelest liści, z gałęzi zerwał się kos i odleciał. Cosimo wydawał się zaskoczony, że ptak siedział tam cały ten czas, a on go nie zauważył. Popatrzył uważnie pod słońce, czy nie ma tam innych. Ale nie, nie było.

W sąsiedztwie dębu rósł wiąz. Korony obu drzew stykały się z sobą. Jeden z konarów wiązu był zaledwie o jakie pół metra wyżej od konara, na którym siedział Cosimo. Toteż mój brat bez trudu przedostał się na szczyt wiązu, którego do tej pory nigdyśmy nie spenetrowali, bo pień drzewa był od dołu gładki, wysoki, trudno dostępny z ziemi. Z wiązu, wyszukując miejsca, gdzie gałęzie stykały się z gałęziami innych drzew, przechodziło się na drzewo świętojańskie, a stamtąd na morwę. Śledziłem drogę Cosima, wędrującego z gałęzi na gałąź, wysoko nad ogrodem.

Gałęzie wielkiej morwy dosięgały muru, który otaczał naszą posiadłość, a nawet zwieszały się po drugiej jego stronie, gdzie rozciągał się ogród rodziny d'Ondariva. My, choć tak bliscy sąsiedzi, niedużo wiedzieliśmy o margrabiach Ondariva, panach na Ombrosie, jako że od wielu już pokoleń korzystali oni z jakichś feudalnych przywilejów, do których rościł sobie pretensje nasz ojciec; ta odwieczna waśń dzieliła obie rodziny, podobnie jak wysoki i gruby mur, niby szaniec forteczny, dzielił nasze posiadłości - do dziś nie wiem, czy kazał go wznieść nasz ojciec, czy margrabia. Do tego dochodzi jeszcze zazdrość, z jaką rodzina Ondariva strzegła swojego ogrodu, pełnego podobno

rzadkich roślin, nigdy u nas nie widzianych. W każdym razie dziadek obecnego margrabiego, uczeń Linneusza, puścił w ruch wszystkie możliwe parantele swojej rodziny, wyzyskał wszystkie znajomości na dworach Francji i Anglii, w tym celu by mu przysyłano z kolonii wszelakie rarytasy botaniczne: przez długie lata coraz nowe okręty zawijały do portu Ombrosy, wyładowując worki nasion, wiązki sadzonek, krzewy w donicach, a nawet całe drzewa z ogromnymi bryłami ziemi dokoła korzeni; w rezultacie ogród - mówiono - stał się istną mieszaniną roślinności puszczy indyjskich i amerykańskich czy nawet nowozelandzkich.

Wszystkim, co my mogliśmy z tego zobaczyć, były widoczne nad krawędzią muru ciemne liście rośliny świeżo sprowadzonej z kolonii amerykańskich, magnolii, na której czarnych gałązkach wykwiwały mięsiste, białe kwiaty. Z naszej morwy Cosimo przedostał się na krawędź muru, przeszedł po nim parę kroków, spuścił się na rękach na drugą stronę, w tym miejscu, gdzie było widać liście i kwiaty magnolii. Z tą chwilą straciłem go z oczu; i to, co dalej opowiem, jak również wiele innych rzeczy z dziejów jego życia, usłyszałem później od niego samego bądź też wywnioskowałem z rozmaitych świadectw i przesłanek.

Cosimo siedział więc na magnolii. Mimo gęstwiny gałęzi drzewo to nie przedstawiało trudności dla chłopca tak wycwiczonego w łażeniu po drzewach jak mój brat; gałęzie dobrze wytrzymały jego ciężar, mimo że niezbyt grube i tak miękkie, że noski butów Cosima kaleczyły je, znaczyły na czarnej korze białe rysy. Chłopiec wdychał świeży zapach liści, którymi wiatr poruszał ukazując to jedną, to drugą ich stronę, błyskając na przemian to jasną, matową zielenią, to znów ciemną, lśniącą.

Pachniał zresztą cały ogród i o ile Cosimo nie mógł jeszcze ogarnąć go wzrokiem, tak nieregularna była porastająca go gęstwina, to badał go węchem, usiłując rozpoznać jego zmieszane aromaty, które przecież były mu skądinąd znane, bo powiewy wiatru przynosiły je i do naszego ogrodu; wonie te były dla nas częścią tajemnicy, jaka otaczała dom Ondarivów. Cosimo przyglądał się zaroślom, widział młode liście, z których jedno

były duże i lśniące, jakby skąpane w wodzie, inne drobniutkie i pierzaste, widział pnie gładkie i pnie pokryte jakby łuską.

Panowała ogromna cisza. Tylko z głośnym świergotem zerwała się chmara maleńkich gajówek. A potem dziecinny głosik zaśpiewał:

- *O la-la... O la balan-coire...*

Cosimo spojrzał w dół. Zawieszona u konara wielkiego drzewa kołysała się huśtawka, a na niej siedziała dziewczynka mniej więcej dziesięcioletnia. Jej jasne włosy tworzyły wysoką wymyślną koafiurę, trochę śmieszna u takiej małej dziewczynki, a i błękitna sukienka także była zbyt dla niej dorosła; spódniczka, unosząca się przy ruchu huśtawki, zdawała się kipieć nadmiarem koronek. Dziewczynka spoglądała przymrużonymi oczyma z głową zadartą ku górze, jakby udawała dorosłą damę; pogryzała jabłko, za każdym kęsem przechylając głowę w bok, ku ręce, w której musiała jednocześnie trzymać jabłko i sznur huśtawki; końcami trzewiczków odpychała się od ziemi, ilekroć huśtawka znajdowała się w najniższym punkcie zataczanego łuku; wydmuchiwała z ust kawałki pogryzionej skórki jabłka i przy tym śpiewała sobie: „*O la-la-la... O la balan-coire...*” - z taką miną, jakby wszystko: huśtawka, śpiew i jabłko (choć może jabłko nie tak bardzo), było jej całkowicie obojętne, a głowę miała zajęta zupełnie innymi myślami.

Cosimo z wierzchołka magnolii zsunął się aż na najniższe konary i stanął rozkraczonymi nogami na dwóch rozwidleniach, z łokciami opartymi o wyższą gałąź jak o parapet okna. Rozkołysana huśtawka przesuwiała dziewczynkę raz za razem tuż przed jego nosem.

Ona nie zwracała na niego uwagi, może wcale go nie dostrzegła. Nagle ujrzała go, stojącego na drzewie w pełnej gali, w trój-graniastym kapeluszu i kamaszach. „Oo!” - powiedziała.

Jabłko wypadło jej z ręki i potoczyło się j pod magnoliowe drzewo. Cosimo dobył szpady, pochylił się z najniższej gałęzi ku dołowi, dosięgnął jabłka ostrzem, nadział je lekko i podał dziewczynce, która w tym czasie i zdążyła wlecieć huśtawką do góry i

wrócić. - Proszę wziąć, nie pobrudziło się, troszkę tylko obite z jednej strony.

Jasnowłosa dziewczynka pożałowała już I najwidoczniej, że tyle zdumienia, okazała z powodu nieznanego chłopaka na magnolii, bo wnet powróciła do swojej wzdorczywej miny z dumnie zadartym nosem.

- Czy jest pan złodziejem? - zapytała.

- Złodziejem? - zachnął się Cosimo. Ale kiedy się zastanowił, spodobał mu się ten pomysł. - Owszem, jestem - rzekł naciągając trójgraniasty kapelusz bardziej na czoło. - Ma pani coś przeciwko temu?

- A co pan przyszedł ukraść?

Cosimo spojrzał na jabłko, wciąż tkwiące na końcu szpady i przypomniał sobie, że jest głodny, że przy stole nie tknął nawet niczego.

- To jabłko - powiedział i zaczął obierać je szpadką, którą na przekór rodzicielskim zakazom nosił doskonale naostrzoną.

- A więc jest pan złodziejem owoców - stwierdziła dziewczynka.

Mój brat pomyślał o tych chmarach wiejskich chłopaków, którzy przełaząc przez mury i żywopłoty grasowali po sadach; zawsze go uczono, że powinien tymi chłopcami gardzić i unikać ich i teraz po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jak swobodne i godne zazdrości mogło być takie życie. Może mógłby stać się kimś takim jak oni i odtąd tak właśnie żyć. „Tak” - powiedział; odkrajał kawałek jabłka i zaczął gryźć.

Jasnowłosa wybuchnęła śmiechem, śmiała się podczas całego przelotu huśtawki tam i z powrotem.

- Nieprawda, tych chłopców, co kradną owoce, to ja znam, wszystkich co do jednego! To moi przyjaciele! Zresztą oni chodzą boso, w koszulach, potargani, a nie w kamaszach i pudrowanej peruczce!

Mój brat zaczerwienił się jak skórka jego jabłka. Wyśmiewała się nie tylko z jego fryzury, której nie lubił, ale i z kamaszy, do których był bardzo przywiązany; uważała, że wygląda gorzej od złodziei owoców, tej kategorii ludzkiej, którą jeszcze przed chwilą

tak pogardzał; a co najgorsze, okazało się, że ta pannica, która zachowuje się jak pani ogrodu Ondarivów, przyjaźni się ze wszystkimi złodziejami owoców, ale z nim nie. Wszystko to razem przejęło go pogardą, wstydem i zazdrością jednocześnie.

- O *la-la-ia...* W kamaszach i peruczce! - przyśpiewywała dziewczynka na huśtawce.

Odezwała się w nim duma.

- Nie jestem takim złodziejem jak ci, których pani zna! - wykrzyknął. - Nie jestem w ogóle złodziejem! Mówiłem tak tylko, żeby pani nie przestraszyć, bo gdyby pani wiedziała, kim jestem naprawdę, umarłaby pani ze strachu: jestem bandytą! Groźnym bandytą!

Dziewczynka przelatywała w dalszym ciągu tuż obok niego, tam i z powrotem, tam i z powrotem, wydawało się, że chce musnąć go końcami stóp.

- Ale! A gdzie strzelba? Wszyscy bandyci mają strzelby! Albo katapulty! Widziałam ich przecież! Pięć razy zatrzymywali naszą karetę na drodze z zamku do willi!

- Ale herszt nie! A ja jestem hersztem! Herszt bandytów nie nosi strzelby! Nosi tylko szpadę! - i wyciągnął ku niej swoją szpadkę.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Herszt bandytów - wyjaśniła - to jeden taki, co się nazywa Gian z Puszczy i przynosi nam zawsze dary na Boże Narodzenie i na Wielkanoc!

- Aa! - wykrzyknął Cosimo di Rondo, w nagłym przypiływie rodowej dumy - a więc słusznie powiada mój ojciec, że margrabia d'Ondariva jest protektorem bandytyzmu i przemytnictwa w tych stronach!

Huśtawka była właśnie na samym dole. Zamiast odepchnąć się nogami od ziemi, dziewczynka zahamowała gwałtownie i zeskoczyła. Pusta huśtawka zachybotła i poderwała się w górę.

- Złazić mi stamtąd natychmiast! Jak pan śmiał wejść na nasze grunta! - krzyknęła

rozzłoszczona, celując wyciągniętym palcem w chłopca.

- Ani nie wszedłem, ani nie zejść - odparł równie gwałtownie Cosimo. - Waszych gruntów nie tknąłem nawet stopą i nie zrobiłbym tego za żadne skarby świata!

Wówczas dziewczynka z majestatycznym spokojem ujęła wachlarz leżący na wiklinowym fotelu i choć nie było wcale tak gorąco, zaczęła się wachlować spacerując tam i na powrót po alejce.

- Teraz - odezwała się po chwili spokojnie - zawołam służbę, każę ująć pana i oćwiczyć. To pana oduczy wślizgiwać się podstępnie do naszego ogrodu!

Wciąż zmieniała ton ta dziewczynka i za każdym razem na nowo zaskakiwało to mego brata.

- Tam, gdzie ja jestem, teren nie jest wcale wasz - oświadczył Cosimo i nawet kuśiło go, żeby dodać: „A zresztą jestem księżę d'Ombrosa, pan całego tego terytorium”, ale powstrzymał się, bo nie miał ochoty powtarzać tego, co stale mawiał jego ojciec, zwłaszcza teraz, kiedy odszedł od stołu poróżniony z ojcem; nie miał ochoty i nie uważał tego za słuszne, zwłaszcza że te pretensje do księstwa wydawały mu się zawsze oparte na urojeniu. Tego jeszcze brakowało, żeby teraz i on, Cosimo, zaczął się pysznić wymyślanym księstwem? Nie zmieniając tonu ciągnął dalej: - Nie, to nie jest wasz teren - powtórzył - wasz jest grunt i gdybym na nim postawił nogę, to wtedy rzeczywiście byłbym intruzem. Ale tu, wysoko, to inna sprawa. Chodzę wszędzie, gdzie mi się podoba.

- Ach, tak, więc to twoje włości, tam w górze...

- Pewnie! Moje osobiste włości, to wszystko - i wskazał nieokreślonym gestem gałęzie drzew, liście, niebo. - Na gałęziach drzew jest moje państwo. Każ mnie tu chwytać, proszę bardzo, zobaczysz, czy to się uda!

Spodziewał się, że po takich przechwałkach dziewczynka okropnie go wyśmiej. A tymczasem ona objawiła nieoczekiwane zainteresowanie.

- Ach, tak? A jak daleko ono sięga, to twoje państwo?

- Dokąd tylko mogę dotrzeć nie schodząc na ziemię: tu i tam za murem, oliwniki i wzgórze, i las za wzgórzem, nawet na gruntach biskupa...

- Aż do Francji sięga?

- Aż do Polski i do Saksonii - oświadczył Cosimo, który z geografii znał tylko nazwy wymieniane przez matkę w jej opowieściach o wojnach sukcesyjnych. - Ale ja nie jestem takim samolubem jak ty. Ja na moje terytorium chętnie cię zaproszę. - Teraz oboje przeszli już na ty, ale ona zaczęła pierwsza.

- A huśtawka jest czyja? - zagadnęła siadając na niej z otwartym wachlarzem w rękę.

- Huśtawka jest twoja - przyznał Cosimo - ale ponieważ jest zawieszona na konarze, zależy bądź co bądź ode mnie. Kiedy siedzisz na niej dotykając nogami ziemi, jesteś na swoim terenie, ale kiedy lecisz do góry, to na moim.

Odepchnęła się nogami i pofrunęła w górę zaciskając ręce na sznurach. Cosimo przeskoczył z magnolii na gruby konar dźwigający huśtawkę i rozkołysał ją tak, że wznosiła się za każdym razem wyżej.

- Boisz się?

- Ja? Nie. Jak ci na imię?

- Cosimo... a tobie?

- Violante, ale mówią na mnie Viola.

- A mnie nazywają Mino, bo Cosimo to imię odpowiednie dla starca.

- Nie podoba mi się.

- Cosimo?

- Nie, Mino.

- Aha... Możesz nazywać mnie Cosimo.

- Ani mi się śni! Słuchaj no, ty: musimy ustalić rzecz wyraźnie.

- Co mówisz? - zapytał niepewnie, bo każde jej odezwanie jakoś go zaskakiwało.

- Więc tak: ja mogę wchodzić na twoje terytorium i jestem tam nietykalnym go-

ściem, zgoda? Wchodzę i wychodzę, kiedy mi się podoba. A ty znów jesteś nietykalny, dopóki chodzisz po drzewach, na swoim terytorium, ale z chwilą kiedy dotkniesz ziemi w moim ogrodzie, stajesz się moim niewolnikiem i mogę cię zakuć w łańcuchy.

- Nigdy nie zejść do twojego ogrodu ani do mojego także nie. Dla mnie to wszystko jest teren nieprzyjacielski. Ty będziesz do mnie przychodziła i twoi przyjaciele, co kradną owoce, też, kto wie, może i mój brat Biagio, choć on jest trochę tchórz; zrobimy drzewne wojsko i zawładniemy ziemią i jej mieszkańcami.

- O nie, nic z tego. Pozwól mi wyjaśnić, jak się rzeczy mają. Ty jesteś władcą drzew, dobrze? Ale jeżeli choć raz dotkniesz stopą ziemi, utracisz swoje królestwo i staniesz się ostatnim z niewolników. Zrozumiałeś? Nawet jeżeli gałąź złamie się pod tobą i spadniesz, to już koniec!

- Nigdy w życiu nie spadłem z drzewa!

- Może, ale gdybyś jednak spadł, gdybyś spadł, zamienisz się w popiół i wiatr cię rozwieje.

- Bajki. Nie schodzę na ziemię, bo nie chcę, i już.

- Och, jakiś ty nudny.

- Nie, nie, bawmy się dalej. Na przykład na huśtawce mógłbym być?

- Jeżeli potrafisz bez dotykania ziemi, to tak.

Obok huśtawki Violi była druga, zawieszona na tym samym konarze, ale podciągnięta w górę i uwiązana, żeby się nie zderzała z tamtą. Cosimo zsunął się z gałęzi w dół po sznurze - w ćwiczeniu tym miał wielką wprawę, gdyż nasza matka kładła wielki nacisk na nasze umiejętności gimnastyczne - dosięgnął węzła, rozplatał go, stanął nogami na huśtawce i zaczął się kołysać, dla lepszego rozpędu uginając nogi w kolanach i pochylając się całym ciałem w przód. Wzlatywał coraz wyżej, obie huśtawki bujały się w przeciwnych kierunkach, osiągały obie tę samą wysokość i mijały się w dole na połowie drogi.

- Ale gdybyś spróbował usiąść i odpychać się nogami, wzlatywałbyś jeszcze wy-

żej - radziła Viola.

Cosimo wykrzywił się drwiąco.

- Zejdź i popchnij mnie, bądź grzeczny - poprosiła uśmiechając się mile.

- Ależ nie, jakże, była przecież umowa, że nie zejdem za żadną cenę... - próbował tłumaczyć Cosimo, znów zbity z tropu.

- Bądź miły.

- Nie.

- Ha, ha, o mało teraz nie spadłeś! Gdybyś dotknął nogą ziemi, wszystko byłoby stracone! - Viola zeszła z huśtawki i zaczęła lekko potrącać huśtawkę Cosima. Nagle pochwyciła oburącz deskę, na której mój brat opierał nogi, i wywróciła ją. Całe szczęście, że Cosimo trzymał się mocno sznurów! Inaczej spadłby jak długi na ziemię.

- Zdrada! - krzyknął i zaczął podciągać się do góry na sznurach, była to jednak o wiele trudniejsza sprawa niż zsuwanie się w dół, zwłaszcza że dziewczynkę naszedł właśnie jeden z jej złośliwych humorów i z całej siły szarpała sznurami na wszystkie strony.

Nareszcie Cosimo zdołał wciągnąć się na gruby konar i usiadł na nim okrakiem. Koronkowym żabotem otarł spoconą twarz.

- Ha! Nie udało ci się!

- O mały włos!

- A ja myślałem, że jesteś moją przyjaciółką!

- No cóż, myślałeś! - i spokojnie zaczęła się wachlować.

- Violante! - rozległ się w tej chwili ostry głos kobiety. - Z kim ty rozmawiasz?

Na białych schodach wiodących do willi ukazała się jakaś dama - wysoka, chuda, w bardzo szerokiej spódnicy; patrzyła w ich stronę przez lorgnon. Cosimo onieśmielony cofnął się w gęstwinę liści.

- Z jednym młodzieńcem, *ma tante* - odpowiedziała dziewczynka - który urodził się na drzewie i został zaczarowany tak, że nie może zejść na ziemię.

Czerwony ze wstydu Cosimo zastanawiał się, czy mówiąc to dziewczynka drwi sobie z niego wobec ciotki, czy z ciotki wobec niego, czy tylko prowadzi dalej grę, czy może po prostu nic ją nie obchodzi ani on, ani ciotka, ani zabawa; dama tymczasem przyglądała mu się badawczo przez szkła, idąc w stronę drzewa, jakby chciała obejrzeć sobie z bliska nieznany gatunek papugi.

- Hou, mais c'est un des Piovasques, ce jeune homme, je crois. Viens, Violante .

Cosimowi krew uderzyła do twarzy; czuł się straszliwie upokorzony. A więc poznała go i potraktowała jako rzecz zupełnie zwyczajną, nawet nie zadała sobie pytania, skąd on się tu wziął, tylko po prostu odwołała siostrzenicę, stanowczo, ale bez gniewu, a Viola odeszła posłuszna wołaniu ciotki i nawet się nie obejrzała; wszystko to zdawało się mówić, że jego osoba nie ma najmniejszego znaczenia, prawie jakby wcale nie istniał. Tak więc w to niezwykle popołudnie raz po raz przychodziło mu przeżywać okropny wstyd.

Nagle zobaczył, że dziewczynka daje ciotce jakieś znaki, ciotka nachyla się, a dziewczynka mówi jej coś do ucha, po czym dama skierowała znowu lorgnon na Cosima. „No, cóż, młodzieńcze - rzekła - czy nie zechciałby pan wypić z nami filiżanki czekolady? W ten sposób zawrzemy i my znajomość - tu spojrzała z ukosa na Violę - zważywszy, że jest pan już przyjacielem rodziny”.

Cosimo wlepił w ciotkę i siostrzenicę oczy okrągłe ze zdumienia. Serce tłukło mu się w piersi. Oto więc zaproszony był do domu margrabiów d'Ondariva i d'Ombrosa, do najbardziej pyszalkowatej rodziny w okolicy, a uczucie upokorzenia, jakiego dopiero co doznawał, zmieniło się nagle w tryumf - tryumf nad ojcem. Przyjęli go oto za swego wroga, którzy na jego ojca zawsze patrzyli z góry, Viola wstawiła się za nim, uznano go oficjalnie za jednego z przyjaciół Violi; mógłby bawić się z nią w tym ogrodzie nie podobnym do żadnego innego ogrodu. Wszystko to czuł Cosimo, ale jednocześnie ogarniało go uczucie przeciwne, choć niezupełnie jasne, na które składały się nieśmiałość, duma, samotność, uraza; miotany tymi sprzecznymi uczuciami brat mój

uchwycił się gałęzi ponad swoją głową, wdrapał się na nią, przesunął w gęstwinę liści na jej skraju, stamtąd przeskoczył na sąsiednie drzewo i zniknął.

III

Popołudnie ciągnęło się, jakby nigdy nie miało się skończyć. Ilekroć dał się słyszeć jakiś odgłos upadku czy szelest, jak to bywa w ogrodach, wybiegaliśmy z domu w nadziei, że to on, że namyślił się jednak zejść. Ale gdzie tam; w pewnej chwili zobaczyłem tylko, jak zakołysał się wierzchołek magnolii o białym kwieciu, zza muru wychynął Cosimo i przełazi na drugą stronę.

Wyszedłem na jego spotkanie, na morwę. Mój widok nie sprawił mu przyjemności; wciąż jeszcze był na mnie wściekły. Usadowił się na gałęzi nad moją głową i zaczął bez słowa dźgać drzewo swoją szpadką.

- Dobrze się włazi na tę morwę - odezwałem się, byle coś powiedzieć. - Dawniej nigdyśmy na nią nie włączili...

Przez chwilę jeszcze kaleczył korę drzewa w milczeniu, wreszcie przemówił drwiąco:

- No i co, smakowały ci ślimaki?

Podąłem mu koszyczek.

- Przyniosłem ci trochę suszonych fig, Mino, i kawałek tortu...

- Oni cię posłali? - zapytał, wciąż odpychającym tonem, ale rzucił okiem na koszyczek i przełknął ślinę.

- Nie, skądże, musiałem się wymknąć księdzu - wyjaśniłem skwapliwie. - Chcieli mnie trzymać przy lekcjach przez cały wieczór, żebym się z tobą nie porozumiał, ale stary się zdrzemnął. Mama się martwi, że możesz zlecieć, i chciałaby, żeby cię szukać, ale tato, odkąd nie widać cię na dębnie, powiada, że na pewno już zszedłeś, schowałeś się w jakimś ustronnym kącie i rozmyślasz nad swoim złym postępkim, więc nie ma powodu do niepokoju.

- Nie zszedłem wcale! - oświadczył mój brat.

- Byłeś w ogrodzie Ondarivów?

- Owszem, ale tylko z drzewa na drzewo, ziemi nawet nie dotknąłem!

- Dlaczego? - zapytałem. Pierwszy raz usłyszałem wówczas od niego o tej jego nowej regule życiowej, ale on mówił o niej jak o czymś wiadomym i ustalonym, w taki sposób, jakby chciał mnie zapewnić, że tego warunku nie złamał. Nie śmiałem więc już więcej nalegać, żeby mi to wyjaśnił.

- Wiesz - rzekł zamiast odpowiedzi - ten ogród Ondarivów to takie miejsce, że całych dni trzeba by na jego zbadanie! Drzewa z puszczy Ameryki, żebyś wiedział! - Potem przypomniał sobie nagle, że się ze mną gniewa, że nie powinno mu zatem sprawiać żadnej przyjemności dzielenie się ze mną swoimi odkryciami. Urwał szorstko: -

Ale ja cię tam nie zabiorę. Możesz odtąd chodzić na spacer z Battistą albo cavaliere adwokatem!

- Ach, nie, Mino, zabierz mnie tam! - wykrzyknąłem błagalnie. - Nie bądź na mnie zły o te ślimaki, były obrzydliwe, ale ja już nie mogłem dłużej wytrzymać tego, że tak na mnie krzyczą!

Cosimo zjadał tort.

- No cóż, wezmę cię na próbę - powiedział. - Musisz dowieść, że jesteś po mojej stronie, nie po ich.

- Powiedz, co chcesz, żebym zrobił.

- Musisz mi dostarczyć sznurów, długich i mocnych, bo do niektórych przejść muszę się wiązać dla pewności; prócz tego potrzebny mi blok, haki, gwoździe, takie grube...

- Co chcesz zrobić? Żurawia?

- Musimy przenieść na górę mnóstwo rzeczy: deski, trzciny...

- Chcesz zbudować chatkę na drzewie? A gdzie?

- Jeżeli będzie potrzeba. Wyszukamy miejsce. Mój tymczasowy adres to tamten dąb, wewnątrz pusty. Spuszczę koszyk na sznurze, a ty będziesz tam mógł wkładać wszystko, czego będę potrzebował.

- Ale dlaczego? Tak mówisz, jakbyś miał żyć w ukryciu Bóg wie jak długo... Nie myślisz, że ci przebaczą?

Odwrócił się gwałtownie, bardzo czerwony:

- Cóż mnie to obchodzi, czy mi przebaczą? A poza tym, wcale się nie ukrywam: nie boję się nikogo! A ty boisz się mi pomagać?

Zrozumiałem od razu, że mój brat nie zamierza prędko zejść na dół, ale umyślnie udałem, że nie rozumiem, bo chciałem go w ten sposób zmusić, żeby się jasno wypowiedział, na przykład: „Tak, chcę zostać na drzewach aż do podwieczorku” albo: „Do zachodu słońca”, „Do wieczery” czy też: „Dopóki się nie ściemni”, coś takiego, jednym słowem, co by stanowiło jakiś termin, nadało jego aktowi protestu jakieś wymiary. Ale on nic takiego nie powiedział, a ja poczułem coś na kształt strachu.

Z dołu rozległ się głos naszego ojca. „Cosimo! Cosimo!” - wołał, a potem zrozumiawszy, że Cosimo mu nie odpowie, zaczął wołać mnie: „Biagio! Biagio!”.

- Pójdę zobaczyć, czego oni chcą. Potem wrócę i opowiem ci - rzekłem prędko. Ta troska o poinformowanie mego brata łączyła się, muszę to przyznać, z chęcią umknienia czym prędzej; bałem się, że mnie przychwycą na rozmowie z Cosimem na wierzchołku morwy i że przyjdzie mi dzielić z nim karę, jaka niewątpliwie go czekała. Ale Cosimo, zdaje się, nie wyczytał z mojej twarzy tego tchórzostwa: pozwolił mi odejść, wzruszeniem ramion akcentując swoją całkowitą obojętność na wszystko, co nasz ojciec mógł mu mieć do powiedzenia.

Wróciwszy zastałem go w tym samym miejscu. Znalazł sobie wygodne siedzisko na przyciętej odnodze pnia. Siedział obejmując ramionami kolana i opierając na nich podbródek.

- Mino! Mino! - wołałem wdrapując się bez tchu na drzewo. - Przebaczyli ci! Czekają na ciebie! Podwieczerek podany, tato i mama siedzą już przy stole i nakładają nam kawałki tortu na talerze! Bo jest tort ze śmietanki i czekolady, i wcale nie Battista go zrobiła, wiesz! Battista siedzi zamknięta w swoim pokoju, aż pozieleniała z wściekłości!

A oni głaskali mnie po głowie i powiedzieli mi: „Idź do biednego Mina i powiedz mu, że już wszystko dobrze i nie będziemy o tym więcej mówili!”. Prędko, idziemy!

Cosimo gryzł spokojnie listek. Nie ruszył się.

- Słuchaj no - powiedział - postaraj się zabrać z domu jakąś, derkę i przynieś mi ją tutaj, tak żeby nikt nie widział. Będzie pewnie zimno tej nocy.

- Chyba nie chcesz przesiedzieć całej nocy na drzewie!

Nic nie odpowiedział. Siedząc z kolanami podciągniętymi pod brodę żuł liść i patrzył gdzieś przed siebie. Poszedłem za jego wzrokiem: utkwiony był w murze Ondarivów, tam, gdzie widać było okryty białym kwiatem wierzchołek magnolii, a dalej, za nim, unosił się w powietrzu latawiec.

Nadszedł wieczór. W sali jadalnej krzątała się służba nakrywając do stołu; w kandelabrach płonęły już świece. Cosimo musiał widzieć to wszystko z drzewa. Baron Arminio, patrząc w ciemność za oknami, krzyknął: „Chcesz tam siedzieć, to siedź, ale umrzesz z głodu!”.

Tego wieczora po raz pierwszy zasiedliśmy do stołu bez Cosima. On zaś siedział okrakiem na wysokim konarze dębu, z boku, tak że mogliśmy widzieć tylko jego zwisające nogi. To znaczy, mogliśmy je widzieć stając przy oknie i wbijając wzrok w ciemność, gdyż pokój był jasno oświetlony, a na zewnątrz czarna noc.

Nawet cavaliere adwokat uznał za konieczne wyjrzeć oknem i coś powiedzieć, ale jak zwykle udało mu się nie wyrazić własnego sądu o sprawie. Mruknął: „Ooo, mocne drzewo... sto lat wytrzyma...” - i jeszcze parę słów tureckich, może właśnie turecką nazwę ostrolistnego dębu; wyglądało to raczej, jakby interesował się drzewem, a nie moim bratem.

Nasza siostra Battista natomiast objawiała w stosunku do Cosima coś w rodzaju zazdrości, jak gdyby, przyzwyczajona trzymać swymi dziwactwami rodzinę w ciągłym napięciu, teraz nagle odkryła, że ktoś ją w tym przewyższa; toteż gryzła paznokcie ze złości (a robiła to w jakiś szczególny sposób: zamiast unosić palec do ust, podnosiła

wysoko łokieć i wsuwała palec z góry na dół między zęby).

Generalessie przypomnieli się jacyś żołnierze na widocie na drzewach (nie wiem już, czy to było w Sławonii, czy na Pomorzu), którzy uniknęli zasadzki dzięki temu, że na czas dostrzegli nieprzyjaciela; wspomnienie to natychmiast przeniosło jej matczyną troskę w ulubiony przez nią klimat żołnierski; z chwilą kiedy udało jej się znaleźć jakiś pozór sensu w postępku syna, poczuła się nie tylko spokojna, ale niemal dumna. Co prawda nikt nie chciał słuchać jej wywodów z wyjątkiem księdza Fauchelafleur, który z całą powagą przytakiwał wnioskowi, jakie nasza matka wyciągała ze swoich wojennych opowieści; chętnie pochwyliłby każdy argument przemawiający za tym, że to, co się u nas działo, było rzeczą naturalną, byleby zrzucić z siebie odpowiedzialność i zbyć troski.

Chodziliśmy zazwyczaj spać zaraz po wieczerzy i tego wieczora również miało wszystko iść zwykłym trybem. Teraz nasi rodzice byli zdecydowani nie dawać Cosimowi tej satysfakcji, że się w ogóle zwraca na jego wybryki uwagę; spodziewali się, że zmęczenie, niewygodna pozycja i nocny chłód niebawem wypędzą go z kryjówki. Wszyscy rozeszli się po swych pokojach i na fasadzie domu tylko zapalone świece błyskały złotymi oczyma w szparach żaluzji. Jakąż tęsknotę, jakie wspomnienie ciepła musiał budzić w moim bracie widok domu, taki znany i bliski, podczas tej spędzonej pod gołym niebem nocy! Stałem w oknie naszego pokoju i wyobrażałem sobie cień Cosima, skulony w zagłębieniu między pniem a grubym konarem, otulony w derkę, zapewne też okręcony sznurem i przywiązany do drzewa, żeby nie spaść.

Księżyc wzeszedł późno i błyszczał teraz nad koroną drzewa. W gniazdach spały sikorki, skulone tak samo jak on. Nocą na dworze mąciły ciszę parku przeróżne szelesty i dalekie odgłosy, przelatywał z szumem wiatr. Chwilami dawał się słyszeć posępny pomruk morza. Stojąc w oknie nasłuchiwałem tego potężnego oddechu i starałem się wyobrazić sobie, jak go słyszy ktoś, kto nie ma zaplecza w postaci rodzinnego domu i choć znajduje się w odległości paru metrów, zdany jest tylko na siebie, jest sam wśród

otaczającej go nocy; a jedynym przyjaznym przedmiotem, który może objąć ramionami, jest pień drzewa o szorstkiej korze, żłobionej wążutkami a ciągnącymi się bez końca tunelami, w których śpią larwy.

Położyłem się do łóżka, ale nie zgasilem świecy. Pomyślałem, że to światełko w oknie naszego pokoju będzie towarzyszyło Cosimowi w jego samotności. Mieliliśmy wspólny pokój z dwoma dziecinnymi jeszcze łóżkami. Patrzyłem na jego nie tknięte posłanie, na ciemność za oknem, i kręciłem się w pościeli, pierwszy bodaj raz w życiu zdając sobie sprawę, jak to przyjemnie leżeć w koszuli, boso, w ciepłym białym łóżku, a jednocześnie czułem, jak niewygodnie musi być jemu tam wysoko na drzewie, owiniętemu w szorstką derkę, z nogami ciasno opiętymi w kamasze, bez możliwości poruszania się, z uczuciem cierpienia w kończynach. Od owej nocy nigdy już nie opuściła mnie świadomość, że to nie byle jakie szczęście mieć łóżko z czystą pościelą i miękkim materacem. W tym miłym poczuciu myśl moja, od wielu godzin kierowana wyłącznie ku temu, który stał się nagle przedmiotem troski nas wszystkich, zaczęła się po trochu skupiać na mojej własnej osobie, i zasnąłem.

IV

Nie wiem, czy prawdą jest to, o czym się czyta w książkach, że w dawnych czasach małpa, skacząc z drzewa na drzewo, mogła przewędrować z Rzymu aż do Hiszpanii nie dotknąwszy ani razu ziemi. Za mego życia tak gęsto zadrzewione były już tylko okolice zatoki Ombrosa, od krańca do krańca, i dolina rzeki aż po grzbiety gór; toteż nasze strony szeroko z tego słynęły. Dziś nikt by już tych okolic nie poznał. Odkąd przyszli Francuzi, zaczęto ciąć lasy, jakby to były łąki, które co roku się kosi i co roku na nowo odrastają. Lasy nie odrosły. Wówczas myślało się: wojna, Napoleon, takie czasy; ale tamto minęło, a lasów nie przestano trzebić. Teraz grzbiety są tak ogołoczone, że nam, którzy znaliśmy je dawniej, żal na nie patrzeć.

Dawniej, gdziekolwiek się szło, wszędzie miało się nad sobą korony drzew, między nami a niebem rozciągało się zielone sklepienie. Jedynymi strefami niskopiennej roślinności były sady cytrynowe, ale i tam wznosiły się ponad otoczenie pokrętnie pnące figowców, które wyżej w górach tworzyły nad sadami masywny pułap, złożony z poszczególnych kopulek ciężkiego zwisającego listowia; a jeśli nie figowce, to drzewa wiśniowe o ciemnobrunatnych gałęziach albo jaśniejsze nieco pigwy, brzoskwinie, migdały, młode grusze, obficie owocujące śliwy, jarzębiny, drzewa świętojańskie, tu i ówdzie jakaś morwa czy stary orzech. Gdzie kończyły się sady owocowe, zaczynały się oliwniki - srebrzyste chmury sięgające do połowy zbocza. W dole piętrzyły się ciasno skupione domy miasteczka pomiędzy portem a skalistymi grzbietami w górze; a i tam, spomiędzy dachów, strzelały tu i ówdzie korony drzew - dębów zimno-zielonych, platanów, dębów zwykłych i dębów wielkolistnych - roślinność mniej użytkowa, a dostojniejsza, dominująca - w sposób usystematyzowany, pełen swoistego ładu - w strefie, gdzie nobile pobudowali sobie wille i otoczyli murem swoje parki.

Ponad oliwnikami rozciągał się las. Niegdyś w całej tej okolicy musiały rosnąć pinie, bo i teraz jeszcze wąskie języki albo bujne kępy piniowego lasu, gdzieniegdzie

przeplatane jodłami, schodziły po stokach aż na wybrzeże morskie. Dęby też były potężniejsze i więcej ich było, niżby się dziś mogło zdawać, gdyż one to pierwsze, jako najcenniejsze, padały ofiarą siekiery. Wyżej pinie ustępowały kasztanom, lasy wspinały się na grzbiety górskie i nie było widać ich kresu. Taki był ów świat życiodajnych soków, pośród którego żyliśmy my, mieszkańcy Ombrosy, nawet sobie z tego nie zdając sprawy.

Pierwszym, który naprawdę o tym pomyślał, był Cosimo. Zrozumiał, że przy takiej gęstości zadrzewienia może doskonale, przechodząc z gałęzi jednego drzewa na inne, przebywać całe mile nie schodząc wcale na ziemię. Czasem spora połącz bezdrzewnego terenu zmuszała go do dalekich okrążeń, ale on bardzo szybko poznał na wylot wszystkie potrzebne mu trasy i mierzył odległości nie naszą zwykłą miarą, lecz biorąc pod uwagę krętość napowietrznych dróg wśród gałęzi. Tam, gdzie nawet skokiem nie mógłby dosięgnąć najbliższej gałęzi, stosował chytne urządzenia; ale o tym będzie mowa później. Na razie jesteśmy jeszcze przy owym świcie, kiedy to Cosimo obudził się na wierzchołku drzewa, wśród świergotu szpaków, przesiąknięty zimną rosą, zdrętwiały, obolały, czując mrówki w nogach i ramionach i radośnie rozpoczął poznawanie nowego dla siebie świata.

Dotarł do ostatniego drzewa parku, a był to platan. Dalej opadała tarasowato dolina, kryły ją korony drzew, obłoki i dymy wznoszące się nad łupkowymi dachami domostw, podobnych z daleka do stosów kamieni; nad nimi na kształt baldachimów wznosiły się czuby fig i wisien,- niżej rozpościerały mocne gałęzie śliwy i brzoskwinie. Wszystko widać było wyraźnie, każde ziele, każdy liść, wszystko prócz koloru samej ziemi, gdyż okrywały ją szczelnie rozłożyste liście dyni, krzaczaste kępy sałaty i inne warzywa wysiane na zagonach; tak samo to wyglądało po jednej, jak i po drugiej stronie litery V, którą tworzyła rozwierająca się ku morzu dolina.

Przez krajobraz ten przepływała jak gdyby fala, niewidoczna i chwilami tylko słyszalna, ale to, co się dało usłyszeć, wystarczało, by wzbudzić niepokój: nagłe

wybuchy ostrych krzyków, odgłosy czegoś ciężko padającego na ziemię, czasem trzask złamanej gałęzi, i znowu krzyki, ale inne, i rozwścieczone wrzaski dochodzące stamtąd, gdzie chwilę przedtem rozbrzmiewały tamte głosy. A potem nic, cisza, ale jakby nabrzmiała oczekiwaniem czegoś, co się zaraz wydarzy, tylko już nie tam, lecz w zupełnie innym miejscu; i rzeczywiście po chwili wszystko rozlegało się znowu - te same krzyki i hałasy, po jednej lub drugiej stronie doliny, ale zawsze tam, gdzie poruszały się na wietrze drobno ząbkowane liście wiśni. Toteż Cosimo - tą częścią swego umysłu, która żeglowała sobie beztrosko w przestrzeni, podczas gdy druga część wiedziała i rozumiała wszystko niemal już z góry - sformułował taką myśl: wiśniowe drzewa mówią.

Skierował się ku najbliższemu drzewu, a raczej ku rzędowi wysokich drzew wiśniowych o pięknej, głębokiej zieleni i gałęziach obciążonych czarnymi wiśniami; ale mój brat nie miał jeszcze wtedy dość wyrobionego oka, by móc natychmiast rozróżnić, co jest, a czego nie ma w gęstwinie liści. Zatrzymał się: przed chwilą słychać stąd było głosy, a teraz nie. Znajdował się na jednej z niższych gałęzi i wszystkie wiśnie zwisające z gałązek ponad nim czuł na sobie - sam nie umiałby wytłumaczyć tego uczucia - jak gdyby drzewo to miało mnóstwo nie owoców, lecz oczu.

Cosimo uniósł twarz ku górze i jakaś przejrzała wiśnia pacnęła go w czoło. Przy-mrużył oczy spoglądając w górę, pod słońce, które stało już dość wysoko, i zobaczył nad sobą, na tym samym i na wszystkich sąsiednich drzewach, pełno chłopaków.

Widząc, że ich odkryto, nie milczeli dłużej, tylko zaczęli coś jazgotać jeden przez drugiego ostrymi, choć przytłumionymi głosami, z czego Cosimo zrozumiał tyle: - Patrzajcie no, jaki to strojniś! Rozgarniając przed sobą liście, zaczęli złazić z wyższych gałęzi na niższe, przypatrując się chłopcu w trójgraniastym kapeluszu na głowie. Sami mieli głowy bądź gołe, bądź przykryte obszarpanymi kapeluszami ze słomy, a niektórzy okutani byli w worki niby w opończe z kapturami; wszyscy mieli podarte koszule i porcięta, nogi bose albo okręcone szmatami, niektórym wisały u szyi

drewniane chodaki, które zdjęli wdrapując się na drzewo, cała liczna banda młodocianych rabusiów owoców, od których Cosimowi i mnie przykazywano zawsze - i na tym punkcie byliśmy rzeczywiście posłuszni rodzicielskim pouczeniom - trzymać się jak najbardziej z daleka.

Tego ranka natomiast mój brat zdawał się szukać ich kompanii, jakkolwiek sam dobrze nie wiedział, czego mianowicie się po niej spodziewa.

Czekał na nich nieporuszony, podczas gdy oni spuszczała się z góry, pokazując go sobie palcami, i rzucali mu przytłumionym, ale wrogim głosem zaczepne pytania w rodzaju: „Kiego licha też ten tu szuka!”, a nawet pluli na niego z rozmachem pestkami wiśni albo rzucali wiśniami, specjalnie wybierając zanieczyszczone czy też podziobane przez szpaki; robili to z rozmachem, kręcąc najpierw chwilkę w powietrzu wiśnią na długim ogonku, takim ruchem, jakby strzelali z procy.

- Uuuh! - zawyli nagle chórem na widok szpadki zwisającej u boku Cosima. -
Widzicie no, co on tu ma? - Buchnął śmiech: - To ci dopiero różeczka!

Raptem ucichli dusząc się ze śmiechu, działo się bowiem coś takiego, że można było oszaleć z uciechy: dwóch małych drapichrustów zlazło cichcem na gałąź tuż nad Cosimem i najwidoczniej chciało zarzucić mu na głowę worek (jeden z tych brudnych worków, do których ładowali zdobycz, a kiedy były puste, zakładali je sobie na głowę na kształt zwisających aż na grzbiety kapturów). Jeszcze chwila, a mój brat znalazłby się okutany w worek, nie wiedząc nawet, co się z nim dzieje; mogliby go wówczas skrepić jak kielbasę i uraczyć do woli kopniakami.

Cosimo wyczuł niebezpieczeństwo, a może nic nie wyczuł: wiedział tylko, że go wyśmiano z powodu szpadki, dobył jej więc z pochwy w obronie swego honoru. Uniósł broń w górę, ostrze musnęło worek, Cosimo spostrzegł go, ruchem wytrawnego szermierza wyrwał go z rąk dwu złodziejasków i odrzucił na ostrzu szpady precz od siebie. Było to dobre posunięcie. Zabrzmiało jedno wielkie „Och!” wyrażające zawód i podziw zarazem, a ci dwaj, którzy dali sobie wydrzeć worek, zostali obsypani niezrozu-

miałymi wyzwiskami, brzmiącymi w dialekcie: „*Cuiasse! Belinui!*”.

Cosimo nie zdążył nacieszyć się swym sukcesem. Wściekle przeciwnatarcie rozpętało się od dołu, z ziemi. Ujadały psy, śmigwały rzucane w górę kamienie, rozlegały się groźne krzyki: „Tym razem nie umkniecie nam, huncwoty, bękarcie nasienie!” - i sunęły ku górze ostre zęby wideł. Mali złodzieje kulili się na gałęziach, podciągając wysoko nogi i łokcie. To ów zamęt, który powstał dokoła Cosima, zaalarmował rolników, już mających się na baczności.

Atak był zawczasu przygotowany. Okoliczni drobni właściciele i dzierżawcy sadów, dość mając tego, że w miarę dojrzewania owoców są z nich systematycznie okradani, sprzymierzyli się między sobą; gdyż taktyce młodocianych rabusiów, polegającej na tym, że całą chmarą rzucali się na jeden sad, pustoszyli go i umykali - by powtórzyć to samo gdzieś daleko w innej stronie - można było stawić skuteczny opór, tylko stosując taktykę podobną: zacząć się gromadnie na którymś z folwarczków, dokąd prędzej czy później rabusie musieli zawitać, osaczyć ich i wszystkich wyłapać. Tak więc teraz psy spuszczone ze smyczy wspinały się z ujadaniem na pnie wisien, ukazując groźne kły w rozwartych paszczach, a ku gęstym koronom drzew sterczały, gdzie spojrzeć, długie zęby wideł do siana. Trzech czy czterech urwisów zeskoczyło z drzew w sam czas, by dać sobie pokaleczyć grzbiety ostrzami wideł i poszarpać nogawki spodni psimi zębami. Uciekli z wrzaskiem i skryli się w winnicy, w pędzie rozrywając rzędy winorośli podanymi naprzód głowami. Po nich nikt więcej nie odważał się zejść: wystraszeni, kulili się pośród gałęzi, Cosimo nie mniej od złodziejasków przerażony. A tu już chłopci przystawiali do drzew drabiny i włązili na nie, wysuwając naprzód wyostrzone zęby wideł.

Dłuższej chwili było potrzeba, by Cosimo zrozumiał, że bać się - tylko dlatego, że boi się tamta banda urwisów - to nonsens, podobnie jak nonsensem byłoby sądzić, że tamci dorównują mu zręcznością. Już sam fakt, że siedzą na drzewach jak głupi, był tego dowodem: na cóż czekają, zamiast chronić się na sąsiednie drzewa? Mój brat taką

drogą tam przybył i tak samo mógł w każdej chwili odejść: mocniej osadził trójgraniasty kapelusz na głowie, odszukał gałąź, która przedtem służyła mu jako most, z ostatniej wiśni przeniósł się na drzewo świętojańskie, stamtąd, zawisnąwszy na rękach, zeskoczył na niską śliwę, i tak dalej. Tamci widząc, jak on krąży wśród gałęzi swobodnie, jakby chodził po ziemi, w mig zrozumieli, że muszą trzymać się tuż przy nim, bo inaczej nie mało się namęczą, zanim znajdą dla siebie możliwe przejścia; ruszyli więc za nim, nic nie mówiąc, w tę trudną drogę. On tymczasem, wspiąwszy się na wierzchołek dużego figowca, przesadził żywopłot, spuścił się na drzewo brzoskwiniowe o miękkich, wątlých gałązkach, tak że trzeba było po nim przechodzić po jednym, kolejno. Drzewko to służyło tylko do tego, by z niego dosięgnąć pokrzywionego pnia starej oliwki przechylonej nad murem. Z oliwki jednym susem można było dostać się na stary dąb, którego potężne konary rozpościerały się nad bystrym potokiem, tak że znalezienie się na drzewach na drugim brzegu nie przedstawiało trudności.

Ludzie z widłami, którzy już pewni byli, że mają złodziei owoców w ręku, ujrzeli nagle, jak rozpierzchają im się w powietrzu niczym ptaki. Ruszyli za nimi w pogoń razem z ujadającymi psami, ale musieli okrążyć najpierw żywopłot, potem mur, dalej znów nie było na potoku kładki i stracili sporo czasu na szukanie dogodnego miejsca przeprawy, a przez ten czas chłopcy byli już daleko, pędząc co sił.

Biegli już teraz jak ludzie, nogami po ziemi. Wysoko wśród gałęzi pozostał tylko mój brat. „Gdzie się podział ten linoskoczek w kamaszach?” - mówili nie widząc go na czele. Popatrzyli w górę: był, przedostawał się z jednej oliwki na drugą. „Ej, ty tam, złaź na dół, teraz już nas nie złapią!” Ale on nie zlaź, śmigał z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, zniknął im z oczu w gęstwinie srebrzystych liści.

Chmara małych włóczęgów w workach zamiast kapturów i z trzciniami w ręku zaatakowała z kolei pewien wiśniowy sad w głębi doliny. Pracowali metodycznie ogoławając gałąź za gałęzią, aż nagle kogóż to zobaczyli na wierzchołku wyższego od

innych drzewa? Któż to siedział na gałęzi oplatając pień nogami, zrywał wiśnie ujmując dwoma palcami za ogonki i wkładał je do trójgraniastego kapelusza umieszczonego na kolanach? Chłopiec w kamaszach!

- Hej, ty, skąd się tu bierzesz? - pytali go zaczepnie, ale zarazem trochę niepewnie, bo tak to wyglądało, jakby po prostu przyfrunął.

Mój brat wyjmował z kapelusza wiśnie jedną po drugiej i podnosił je do ust delikatnie, niby wytworny przysmak. Potem wyrzucał pestki silnym dmuchnięciem uważając, żeby nie zaplamiać kamizelki.

- Ten zjadacz lodów - odezwał się jeden z chłopców - czegoż on od nas chce? Czemu nam się płacze pod nogami? Mógłby sobie jeść wiśnie w swoim ogrodzie! - byli jednak trochę onieśmieleni wiedząc, że na drzewach radzi sobie lepiej od nich wszystkich.

- Wśród tych zjadaczy lodów - odezwał się inny - urodzi się czasem przez omyłkę ktoś do rzeczy; choćby taka Strojnisia.

Na to niezrozumiałe imię Cosimo nadstawił ucha i zaczerwienił się, choć sam nie wiedział dlaczego.

- Strojnisia nas zdradziła! - rzekł któryś inny.

- Ale była fajna, choć też przecież zjadaczka lodów, i gdyby po staremu zatrąbiła na rogu dziś rano, nie nakryliby nas,

- No cóż, taki zjadacz lodów może także być z nami, czemu nie, jeżeli chce do nas przystać.

(Cosimo zrozumiał, że „zjadacz lodów” oznacza mieszkańca dworu, szlachcica czy inną wysoko postawioną osobę.)

- Słuchaj no ty - odezwał się któryś z chłopców - tak albo tak: chcesz być z nami, to wszędzie chodzimy razem i pokażesz nam wszystkie przejścia, jakie znasz.

- I wpuścisz nas do sadu swego ojca! - dodał inny. - Mnie tam kiedyś postrzelili solą!

Cosimo słyszał, co mówią, ale pochłaniały go zupełnie inne myśli. Wreszcie zapytał:

- Ale powiedzcie mi, kto to ta Strojnisia?

Na to wszyscy ci mali oberwańcy na gałęziach drzew buchnęli wielkim śmiechem; śmiali się tak, że niejeden omal nie zleciał na ziemię; niektórzy rzucali się w tył i zwisali uwieszeni u gałęzi nogami, inni spuszczaali się na rękach i kołysali nie przestając wyć i chichotać.

Przy takich hałasach, rzecz jasna, po chwili pogoń już znów następowała im na pięty. Dało się słyszeć głośne ujadanie psów i wnet cała gromada ludzi z widłami zaroila się w sadzie. Tym razem, nauczeni doświadczeniem, obsadzili przede wszystkim drzewa dokoła, wdrapując się na nie po drabinach i stamtąd czatowali na rabusiów uzbrojeni w widły i grabie. Na ziemi zostały psy, które, zaskoczone tą nagłą ucieczką wszystkich ludzi na drzewa, nie od razu zrozumiały, kogo właściwie mają atakować, i przez chwilę kręciły się bezradnie po sadzie ujadając tylko z wzniesionymi ku górze pyskami. Toteż złodziejaskowie jęli zeskakiwać żwawo na ziemię rozpierzchając się na wszystkie strony poprzez sforę ogłupiałych psów; niejeden poczuł na łydce chwyt psich zębów, niejednego trafił kamień czy kij, ale większość umknęła bez szwanku.

Na drzewie został tylko Cosimo.

- Złaź! - krzyczeli mu inni uciekając. -

Co ty? Spisz? Skacz na ziemię, póki czas, i zmykaj!

Ale on, mocno ścisnąwszy gałąź między kolanami, dobył szpady. Z dookolnych drzew wysuwały się groźnie w jego stronę widły przywiązane do tyczek, ale Cosimo zataczał szpadą młyńce opędzając się od napastników, żeby któryś nie trafił widłami w pierś, przygważdżając go do drzewa.

- Stać! - krzyknął jakiś głos. - Toż to nasz baroncino di Piovasco! Co tam panicz robi na drzewie? Jakże to się panicz wmieszał w tę hałastrę?

Cosimo rozpoznał głos jednego z dzierżawców naszego ojca, zwanego Giua znad stawu.

Wszystkie widły cofnęły się. Niektórzy z nacierających zdjęli kapelusze. Mój brat również uniósł dwoma palcami swój trykom i skłonił się.

- Hej, wy tam na dole, uwiążcie psy! - wołano. - Pomóżcie mu zejść! Może panicz schodzić, tylko ostrożnie, drzewo wysokie! Proszę zaczekać, przystawimy drabinę! Potem odprowadzę panicza do domu!

- Nie, nie, dziękuję -

rzekł mój brat. - Nie troszczcie się o mnie, znam drogę, moją własną drogę znam doskonale!

Zniknął za pniem i ukazał się zaraz na wyższej gałęzi, zniknął znowu i z dołu było już widać tylko jego nogi, jeszcze wyżej: reszta skryta była w gęstwinie liści. Potem skok i już ani śladu Cosima.

- Gdzie on się podział? - zastanawiano się nie wiedząc, gdzie patrzeć: w górę czy w dół.

- O, jest tam! - Cosimo ukazał się na wierzchołku innego, dalej stojącego drzewa. Potem zniknął znowu.

- Tam, tam! - Był teraz na wierzchołku odleglejszego jeszcze drzewa, kołysał się jakby niesiony wiatrem, zniknął.

- Spadł! Nie, nie! Jest! - Ponad zieleń czubów drzew wystawał tylko trójgraniasty kapelusz i warkoczyk.

- A cóż ty masz za pana? - zagadywano dzierżawcę. - Człowiek to czy leśny zwierz? A może diabeł we własnej osobie?

Giua milczał. Przeżegnał się tylko. Rozległ się śpiew Cosima, przeciągły, modulowany okrzyk:

- O, Strooojnisia...

Strojnisia; stopniowo z tego, co mówili mali rabusie, Cosimo dowiedział się wielu

rzeczy o tej osobie. Imieniem tym nazywali chłopcy jakąś dziewczynkę z którejś, z okolicznych willi; jeździła na białym kucu, zaprzyjaźniła się z nimi, obdartusami, przez pewien czas roztaczała nad nimi opiekę, a nawet poniekąd nimi rządziła; uganiała się na swoim białym kucu po drogach i polnych ścieżkach, a kiedy wypatrzyła dojrzałe owoce w nie strzeżonym sadzie, zaraz dawała im znać i towarzyszyła konno ich wyprawom niby oficer. Nosiła zawieszony u szyi róg myśliwski i podczas gdy oni obrywali migdały czy gruszki, krążyła na swoim koniku dokoła sadu, wykorzystując każde wzniesienie, z którego mogła objąć wzrokiem okolicę, a skoro tylko dostrzegła jakiś podejrzany ruch wśród chłopów, skoro zachodziła obawa, że odkryją rabusiów i rzucą się na nich - dęła w róg. Na ten sygnał chłopcy zeskakiwali z drzew i uciekali; dzięki temu nigdy nie zostali zaskoczeni, dopóki dziewczynka była z nimi.

Co właściwie zaszło później, trudno było Cosimowi zrozumieć. Owa „zdrada”, jakiej dopuściła się Strojnisia wobec swoich kompanów, polegała, zdawało się, na tym, że zwabiła ich do swego ogrodu, a kiedy objadali się owocami, zawołała służbę i kazała ich obić; a może trochę także na tym, że wyróżniła jednego z nich, niejakiego Bel-Lore, z którego wszyscy sobie potem z tego powodu podrzywali, a jednocześnie, po cichu, drugiego, zwanego Ugasso, szczując ich na siebie wzajem; a owe kije miały miejsce wcale nie przy okazji kradzieży owoców, ale wyprawy dwóch zazdrosnych faworytów, którzy ostatecznie sprzymierzyli się przeciwko niej; była też mowa o jakichś ciastkach, które wielokrotnie obiecywała swoim przyjaciołom i w końcu im je dała, ale okazały się pieczone na rycynowym oleju, tak że potem przez tydzień kręciło ich w brzuchach. Te czy inne podobne epizody, a może w ogóle wszystkie razem, sprawiły, że między Strojnisia a bandą nastąpiło zerwanie i teraz chłopcy mówili o niej z urazą pomieszaną jednak z pewnym żalem.

Cosimo chciwie słuchał wszystkich tych opowieści, a poszczególne ułamki składały się na obraz, który wydawał mu się w jakiś sposób znajomy. Wreszcie kiedyś zdecydował się zadać pytanie: „W której willi ona mieszka, ta Strojnisia?”.

- Jak to, chcesz powiedzieć, że jej nie znasz? Jesteście przecież sąsiedzi! Strojnisia z willi Ondarivów!

Właściwie Cosimowi nie było to potwierdzenie potrzebne - i tak był już pewien, że przyjaciółką małych włóczęgów jest Viola, dziewczynka z huśtawki. Ta właśnie, co mu powiedziała - że zna wszystkich złodziei owoców w okolicy - skłoniło go przypuszczalnie do wyruszenia na poszukiwanie bandy. Ale od tej pory uczucie, którym się kierował, jeśli nie stało się wyraźniejsze, to w każdym razie przybrało na sile. Chwilami chciał poprowadzić chłopaków do ogrodu Ondarivów, niechby go spustoszyli i poniszczili cenne rośliny, to znów pragnął służyć Violi przeciwko nim, choćby nawet miał przedtem podburzyć ich, żeby jej dokuczali, bo wtedy miałby okazję stanąć w jej obronie; chwilami znów chciał dokonywać jakichś niezwykłych czynów, które pośrednio doszłyby do jej uszu; a wśród tych sprzecznych myśli i pragnień wciąż wytrwale trzymał się bandy i kiedy chłopcy opuszczali drzewa, a on zostawał sam, smutek przesłaniał świat przed jego oczyma jak chmury, kiedy słońce zakrywają słońce.

Ale niebawem otrząsał się nagle, zwinny jak kot wspinał się na gałęzie i zaczynał hasać nad sadami i ogrodami nucąc przez zęby nie wiadomo co - było to jakieś nerwowe przyśpiewywanie, prawie bezgłośnie, z oczyma utkwionymi gdzieś w dali, tak że wyglądał, jakby nic dokoła siebie nie widział i utrzymywał równowagę dzięki instynktowi tylko, jak kot.

Wielekroć widzieliśmy go, kiedy w stanie takiego jakby opętania przenosił się z drzewa na drzewo w naszym ogrodzie. „Jest! jest!” - wołaliśmy wówczas bardzo podnieceni, bo wciąż jeszcze, cokolwiek byśmy robili, on absorbował nasze myśli, liczyliśmy najpierw godziny, a potem dni, odkąd przebywał na drzewach, a nasz ojciec mówił: „Oszalał! Diabeł go opętał! - i napadał na księdza Fauchelafleur: - Tu trzeba egzorcyzmów! Na co ksiądz czeka, powiadam, czemu ksiądz siedzi z założonymi rękami? Diabła ma w sobie ten mój syn, czy ksiądz rozumie, *sacre nom de Dieu!*”

Ksiądz otrząsał się nagle z drętwoty, słowo „diabeł” zdawało się budzić w jego umyśle logiczny ciąg rozumowania, wszczynał wielce zawiły wywód teologiczny w kwestii, co należy właściwie rozumieć przez diabła i jego obecność w człowieku; nie sposób zrozumieć, czy prowadzi spór z moim ojcem, czy tylko rozważa rzecz w ogólności; w każdym razie nie wypowiadał swego zdania co do tego, czy jakiś związek między diabłem a moim bratem należy uważać za możliwy, czy też z góry go wykluczyć.

Baron niecierpliwił się, ksiądz tracił wątek, ja słuchałem znudzony. U matki natomiast rodzicielski niepokój z niejasnego, nad wszystkim unoszącego się uczucia przerozdził się, jak to u niej zawsze bywało, w szereg praktycznych decyzji i poszukiwanie skutecznych środków do ich realizacji: tak właśnie, jak przystało generałowi. Wydobyła skądś wojskową lunetę, długą, opartą na trójnogu, i godzinami tkwiła przy niej na tarasie z okiem przytkniętym do soczewki, wciąż regulując kierunek i odległość, by nie stracić z ogniska soczewki obrazu chłopca wśród gałęzi, nawet wtedy kiedy mogliśmy przysiąc, że Cosimo znajduje się poza jej zasięgiem.

- Widzisz go jeszcze? - pytał z ogrodu nasz ojciec, który wciąż krążył pod drzewami, nigdy nie mogąc dostrzec Cosima, chyba że go miał tuż nad głową. Generalessa potwierdzała skinieniem głowy nakazując zarazem milczenie - niech jej nikt nie przeszkadza - jakby naprawdę obserwowała ruchy wojsk na rozległej wyżynie. Jasne było, że chwilami wcale go nie widzi, ale że jest, nie wiadomo dlaczego, pewna, że Cosimo ukaże się w tym, a nie innym miejscu, i tam właśnie kierowała swoją lunetę. Czasami jednak musiała chyba przyznawać sama przed sobą, że się omyliła,- w takich chwilach odrywała oko od soczewki i zaczynała uważnie badać mapę pomiarową okolicy, którą trzymała rozłożoną na kolanach; jedną dłoń przyciskała usta z wyrazem skupionego namysłu, drugą wodziła po hieroglifach mapy, dopóki nie ustaliła punktu, w którym jej syn powinien był się z całą pewnością znajdować; wtedy, szybko obliczywszy kąt widzenia, kierowała lunetę na czubek upatrzonego drzewa pośród

rozległego morza zieleni, starannie regulowała soczewki, a kiedy wargi jej zaczynały drgać uśmiechem, wiedzieliśmy, że go wypatrzyła, że on tam jest naprawdę!

Sięgała wtedy po kolorowe chorągiewki przygotowane obok na stołku, brała do ręki to jedną, to drugą i machała nimi zdecydowanymi, rytmicznymi ruchami, jakby przesyłała sygnały w jakimś umówionym języku. (Patrząc na to czułem pewną urazę, bo nie wiedziałem do tej pory, że matka ma takie chorągiewki i umie się nimi posługiwać, a przecież byłoby ładnie z jej strony, gdyby nas była nauczyła tej zabawy w chorągiewki, zwłaszcza dawniej, kiedy byliśmy mali; ale nasza matka nigdy nic nie robiła dla zabawy i teraz nie było już czego się spodziewać.)

Muszę zresztą przyznać, że z całym tym wojennym rynsztunkiem pozostawała jednak przede wszystkim matką, z sercem pełnym troski, ze zmiętą chusteczką kurczowo zaciśniętą w rękę; ale zarazem widać było, że to odgrywanie generała przynosi jej ulgę i że przeżywanie tego zmartwienia w charakterze Generalessy, a nie zwykłej sobie matki, chroni ją przed ostatecznym przygnębieniem. Bo w gruncie rzeczy była to delikatna kobietka i ów styl wojskowy odziedziczony po przodkach, von Kurtewitzach, był jej jedyną obroną.

Kiedy tak stała wymachując jedną ze swych chorągiewek a równocześnie nie odrywając oka od lunety, nagle twarz jej rozpromieniła się i matka się roześmiała. Zrozumieliśmy natychmiast, że Cosimo jej odpowiedział. Jak - tego nie wiem; może powiewając kapeluszem albo kołyszając gałęzią. Jedno jest pewne, że od tej chwili matka była jak odmieniona, znikło dotychczasowe przygnębienie, a choć przypadł jej, jako matce, los tak bardzo różny od losu zwykłych matek, z tym synem dziwakiem, straconym dla normalnego życia i normalnych I uczuć, ona się z tym dziwactwem Cosima pogodziła pierwiej niż ktokolwiek z nas, jakby wystarczały jej te pozdrowienia z oddali, jakie jej od tej pory raz po raz niespodzianie j przesyłał, te milczące wymieniane z nim znaki.

Rzecz ciekawa: nasza matka nie łudziła się wcale, iżby to pozdrowienie miało oznaczać, że Cosimo zamierza skończyć z tym swoim wybrykiem i wrócić pomiędzy

nas. Ojciec natomiast żył w nieustannym napięciu i oczekiwaniu i każda najbliższa bodaj wiadomość o Cosimie rozbudzała w nim nadzieję:

- Ach, tak? Widzieliście go? No i co? Wraca?

A matka, choć może najbardziej z nas wszystkich do Cosima niepodobna, była jedyną, która zdawała się przyjmować go takim, jakim był, i nie próbowała szukać żadnego wytłumaczenia jego postępowania.

Wróćmy jednak do tamtego dnia. Zza pleców matki ukazała się na chwilę Battista, która rzadko kiedy wysuwała nos z domu; ze słodziutką miną teraz wyciągała daleko przed siebie rękę z talerzem napełnionym jakąś dziwną papką, w drugiej ręce zachęcająco unosząc w górę łyżkę: „Cosimo... chcesz?” Ale ojciec wymierzył jej policzek i wróciła jak niepyszna do domu. Bóg wie, jakie znowu paskudztwo upitraszyła. Nasz brat tymczasem zniknął nam znów z oczu.

Miałem straszną ochotę biegać w ślad za nim, zwłaszcza odkąd wiedziałem, że bierze udział w wyprawach tej bandy małych obdartusów; wydawało mi się, że on otwiera przede mną bramy nowego królestwa, na które patrzyłem już nie z tchórzliwą nieufnością, ale z entuzjazmem i miłym poczuciem wspólnoty. Biegałem nieustannie tam i na powrót między tarasem i pewnym okienkiem na strychu, z którego mogłem ogarnąć spojrzeniem ogromną przestrzeń wypełnioną czubami drzew; stamtąd śledziłem, bardziej jeszcze słuchem niż wzrokiem, pełne wrzasku najścia bandy na sady, widziałem, jak chwieją się czuby drzew wiśniowych, czasem z gęstwiny wysuwała się jakaś ręka szarpiąca obwieszone owocem gałązki, jakaś głowa, goła, o zmierzwionych włosach albo schowana w workowym kapturze, a wśród głosów rozróżniałem głos Cosima i zdumiony zadawałem sobie pytanie: „Jak on to zrobił, że już jest tam? Dopiero co był przecież w parku! Śmiga szybciej od wiewiórki!”

Byli właśnie, pamiętam, na czerwonych śliwkach przy Dużym Stawie, kiedy rozległ się dźwięk rogu. Ja też go usłyszałem, ale nie zwróciłem na niego uwagi, nie wiedząc, co oznacza. Ale oni! Mój brat opowiadał mi później, jak wręcz zaniemówili z

wrażenia, że znowu słyszą ten dźwięk; wydawało się, jakby wcale nie pamiętali, że to sygnał alarmowy, i tylko zastanawiali się, czy ich słuch nie myli, czy to rzeczywiście ona, Strojnisia, znów uganiania po drogach i drózkach na swym kucu, ostrzegając ich o niebezpieczeństwie. Aż nagle wypadli wszyscy pędem z sadu, nie była to jednak ucieczka, pędzili, żeby ją odszukać, żeby ją dogonić.

Cosimo został sam, z twarzą jak ogień czerwony. Ale skoro tylko zrozumiał, że to za nią chłopcy tak pędzą, wielkimi susami z gałęzi na gałąź podążył za nimi, na każdym kroku ryzykując skręcenie karku.

Na zakręcie stromej drogi zobaczył Violę. Tkwiła nieruchomo w siodle, w jednej ręce złożonej na grzywie kuca trzymała wodze, w drugiej szpicrutę, której koniec przygryzała zębami, spoglądając na chłopców nieco z góry. Amazonkę miała błękitną, róg pozłacany, zawieszony na cienkim łańcuszku na szyi. Chłopcy zatrzymali się zbici w gromadkę - wszyscy także coś gryźli, śliwki lub palce, albo ssali zadrapania na rękach czy wreszcie strzępki swoich łachmanów. Po chwili, z wolna, z ich zajętych gryzieniem ust zaczęły się dobywać słowa - opornie, jakby nie dyktowało ich żadne żywiołowe uczucie, ale raczej jakaś konieczność przewyciężenia czegoś, co im ciążyło; słowa z początku prawie bezgłosne, ale rytmiczne, podobniejsze do śpiewu niż do mowy: „Po co tu... przychodzisz... Strojnisia... po co wracasz... nie jesteś już... jedną z nas... podły tchórz... podły tchórz...”

Rozległ się gwałtowny szelest i oto na wysokim drzewie figowym pojawił się zdyszany Cosimo. Ona, nie przestając przygryzać szpicrutę, objęła ich wszystkich jednym wyniosłym spojrzeniem, jego i ich. Cosimo nie wytrzymał. Nie ochłonawszy jeszcze, zdyszany, wyrzucił z siebie słowa:

- Wiesz, nie zszedłem ani razu na ziemię od tamtej pory!

Czyny oparte na zasobach wewnętrznej wytrwałości nie znoszą słów i ostentacji. Z chwilą kiedy ktoś zaczyna o nich mówić i chwalić się nimi, wszystko okazuje się próżnością, bezsens, głupota. Toteż mój brat, zaledwie wypowiedział te słowa, byłby

dał nie wiem co, żeby nigdy nie zostały wypowiedziane. Przestało mu na czymkolwiek zależeć, wręcz poczuł pokusę zejścia na dół i skończenia z tym wszystkim. Zwłaszcza kiedy Viola powolnym ruchem odjęła szpicrutę od ust i powiedziała grzecznie:

- Ach, tak?... Zuch szpaczek!

Z ust wszystkich tych nędznych wszarzy rozległ się najpierw dziwny pomruk, a potem ryknęli wszyscy wielkim śmiechem, trzymali się za brzuchy, jakby im miały pęknąć, a Cosimo na wysokiej gałęzi tak zatrząś się z wściekłości, że figa, drzewo, jak wiadomo, zdradzieckie - nie wytrzymała, gałąź pod jego nogami złamała się z trzaskiem, on sam zaś zwałił się ciężko jak kamień.

Spadał z rozpostartymi ramionami, nie zdołał się zatrzymać. Prawdę mówiąc, był to jedyny raz w ciągu jego przebywania na drzewach, kiedy ani wola, ani instynkt nie skłaniały go do utrzymania się w górze. Ale poła jego fraczka zaczepiła się o sęk najniższego konara: w odległości czterech stóp od ziemi Cosimo zawisł w powietrzu, głową na dół.

Krew napłynęła mu do głowy, miał wrażenie, że pędzi ją ta sama siła, która przedtem kazała mu się czerwienić ze wstydu. I jego pierwszą myślą, kiedy szeroko otwartymi oczyma ujrzał rozwrzeszczanych chłopców do góry nogami, opanowanych nagle istną furią wywracania koziółków, tak że jeden po drugim ukazywali się na moment jakby uczepliwi wiszącej nad otchłanią ziemi, i jasnowłosą dziewczynkę na wierzgającym kucu - otóż pierwszą jego myślą było, że ten pierwszy raz, kiedy odezwał się o swoim przebywaniu na drzewach, będzie zarazem ostatnim.

Silnym wyrzutem rąk uchwycił gałąź, podciągnął się i usiadł na niej okrakiem. Viola uspokoiła już swego kuca i wyglądała tak, jakby na to, co zaszło, nie zwróciła zgoła uwagi. Cosimo natychmiast zapomniał o swoim zmieszaniu. Dziewczynka podniosła róg do ust i wydała przeciągły, ostrzegawczy ton. Na dźwięk ten chłopcy (których, jak komentował później Cosimo, obecność Violi wprawiała w stan dziwnego podniecenia, działając na nich jak światło księżycy na zające) rzucili się do ucieczki.

Uciekali posłuszni instynktowi, choć przecież wiedzieli, że ona tym razem zadeła w róg po prostu dla zabawy; właściwie i oni także bawili się tylko w ucieczkę, niemniej pędzili ile sił w nogach po spadzistym zboczu, za nią, za jej galopującym na krótkich nóżkach konikiem.

Gnając tak na ślepo, na złamanie karku, spostrzegli się raptem, że ona już nie galopuje na ich czele. Porzuciła ich, skręciła gdzieś na bezdroża, zostawiła ich samych. I po co to zrobiła? Oto gna teraz przez oliwniki, schodzące tarasowato w dolinę, szukając oliwki, na której w tej chwili znajduje się Cosimo. Okrąża drzewo w galopie i ucieka, po to by po chwili znaleźć się znowu pod inną oliwką, gdzie w gęstwinie liści widzi mego brata. I tak dalej, i dalej, szlakiem równie krętym jak poskręcane konary starych drzew oliwnych, razem zdążali oboje w głąb doliny.

Tymczasem mali rabusie, skoro spostrzegli, co się dzieje, i zrozumieli grę, jaką wiodło tych dwoje - jedno na siodle, drugie wśród gałęzi - wszyscy razem zaczęli gwizdać, gwizdać złośliwie i szyderczo. I przy wtórze tych przeraźliwych gwizdów odeszli razem w stronę Bramy Kaparowej.

Dziewczynka i mój brat zostali sami, mogli dalej prowadzić swoją gonitwę poprzez oliwniki, ale Cosimo spostrzegł ku swemu rozczarowaniu, że z chwilą kiedy znikła roz-wrzeszczana gromada, wesołość Violi i jej zapał do zabaw zaczęły przygasać ustępując nieomal nudzie. Przemknęło mu przez głowę podejrzenie, że ona wszystko to robiła tylko na złość tamtym - a jednocześnie nadzieja, że to, co robi teraz, jest też trochę na złość jemu; jedno było pewne: że stale czuje potrzebę drażnienia kogoś, żeby mu się wydać tym bardziej upragnioną. (Wszystkie te rzeczy Cosimo, młodziutki jeszcze wówczas chłopiec, wyczuwał zaledwie bardzo mgliście; w gruncie rzeczy, o ile sobie wyobrażam, wdrapywał się po chropawej korze drzew niewiele myśląc, raczej ogłupiały.)

Zza pagórka posypał się nagle grad drobnych kamyków i żwiru. Dziewczynka skurczyła się chowając głowę za szyję kuca i pomknęła galopem; mój brat, uczepiony

gałęzi całkowicie odsłoniętej, pozostał pod ostrzałem. Ale kamyki dolatywały tam już słabo, nie robiąc mu wiele krzywdy,- parę tylko trafiło go w czoło i uszy. A tamci, rozbestwieni, gwizdali, ryczeli ze śmiechu i krzyczeli: „Stroj-ni-sia paskudnisia”... A potem pierzchnęli.

Po chwili banda dotarła do bramy zwanej Kaparową, gdyż okrywały ją zielonymi kaskadami pieniaące się w załamkach muru kapary. Z nędznych lepianek dokoła słychać było donośne głosy matek. Ale nie były to głosy, jakimi matki zwołują wieczorami dzieci do domu; matki tych dzieci krzyczały na nie o to, że przychodzą na wieczerzę do domu zamiast poszukać sobie czegoś do jedzenia gdzie indziej. Dokoła Bramy Kaparowej, w lepiankach i szałasach albo w zaimprovizowanych namiotach gnieździła się najuboższa ludność Ombrosy, tak biedna, że nie było dla niej miejsca w obrębie miasta, ani też w pobliżu wsi; ludność, która wyroiła się gdzieś na dalekich obcych ziemiach, przepędzana z miejsca na miejsce głodem i nędzą szerzącą się po wszystkich państewkach Italii. Słońce zachodziło właśnie, rozczochrane kobiety z niemowlętami przy piersi rozniecały ogień w dymiących piecykach, żebracy rozsiadali się w chłodzie odwijając szmaty ze swoich ran i blizn, inni grali w kości przy wtórze głośnych pokrzykiwań. Chłopcy z bandy wmieszali się w dymy piecyków, w kłótnie i krzyki, obdzielani przez matki szturchańcami, czubili się między sobą, brali za łby i tarzali po ziemi w tumanach kurzu. Ich łachmany przybierały wygląd wszystkich innych łachmanów, a ich ptasia beztroska, zanurzona w tych ludzkich mętach, zmieniała się w tępe ogłupienie. Toteż na widok jasnowłosej dziewczynki galopującej na kucu i Cosima na pobliskich drzewach, ledwie podnieśli onieśmielony wzrok, by zaraz potem wycofać się trwożliwie, skulić w sobie, usiłując zniknąć w kurzu i dymie, jak gdyby między nimi a tamtymi dwojgiem wyrósł nagle mur.

Dla nich zaś wszystko to było jedną chwilą, jednym mgnieniem oka Viola pozostawiła za sobą dymy nędznego osiedla, mieszające się już z mrokiem wieczoru, wrzaskliwe kłótnie kobiet i dzieci i mknęła teraz pomiędzy piniami wzdłuż plaży.

Dalej było już morze. Przewalało się z szumem przez głązy. A oto odgłos ostrzejszy, bardziej metaliczny: to kucyk pędzi krzesząc iskry z kamieni. Z niskiej rozłożystej pinii brat mój spoglądał za jasnowłosą dziewczynką, która niby biała zjawa przemykała plażą. Fala o lekko spienionej grzywie wzniosła się ponad czarną powierzchnię morza, rosła jakby odchylona do tyłu, sunęła naprzód cała biała i w końcu rozbiła się o brzeg; cień konia z dziewczynką na grzbiecie musnął ją w pędzie i biały bryzg słonej morskiej wody dosięgnął twarzy siedzącego na gałęzi pinii Cosima.

VI

Te pierwsze dni spędzone przez Cosima na drzewach nie miały jakichś wytyczonych celów czy programów - wypełniało je po prostu pragnienie poznania i objęcia w posiadanie swego królestwa. Cosimo byłby chciał zwiedzić je całe od razu, aż po najdalsze kresy, zbadać wszelkie możliwości, jakie miało mu do ofiarowania, odkrywać je drzewo za drzewem, gałąź za gałęzią'. Mówię: byłby chciał - w rzeczywistości jednak widzieliśmy go raz po raz pojawiającego się nad naszymi głowami, widzieliśmy jego zaaferowaną minę i szybkie, zwinne ruchy leśnego zwierzęcia, które nawet wtedy, kiedy się przyczai nieruchomo, wygląda tak, jakby już-już miało zerwać się i zniknąć.

Dlaczego wracał wciąż do naszego parku? Widząc, jak lawiruje, jak przelatuje niemal z płątana na dąb w polu widzenia lunety naszej matki, pomyśleć by można, że tą siłą, która go popychała, tą jego dominującą pasją, była wciąż i niezmiennie chęć sprzeciwiania się nam, robienia nam przykrości czy też wprawiania nas w złość. (Mówię „my”, choć jeśli o mnie chodzi, do tamtej pory nie udało mi się jeszcze dociec, co właściwie Cosimo o mnie myśli: kiedy czegoś potrzebował, wydawało się, że przymierze między nami nie może w ogóle budzić wątpliwości; kiedy indziej znów przechodził nad samą moją głową, tak jakby mnie wcale nie dostrzegał.)

Ale naprawdę bywał tam tylko mimochodem. Miejscem, które go pociągało, był mur obok magnolii, tam raz po raz znikał nam z oczu, i to nawet o takich porach, kiedy jasnowłosa dziewczuszka na pewno jeszcze nie wstała albo kiedy armia ciotek czy guwernantek musiała już ją zapędzić do domu. W ogrodzie Ondarivów gałęzie drzew wyciągały się niby macki jakichś fantastycznych zwierząt, na ziemi otwierały się na kształt gwiazd rośliny o liściach ząbkowanych, podobnych do zielonej skóry płazów, falowały w podmuchach wiatru lekkie, żółtawe bambusy, szeleszczące jak papier. Na najwyższych drzewach Cosimo, pragnąc delektować się aż do dna tym bogactwem różnorodnej zieleni, rozmaitym przenikaniem światła i rozmaitymi odcieniami ciszy, zawiśnął głową na dół z gałęzi, a ogród z tej pozycji wyglądał jak puszcza, ale puszcza nie-

ziemska, jakiś nowy nieznany świat.

Nagle pojawiała się Viola. Zdarzało się, że Cosimo spostrzegał ją niespodzianie, kiedy już siedziała na huśtawce i odbijała się od ziemi albo też ukazywała się nagle na grzbiecie swego kuca, czasem znów poprzedzał ją dolatujący z głębi ogrodu posępny głos myśliwskiego rogu.

Margrabiostwo d'Ondariva nie niepokoiło się nigdy konnymi wyprawami dziewczynki. Dopóki chodziła piechotą, miała wszystkie ciotki na karku; ale z chwilą kiedy wsiadała na konia, była wolna jak ptak, gdyż ciotki konno nie jeździły i nie miały pojęcia, gdzie ona tak ugania. A poza tym zażyłość z małymi włóczęgami była w ich pojęciu czymś tak niesłychanym, że podobna myśl nie miałaby do ich głów dostępu. Natomiast ten baroncino, który wdzierał się podstępnie do ogrodu po gałęziach drzew, został natychmiast zauważony i pobudził je do czujności zabarwionej wyniosłą wzdardą.

U naszego ojca, natomiast, rozgoryczenie z powodu nieposłuszeństwa Cosima łączyło się jakoś z nienawiścią do Ondarivów; wyglądało to nieomal, jakby im przypisywał winę, jak gdyby to oni zwabiali jego syna do swego ogrodu, gościli go u siebie i zachęcali do tej buntowniczej zabawy. W końcu powziął plan urządzenia obławy w celu schwytania Cosima i to nie na naszym terytorium, tylko właśnie wtedy, kiedy będzie się znajdował w ogrodzie Ondarivów. Gwoli silniejszego podkreślenia swoich zaczepnych intencji w stosunku do sąsiadów, sam nie zamierzał wziąć w tej obławie udziału, nie chciał stanąć osobiście przed wrogiem i prosić o zwrócenie mu syna - co, jakkolwiek nieuzasadnione, byłoby próbą załatwienia konfliktu z godnością, jak przystało między szlachtą - ale posłał oddział swoich ludzi pod wodzą cavaliere adwokata, Enei Silvia Carregi.

Oddział ów, uzbrojony w drabiny i sznury, stanął u bramy posiadłości Ondarivów. Cavaliere adwokat, w czamarze i fezie, zapytał, czy mogą wejść, mamrocząc przy tym jakieś przeproszenia. Z tego wszystkiego domownicy Ondarivów

zrozumieli, że chodzi o poprzycinanie jakichś gałęzi, które wystają ponad murem na teren naszego ogrodu. Potem zaś, kiedy cavaliere zaczął jękać się powtarzać słowo „schwytamy... schwytamy...” rozglądając się przy tym po drzewach z zadartą do góry głową i drepcząc jakoś bezładnie to tu, to tam - zapytali:

- Ale co to wam uciekło? Papuga?

- Syn, pierworodny, następca - wyjaśnił spieszenie cavaliere i przystawiwszy drabinę do indyjskiego kasztanowca zaczął się na nią wspinać. W gęstwinie gałęzi siedział sobie Cosimo machając beztrosko nogami, jakby nigdy nic. I tak samo też, jakby nigdy nic, biegała sobie po alejkach Viola tocząc przed sobą kółko. Pachołcy podawali cavaliere adwokatowi sznury, które w jakiś niewiadomy sposób miały posłużyć do ujęcia mego brata. Ale Cosimo, zanim cavaliere wdrapał się do połowy wysokości drabiny, był już na wierzchołku innego wysokiego drzewa. Cavaliere kazał więc przestawić drabinę, i tak dalej, cztery czy pięć razy, niszcząc przy tym okropnie kwietniki, a Cosimo za każdym razem w dwóch susach przenosił się na następne drzewo. W pewnej chwili Violę otoczył łańcuch ciotek i wiceciotek, zaprowadzono ją do domu i zamknięto wewnątrz, żeby nie asystowała przy tych gorszących awanturach. Cosimo ułamał sobie gałąź i ująwszy ją oburącz wymachiwał nią ze świstem w powietrzu.

- Ależ, drodzy panowie, czy nie możecie udać się do waszego rozległego parku i tam prowadzić dalej łowy? - zapytał margrabia d'Ondariva stojąc w dostojnej pozie na schodach willi; był w szlafroku, na głowie miał piuskę, co go czyniło dziwnie podobnym do cavaliere adwokata. - Do was mówię, do całej rodziny Piovasco di Rondo! - irzatoczył ręką szeroki kolisty gest, obejmując nim baroncina na drzewie, jego naturalnego stryja, całą służbę i, po drugiej stronie muru, wszystko, cokolwiek mieliśmy naszego pod słońcem. Teraz Enea Silvio zmienił nagle ton. Podreptał do markiza i jakby nigdy nic zaczął jękać się mówić mu coś o wodotryskach, o sadzawce przed willą i o jakimś swoim wynalazku, który pozwala uzyskać wytrysk wody dużo wyższy i

bardziej efektowny który może także służyć przy zmianie rozetki do podlewania gazonów. Był to nowy dowód, jak pełen niespodzianek i jak nieodpowiedzialny jest charakter naszego przyrodniego stryja: posłał go przecież baron z wyraźnym poleceniem, w intencji zdecydowanie względem naszych sąsiadów wrogiej; cóż więc miały tu znaczyć jakieś przyjacielskie pogawędki z markizem, wyglądające na próbę zjednania sobie jego przychylności? Tym bardziej że skłonność do konwersacji objawiać zwykł cavaliere adwokat właśnie tylko w takich wypadkach, kiedy szczególnie liczyło się na jego nieustępliwy charakter. A szczytem wszystkiego było to, że markiz słuchał go chętnie, zadawał mu pytania i razem poszli na inspekcję wszystkich sadzawek, basenów i wodotrysków, obaj jednakowo ubrani, podobni do siebie w swoich długich kapotach, jednakowego wzrostu, że łatwo ich było z sobą pomylić, a za nimi cała chmara służby ich i naszej; niektórzy dźwigali na plecach drabiny i wcale już nie wiedzieli, co mają robić.

Tymczasem Cosimo przechodził sobie spokojnie z gałęzi na gałąź po drzewach rosnących najbliżej domu, starając się przez zasłonięte firankami okna wysledzić pokój, w którym zamknięto Violę. Odkrył go w końcu i rzucił jakimś twardym owocem w okiennicę. Okno rozwarło się, wyrzała jasnowłosa dziewczynka i rzekła:

- Przez ciebie jestem tu uwięziona. - Po czym zamknęła okno i zaciągnęła storę. Cosima ogarnęła rozpacz.

Kiedy mój brat wpadał w jedno ze swoich szaleństw, przysparzał nam nie byle jakiego niepokoju. Widzieliśmy go, jak biega nad nami (o ile słowo „biegać” nie traci sensu, skoro oderwie się je od ziemi i przeniesie w świat nieregularnych punktów oparcia rozrzuconych na różnej wysokości, z pustką pomiędzy nimi), i zdawało się, że lada chwila któryś z tych punktów oparcia zawiedzie go i Cosimo spadnie - co się zresztą nigdy nie zdarzyło. Skakał, przebiegał szybkim krokiem pochyły konar, to zwisał, to podciągał się błyskawicznie na wyższą gałąź, i po czterech czy pięciu ryzykownych zygzakach znikał nam z oczu.

Dokąd tak wędrował? Owego pamiętnego dnia gnał i gnał - z dębów na oliwki, z oliwek na buki, aż znalazł się w lesie. Zatrzymał się zdyszany. Pod nim zaczynała się rozległa polana. Niski wiatr poruszał gęstymi kępami ziół, że falowały niby morze o rozmaitych, wciąż zmiennych odcieniach zieleni. Nad polaną polatywały z wiatrem nieuchwytnie pióreczka ze srebrzystych kul rośliny zwanej dmuchawcem. Pośrodku polany rosła samotna sosna, niedostępna, o wydłużonych szyszkach. Pełzaczki leśne, małe ruchliwe ptaszki brunatnej barwy w cętki, przysiadły na gałęziach najeżonych igłami, w dziwacznych pozach, niektóre głową na dół, wydziobując larwy owadów i ziarenka szyszek.

Ta potrzeba przenikania w głąb elementów trudnych do opanowania, która popchnęła mojego brata do odkrywczych wędrówek po drzewach, drażyła go nadal wciąż jeszcze nie zaspokojona, zmuszając go do coraz bardziej drobiazgowej penetracji, do rozpoznawania każdego liścia, każdej łuski, każdego piórka i każdego szelestu skrzydeł. Była to ta sama miłość, jaką żywi myśliwy dla wszystkiego, co żyje, i której nie umie wyrazić inaczej niż za pomocą strzelby; Cosimo jeszcze tego wówczas nie pojął i starał się wyładować swoje pragnienia w coraz zacieklejszych eksploracjach.

Las był gęsty, trudno dostępny. Cosimo musiał torować sobie drogę przy pomocy szpady i po trochu zapominał o swojej manii badawczej, pochłonięty trudnościami w posuwaniu się naprzód, a także obawą (choć sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać), żeby nie oddalić się zanadto od dobrze mu znanych miejsc. Rozgarniając gęstwinę gałęzi ujrzał nagle tuż przed sobą dwoje żółtych wpatrzonych w niego oczu. Cosimo nastawił szpadę, drugą ręką odsunął gałąź, która przesłaniała mu widok, a potem powoli opuścił ją z powrotem na miejsce. Odetchnął z ulgą i roześmiał się z własnego przestachu; zobaczył, czyje były te żółte oczy: po prostu kota.

Obraz kota, ujrzany na mgnienie oka, kiedy odsunął gałąź, pozostał jednak wyraźnie odbity w jego mózgu i po chwili Cosimo ponownie uczuł dreszcz trwogi. Bo ten kot, choć zupełnie podobny do zwykłego kota, był kotem straszliwym, groźnym,

takim, że na sam jego widok można było krzyknąć ze strachu. Trudno powiedzieć, co właściwie było tak przerażającego w jego wyglądzie: rodzaj żbika, trochę większy od zwykłych żbików, ale to niewiele mówi: było coś groźnego w jego wąsach sztywnych jak kolce jeża, w jego oddechu raczej dostrzegalnym niż słyszalnym, dobywającym się spoza podwójnego rzędu cienkich i zaostrzonych jak szpony zębów; w uszach, o których nie dość powiedzieć, że były wyostrzone: były uosobieniem napięcia, mimo złudnych pozorów miękkości porastającego je futerka; w sierści nastroszonej, wydymającej się wokół krótkiej szyi na kształt białej kryzy; od tego miejsca rozchodziły się wachlarzowato pręgi, które na bokach zwierzęcia drgały, jakby same siebie głaskały; lęk budził trwający nieruchomo w pozycji tak nienaturalnej, że wydawała się wręcz niemożliwa do utrzymania; do tego wszystkiego, co Cosimo widział 'przez sekundę, zanim gałąź powróciła na swoje miejsce, dołączało się to, czego nie zdążył zobaczyć, ale co sobie wyobrażał: bujne kępki sierści dokoła łap, maskujące siłę i ostrość pazurków, gotowych w jednej chwili rzucić się na niego i szarpać; a także to, co wciąż jeszcze stało mu przed oczyma: żółte tęczęwki nieruchomo wpatrzony w niego poprzez liście i migoczące dokoła czarnych źrenic; wszystko to razem utwierdziło Cosima w przekonaniu, że stał twarzą w twarz z najdrapieżniejszym ze wszystkich dzikich kotów w lesie.

Umilkły dokoła wszelkie świergoty i szelesty. Dziki kot skoczył, ale nie w kierunku chłopca, lecz prawie pionowo w górę, co Cosima bardziej jeszcze zdumiało, niż przerażyło. Strach przyszedł potem, na widok kota zaczajonego na gałęzi tuż nad jego głową. Był tam, Cosimo widział ' dokładnie jego brzuch o długiej sierści, prawie białej, łapy wczepione pazurami w drzewo i grzbiet wyginający się z wolna w łuk, słyszał groźne fff... kot gotował się najwidoczniej do skoku na niego. Cosimo błyskawicznym, instynktownym ruchem zsunął się na niższą gałąź. Fff... fff... - fukał dziki kot i za każdym fuknięciem wykonywał skok, z gałęzi na gałąź, aż znalazł się znowu tuż nad głową Cosima. Mój brat powtórzył swój manewr, teraz siedział

okrakiem na najniższej gałęzi buka. Pozostawał już tylko skok na ziemię, co prawda z dość dużej wysokości; ale i tak bezpieczniej było raczej skoczyć niż czekać na drzewie na to, co drapieżna bestia zrobi, kiedy już skończy wydawać ów przerażający dźwięk ni to sapania, ni miauczenia.

Cosimo podniósł już jedną nogę, był prawie gotów skoczyć; ale walczyły w nim dwa instynkty - naturalny instynkt samozachowawczy i upór, z jakim zdecydowany był nie schodzić nawet za cenę życia; w rezultacie więc mocniej jeszcze ścisnął konar udami i kolanami. Ten moment wahania wydał się widać kotu odpowiedni do skoku: rzucił się chłopcu na głowę, z najeżoną sierścią, z nastawionymi pazurami, sapiąc groźnie. Cosimo nie mógł zrobić nic więcej, tylko zamknąć mocno oczy i pchnąć na oślep szpadą - ale był to niezdarny ruch, kot z łatwością uniknął ciosu i już był na głowie chłopca, pewny, że zdoła go strącić nie wypuszczając z pazurów. Ostre szpony rozdarły Cosimowi policzek, ale zamiast spaść, przycisnął się jak długi do konara, który obejmował kolanami. Było to coś, czego się kot wcale nie spodziewał; przewrócił się na grzbiet, próbował się zatrzymać, wczepić się pazurami w gałąź, przekręcił się w powietrzu na jedno mgnienie oka, ale Cosimowi to wystarczyło: uniesiony bojowym zapalem dźgnął zwierza ostrzem w brzuch i przebił go na wskroś, przeraźliwie miauczącego, swą szpadą.

Był ocalony, choć cały zbryzgany krwią, z bestią nadzianą na szpadę jak na rożen, z policzkiem rozoranym od oka aż do podbródka potrójną krwawą bruzdą.. Krzyczał zarazem z bólu i z upojenia zwycięstwem, sam nie rozumiał, jak to się stało, z całej siły obejmował konar, swoją szpadę, trupa kota, w rozpaczliwym porywie kogoś, kto po raz pierwszy odniósł zwycięstwo i poznał mękę zwyciężania, i teraz wie już, że musi iść dalej drogą, którą wybrał, że nie będzie mu już dana ucieczka w słabość.

Takim go zobaczyłem: wędrował ku nam po drzewach, okrwawiony, nawet kamizelkę miał całą we krwi, z warkoczykiem w nieładzie, pod zdeformowanym kapeluszem, a w ręku dźarzył za ogon martwego dzikiego kota, który teraz wyglądał

po prostu jak zwykły kot. Pobiegłem na taras do Generalessy:

- Pani matko - wołałem - jest ranny!

- *Was?* Jak to ranny? - i już nastawiała swoją lunetę.

- Taki ranny, że wygląda jak ranny - wyjaśniłem, a Generalessa najwidoczniej uznała moją definicję za trafną, bo śledząc przez lunetę Cosima, który zbliżał się susami jeszcze śmielszymi niż zazwyczaj, powiedziała: - *Es ist wahr.*

I zaraz zakrzętnęła się żywo, przygotowując szarpie i plastry, i balsamy w takiej ilości, jakby miała zaopatrzyć ambulans całego batalionu; wszystko to wręczyła mi z poleceniem, żebym mu zaniósł; nie zaświtała jej przelotna bodaj nadzieja, że Cosimo zdecyduje się wrócić, żeby kurować się w domu. Z zawiniątkiem bandażu pobiegłem czym prędzej do parku, pod najdalszą morwę tuż pod murem ogrodu Ondarivów, bo tam właśnie, na magnolii, zniknął dopiero co Cosimo.

W ogrodzie Ondarivów pojawił się tryumfujący, z zabitym zwierzem w ręku. I cóż zobaczył na podjeździe przed willą? Karete gotową do drogi, służbę ładującą kufry na dach pojazdu, tłum guwernantek i ciotek, czarnych i surowych, a pośród nich Violę w podróżnym stroju, żegnającą się z rodzicami.

- Viola! - zawołał wymachując trzymanym za ogon kotem. - Dokąd jedziesz?

Wszyscy zgromadzeni dokoła karocy spojrzeli w górę i widząc mego brata w takim stanie - obdartego, skrwawionego, wyglądającego jak istny szaleniec, z martwym kotem w ręku, wzdrygnęli się z odrazy.

- *lei de nouveau! Et arrange de quelle lacon!*' - i wszystkie ciotki gorączkowo jęły popychać Violę w stronę karety.

Viola odwróciła się z głową uniesioną dumnie i wzdrygnięciem, z miną wyrażającą obrażoną godność i znudzenie; odnosiło się to zapewne do krewnych, ale mogło dotyczyć również Cosima; wyskandowała wyraźnie (zapewne w odpowiedzi na jego pytanie): „Wysyłają mnie do szkoły!” - po czym odwróciła się i wsiadła do karety. Ani Cosima, ani jego zdobywcy nie zaszczyciła jednym bodaj spojrzeniem.

Zatrzaśnięto drzwiczki, stangret siedział już na koźle, a Cosimo wciąż jeszcze nie mógł w ten wyjazd uwierzyć; usiłc wał przyciągnąć jej uwagę, dać jej do zrozumienia, że swoje krwawe zwycięstwo jej dedykuje, ale nie potrafił wyrazić tego inaczej niż okrzykiem:

Znowu tutaj! I w jakim stanie!

- Zwyciężyłem kota!

Kiedy stangret strzelił z bicza i karoca ruszyła pośród trzepotania chusteczek wszystkich ciotek, z okienka zabrzmiał głos Violi: - Jaki dzielny! - ale nie wiadomo, czy był to wyraz podziwu, czy drwiny.

Takie było ich pożegnanie. U Cosima napięcie nerwów, ból skaleczeń, rozczarowanie, że ominęła go chwała zwycięstwa, rozpacz z powodu niespodziewanego rozstania - wszystko to wyładowało się w gwałtownym szlochu z towarzyszeniem wycia, krzyków i trzasku łamanych gałązek.

- *Hors d'icil Hors d'ici! Polisson sauva-ge! Hors de notre jardin!* - krzyczały ciotki, a cała służba Ondarivów nadbiegała już, uzbrojona w długie kije, rzucając kamieniami w Cosima, żeby go przepędzić.

Cosimo zamachnął się martwym kotem i cisnął go szlochając i krzycząc w twarz komuś, kto biegł w stronę jego drzewa. Służący podniósł zwierzaka za ogon i wyrzucił na śmietnik.

Dowiedziawszy się o wyjeździe naszej sąsiadki miałem przez chwilę nadzieję, że teraz Cosimo zejdzie na ziemię. Sam nie wiedząc dlaczego, z jej osobą wiązałem postanowienie mego brata, że będzie żył na drzewach.

Ale on nawet o tym nie wspomniał. Musiałem więc wdrapać się na drzewo z zapasem bandaży i plastrów, a on sam opatrzył sobie skaleczenia na twarzy i ramieniu. Potem zażądał żerdzi z hakiem na końcu. Posłużył, się nią siedząc okrakiem na gałęzi oliwki, która pochylała się nad śmietnikiem na podwórzu Ondarivów, do wyłowienia swego martwego kota. Obdarł go ze skóry, wyprawił ją, jak umiał, i sporządził sobie z

niej czapkę. Była to pierwsza z długiej serii czap futrzanych, jakie nosił od tej pory przez całe swoje życie.

VII

Ostatniej próby schwywania Cosima dokonała nasza siostra Battista. Była to, oczywiście, jej własna inicjatywa, podjęta bez poradzenia się z kimkolwiek, w tajemnicy, jak to ona miała w zwyczaju. Wyszła nocą z sagankiem kleju i drabiną i posmarowała dokładnie klejem, od wierzchołka do ziemi, cały pień świętojańskiego drzewa, na którego gałęziach Cosimo zwykł przysiądać każdego ranka.

Nazajutrz na drzewie trzepotały rozpaczliwie skrzydełkami przyklejone do pnia szczygiełki, całkowicie ugrzęzłe w kleju małe wróbelki, ćmy, liście przywiane przez wiatr, ogon wiewiórki i nawet spory strzęp poły fraczka Cosima. Nie wiadomo, czy usiadł na lepkiej gałęzi, ale zdołał się jakoś wyswobodzić, czy też, co bardziej prawdopodobne, jako że od dawna nie widziałem go we fraku, mój brat przylepił tam ten strzęp umyślnie, chcąc sobie z nas zadrwić. A drzewo tak się zapaskudziło tym klejem, że wkrótce uschło.

Z czasem wszyscy, nie wyłączając ojca, zaczęliśmy nabierać przekonania, że Cosimo w ogóle nie wróci. Od czasu kiedy mój brat hasał po drzewach na całym terytorium Ombrosy, baron nie odważał się już nigdzie pokazać, bojąc się, że jego aspiracje do książęcego tytułu zostały bez ratunku skompromitowane. Mizerniał, policzki zapadały mu coraz głębiej i nie wiem, w jakiej mierze grała tu rolę troska rodzicielska, a w jakiej - niepokój o dynastyczne konsekwencje tej sytuacji: ale były to właściwie dwie strony tej samej rzeczy, bo przecież Cosimo był jego synem pierworodnym, dziedzicem tytułu, a o ile niełatwo się pogodzić z baronem skaczącym po drzewach niczym frankolin czy inny ptak, to cóż dopiero jeśli robi to diuk, choćby młodociany; podobne obyczaje u dziedzica tytułu z pewnością nie mogły się przyczynić do uznania tej spornej godności.

Były to zresztą zbędne troski, bo mieszkańcy Ombrosy i tak śmieli się w kułak z tego marzenia naszego ojca; a już co do szlachty, mającej w tych stronach swoje wiejskie

rezydencje, to uważała go ona wręcz za wariata. Ostatnio rozpowszechnił się wśród możnych panów zwyczaj mieszkania raczej w willach niż w rodowych zamkach; woleli prowadzić życie zwykłych obywateli, unikając wszelakich kłopotów i ciężarów. Któż by się więc troszczył o starożytny tytuł diuka d'Ombrosa? Zaletą Ombrosy było to właśnie, że należała do wszystkich i do nikogo: związana jakimiś odwiecznymi tytułarnymi powinnościami z margrabiami d'Ondariva, seniorami wszystkich okolicznych ziem, stanowiła w rzeczywistości od dawna wolną gminę, podległą Republice Genueńskiej; można tam było żyć sobie spokojnie na ziemiach bądź to dziedzicznych, bądź odkupionych za bezcen od gminy, w momencie kiedy bardzo gnębiły ją długi. Czegóż więcej można by żądać? Okoliczne wille zamieszkiwało szczupłe, ale doborowe towarzystwo, ich parki i sady ciągnęły się aż do morza. Wszystkie te rodziny prowadziły beztroski żywot, wypełniony wizytami i polowaniem, koszty utrzymania były niewielkie, miało się rozmaite korzyści życia dworskiego bez jego uciążliwych obowiązków i wydatków, jakie pociąga za sobą bliskość królewskiej stolicy, polityka. Jeden tylko nasz ojciec nie miał do takiego życia upodobania, czuł się wydziedziczonym władcą, a z okoliczną szlachtą stopniowo pozrywał wszelkie stosunki (nasza matka, jako cudzoziemka, nigdy ich właściwie nie nawiązała); miało to tę dobrą stronę, że nigdzie nie bywając oszczędzaliśmy sobie wiele wydatków i mogliśmy łatwiej ukrywać kiepski stan naszych finansów.

Nie można też powiedzieć, żebyśmy w lepszych stosunkach byli z prostym ludem Ombrosy; wiecie przecież, jacy są mieszkańcy Ombrosy: ludzie skrzętni, ale ograniczeni, myślący tylko o swoich interesach. W owym czasie zaczęło się korzystniej sprzedawać cytryny, ponieważ w warstwach zamożnych rozpowszechniła się moda na słodkie lemoniady. Wszyscy rzucili się więc na zakładanie sadów cytrynowych, doprowadzono też do porządku port, od dawna zrujnowany przez najścia piratów. Dzięki swemu położeniu pomiędzy Republiką Genueńską, posiadłościami króla Sardynii, terytoriami Francji i dobrami biskupimi, Ombrosa handlowała ze wszystkimi,

a z nikogo nic sobie nie robiła, czego przykładem mogą być chociażby daniny należne Genui, których egzekwowanie przyprawiało poborców o siódme poty i co roku dawało okazję do rozruchów.

Za każdym razem, kiedy wybuchały te zamieszki, baron di Rondo pewien był, że lada chwila lud sam zaofiaruje mu książęcą koronę. Pojawiał się wtedy na rynku i proponował Ombrosanom swoją opiekę, ale za każdym razem grad zgniłych cytryn zmuszał go do sromotnej ucieczki. Mawiał wtedy, że uknuto przeciwko niemu spisek: oczywiście jezuiti. Gdyż wbił sobie w głowę, że pomiędzy nim a jezuitami trwa walka na śmierć i życie, a Towarzystwo nie ma nic innego na głowie, tylko knucie spisków na jego zgubę. W rzeczywistości istniało tylko nieporozumienie co do jakiegoś sadu, do którego rościła sobie prawa i nasza rodzina, i Towarzystwo Jezusowe. W rezultacie wyniknął z tego proces i nasz ojciec, będący w dobrych stosunkach z biskupem, uzyskał usunięcie ojca prowincjała z terenu diecezji. Ale od tej pory ojciec wciąż był pewien, że jezuiti nasyłają na niego swoich agentów, którzy dybią na jego życie i prawa; ze swej strony próbował zorganizować siłę zbrojną spośród wiernych w celu oswobodzenia biskupa, który w jego przekonaniu był porwany i uwięziony przez jezuitów; udzielał też schronienia i opieki każdemu, kto tylko mu oświadczył, że jest ofiarą prześladowania ze strony jezuitów. Dlatego właśnie wybrał na przewodnika duchowego swoich synów tego półjansenistę chodzącego z głową w obłokach.

Jednego tylko człowieka nasz ojciec darzył zaufaniem, a człowiekiem tym był cavaliere adwokat. Baron miał prawdziwą słabość do tego swego nieślubnego brata, odnosił się doń jak do jedyne go a dotkniętego nieszczęściem syna; nie umiem dziś powiedzieć, czy w owym czasie zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale z pewnością odczuwaliśmy w stosunku do imię Carregi trochę instynktownej zazdrości, widząc, że ojciec bardziej się troszczy o tego pięćdziesięcioletniego brata niż o nas, swoje dzieci. Zresztą nie my jedni patrzeliśmy krzywo na niego: Generalessa i Battista udawały, że go traktują z respektem, ale w rzeczywistości nie znosiły go. On ze swej strony pod pozorami

potulności drwił sobie ze wszystkiego i wszystkich, a może nawet wszystkich nienawidził, nie wyłączając barona, któremu tyle zawdzięczał. Cavaliere adwokat mówił mało, czasem mogłoby się zdawać, że jest głuchoniemy albo że nie rozumie po włosku; Bóg jeden wie, jakim sposobem mógł kiedyś pełnić funkcję adwokata i czy już wtedy, przed Turkami, był takim dziwakiem. Musiał być chyba człowiekiem inteligentnym, skoro nauczył się od Turków wszystkich tych hydraulicznych obliczeń - jedynej rzeczy, nad jaką naprawdę potrafił się skupić i nad którą mój ojciec przesadnie się rozwodził głosząc jego chwałę. Nigdy nie dowiedziałem się czegoś bliższego o jego przeszłości, ani tego, kim była jego matka, ani jakie były stosunki z naszym dziadkiem (który musiał być chyba do niego przywiązany, skoro posłał go na studia prawnicze i wystarał mu się o tytuł cavaliere), ani wreszcie, jakim sposobem znalazł się w Turcji. Nie było dokładnie wiadomo, czy to właśnie w Turcji tak długo przebywał, czy w innym jakimś barbarzyńskim kraju - Tunisie czy Algierii, w każdym razie w kraju mahometańskim; chodziły nawet słuchy, że sam przyjął mahometanizm. Mówiono o nim zresztą niejedno: że pełnił tam jakieś ważne funkcje, był wysokim dostojnikiem na sułtańskim dworze, Nadwornym Hydraulikiem czy kimś innym takim - i że potem jakiś spisek pałacowy czy może zazdrość o kobietę, czy dług karciany sprawiły, że popadł w niełaskę i został sprzedany w niewolę. Wiadomo tylko, że odnalazł się przykuty do wiosła na galerze ottomańskiej zdobytej przez Wenecjan, którzy go uwolnili. W Wenecji żył czas jakiś niemal jak żebrak, dopóki czegoś znowu nie urządził, wdał się w jakąś bójkę czy coś podobnego (choć, co prawda, z kim miałby się wdać w bójkę człowiek tak lękliwy, Bóg jeden to wie) i znowu znalazł się w więzieniu. Wykupił go nasz ojciec za uprzejmym pośrednictwem Republiki Genueskiej i tak cavaliere trafił w końcu do nas - nieduży łysy człeczyna z czarną brodą, wystraszony, milczący jak niemowa (byłem wtedy mały, ale ta chwila jego przybycia, wieczorem, wryła mi się w pamięć na zawsze), opatulony w za duże, nie swoje odzienie. Nasz ojciec narzucił go wszystkim jako bardzo ważną osobistość, zrobił go administratorem, przeznaczył mu

pokój na gabinet do pracy, który niebawem zapełnił się mnóstwem papierów, zawsze w nieładzie. Cavaliere adwokat chodził stale w długiej czamarze i czapeczce w kształcie fezu - był to strój do pracy przy biurku powszechnie przyjęty wśród szlachty i mieszczaństwa; tylko że on w gabinecie niewiele przebywał, natomiast zaczęło się go niebawem widywać w tym stroju także poza domem. W tych samych tureckich szatach przychodził nawet do stołu, a co dziwniejsze, nasz ojciec, tak przestrzegający wszelkich reguł, okazał się w tym wypadku bardzo tolerancyjny. Mimo swojej funkcji administratora cavaliere nigdy prawie nie odzywał się do ekonomów czy dzierżawców, a to z racji swego nieśmiałego usposobienia i trudności w wymowie; toteż w rezultacie wszelkie zajęcia praktyczne, wydawanie dyspozycji i nadzór nad ich wykonaniem, spadały zazwyczaj na naszego ojca. Enea Silvio Carrega prowadził za to księgi rachunkowe i nie wiem doprawdy, czy nasze interesy szły tak źle wskutek jego systemu rachunkowości, czy jego księgi tak marnie się przedstawiały dlatego, że w opłakanym stanie były interesy. Prócz tego robił wciąż obliczenia i rysunki najrozmaitszych urządzeń irygacyjnych pokrywając wielką czarną tablicę mnóstwem linii, cyfr i jakichś słów pisanych tureckimi literami. Od czasu do czasu ojciec zamykał się z nim w gabinecie na długie godziny (były to z pewnością najdłuższe okresy, jakie cavaliere tam spędzał) i zawsze w pewnej chwili zaczynał przez zamknięte drzwi dobiegać gniewny głos barona, to wzmagający się, to cichnący, jak w normalnym dwugłosie, ale tego drugiego głosu - jego rozmówcy, nie słyszało się wcale. Po jakimś czasie drzwi otwierały się gwałtownie, pojawiał się cavaliere drepcząc swymi szybkimi, drobnymi kroczkami płaczącymi się w fałdach czamary, w fezie zsuniętym na czubek głowy, i przez oszklone drzwi wychodził do parku, a stamtąd dalej, w pola.

- Enea Silvio! Enea Silvio! - wołał nasz ojciec biegnąc za nim, ale przyrodni brat zniknął już między rzędami winorośli albo w sadzie cytrynowym i tylko gdzieś migają jeszcze czerwony fez, wytrwale posuwający się coraz dalej. Ojciec gonił go nawołując i po pewnym czasie można ich było zobaczyć wracających razem, przy czym

baron rozprawiał nadal, żywo gestykułując, a cavaliere dreptał obok niego, milczący, przygarbiony, z rękami wciśniętymi w kieszenie czamary.

VIII

W owym czasie Cosimo lubił wyzywać do zawodów ludzi chodzących po ziemi, wystawiając na próbę ich celność czy zręczność, a zarazem wypróbowując w ten sposób własne możliwości we wszystkim, co mógł robić tam, na wierzchołkach drzew. Najczęściej grywał z chopcami w piastrellę płaskimi kamykami. Pewnego razu, kiedy z wysokości na pół uschłego bezlistnego dębu w pobliżu Bramy Kaparowej, w sąsiedztwie lepianek biedaków i włóczęgów, Cosimo zajęty był grą w piastrellę, spostrzegł w oddali zbliżającego się jeźdźca: wysoką, przygarbioną postać spowitą w czarny płaszcz. Rozpoznał swego ojca. Chmara chłopców rozproszyła się momentalnie; z progów lepianek spoglądały ciekawie kobiety.

Baron Arminio zatrzymał konia tuż pod drzewem. Był czerwonawy zmierzch, Cosimo siedział pośród bezlistnych gałęzi. Spojrzeli sobie w oczy. Od czasu pamiętnego obiadu ze ślimakami po raz pierwszy spotkali się twarzą w twarz. Upłynęło już wiele dni, wszystko wyglądało teraz inaczej, dziś obaj wiedzieli już, że nie o ślimaki rzecz idzie ani o posłuszeństwo synowskie czy ojcowską władzę. I że wszystkie logiczne, rozsądne rzeczy, jakie mogliby sobie powiedzieć, na nic by się tu nie zdały, coś jednak przecież musieli sobie powiedzieć.

- Piękne dajesz z siebie widowisko, mości panie! - zaczął ojciec z goryczą. - Zaiste, postępowanie godne szlachcica! - (Mówił do syna „mości panie” jak zawsze, kiedy miał go za coś surowo zganić; ale w tym wypadku forma ta przybrała sens jakiejś obcości czy oddalenia.)

- Szlachcic, panie ojcze, pozostaje ' szlachcicem, czy przebywa na ziemi, czy na wierzchołkach drzew - odparł Cosimo, ale zaraz dodał szybko: - Jeżeli postępuje należycie.

- Piękna to sentencja - rzekł baron z powagą - choć, o ile mi wiadomo, dopiero co kradłeś, mości panie, śliwki dzierżawcy.

Była to prawda. Mój brat zmieszał się. Cóż mógł na to odpowiedzieć? Uśmiechnął się, wcale nie wyniośle ani cynicznie, tylko nieśmiało i zaczerwienił się przy tym.

Ojciec uśmiechnął się także, raczej smutno, i nie wiadomo dlaczego również się zaczerwienił.

- Wiedziesz wspólne życie, mości panie, z najgorszą hołotą i żebrakami - rzekł po chwili.

- Nie, panie ojcze, ja żyję po swojemu i oni po swojemu - odparł Cosimo stanowczo.

- Wzywam cię, mości panie - przemówił baron spokojnym, jakby przygaszonym głosem - do powrotu na ziemię i podjęcia życia, jakie ci przystoi.

- Przykro mi, ale nie będę posłuszny, panie ojcze - rzekł Cosimo.

Obaj czuli się nieswojo, niemiła im była ta rozmowa. Każdy z nich wiedział, co ten drugi mu powie.

- A nauka? A obowiązki chrześcijańskie? - ciągnął ojciec. - Czyżbyś chciał wzrastać, mości panie, jak dzikus z Ameryki?

Cosimo milczał. O tych rzeczach dotąd nie pomyślał i nie miał chęci zastanawiać się nad nimi.

- Czyż dlatego, panie ojcze - odezwał się po chwili - że jestem o parę metrów wyżej, miałyby mnie żadne pożyteczne nauki nie dosięgnąć?

Odpowiedź była sprytna, ale trochę jakby pomniejszała znaczenie jego postępu: była więc oznaką słabości.

Ojciec wyczuł to i zaatakował silniej:

- Buntu - powiedział - nie mierzy się na metry. Odejdźcie, nawet o kilka stóp za ledwie, może być także odejściem bez powrotu.

Mój brat mógłby i na to dać jakąś godną odpowiedź, a nawet przytoczyć maksymę łacińską, bo choć dziś już żadna nie przychodzi mi na myśl, w tamtych czasach umieliśmy ich sporo na pamięć. Ale miał już dość tego uroczystego tonu; wywiesił język i wykrzyknął: - Ale z drzewa mogę siusiać bardzo daleko! - Zdanie to nie było zbyt mądre, ale ucięło sprawę jak nożem.

Musiała je też dosłyszeć dzieciarnia spod Bramy Kaparowej, gdyż podniosła wielki wrzask uciechy. Koń barona di Rondo podskoczył spłoszony, baron ściągnął wodze, szczelniej owinął się płaszczem i zawrócił konia. Ale zatrzymał się jeszcze, „wydobył rękę z fałdów płaszcza i wskazując na niebo, które właśnie zaciągało się ciężkimi czarnymi chmurami, rzekł:

- Strzeż się, synu, albowiem jest Ktoś, kto może łącno nasiusiać na nas wszystkich. - Po czym spiął konia i odjechał.

Deszcz, od dawna wyczekiwany, zaczął padać wielkimi, rzadkimi kroplami na spragnione pola. Pomiędzy lepiankami zaroilo się od dzieciaków pookrywanych workami, wykrzykujących radośnie:

- *Cieuve! Cieuve! Uaiga va pe euve!* Pada! Pada! Będzie woda! - Cosimo zniknął w gęstwinie mokrych liści, które przy każdym dotknięciu spryskiwały go obficie wodą.

Kiedy zobaczyłem, że pada, zmartwiłem się bardzo o Cosima. Wyobraziłem sobie, jak przemoczony przytula się do jakiegoś pnia, który wcale go nie chroni przed ukośnie zacinającym deszczem. A wiedziałem już, że żadna nawałnica nie wystarczy, by skłonić go do powrotu. Pobiegnę do matki: - Pada! Co teraz pocznie Cosimo, pani matko?

Generalessa uniosła firankę i popatrzyła na deszcz. Była zupełnie spokojna. - Najgorszą stroną deszczu jest błoto. Na drzewach to mu nie szkodzi.

- Ale czy gałęzie wystarczą, żeby go osłonić?

- Wycofa się do swego obozowiska.

- Jakiego, pani matko?

- Na pewno pomyślał o tym zawczasu.

- A nie byłoby dobrze, pani matko, poszukać go i zanieść mu parasol?

Jak gdyby słowo „parasol” przeniosło ją nagle z wojskowego punktu obserwacyjnego na miejsce zwyczajnej, zatroskanej o dziecko matki, Generalessa przytaknęła żywo:

- *Ja, ganz gewiss!* I butelkę syropu jabłecznego dobrze gorącą, zawiniętą w wełnianą pończochę! I ceratę do rozesłania na mokrym drzewie, żeby nie przepuszczała wilgoci... Ale gdzie też on może być, biedaczek... Oby ci się tylko udało go odszukać...

Wyszedłem na deszcz, obładowany pakunkami, pod wielkim zielonym parasolem; drugi, zamknięty, niosłem pod pachą dla Cosima.

Wydałem nasz umówiony gwizd, ale jedyną odpowiedzią był szelest deszczu w listowiu. Było ciemno, poza ogrodem nie wiedziałem, gdzie mógłbym szukać Cosima, krążyłem po śliskich kamieniach, mokrej trawie i kałużach i co chwila gwizdałem; chcąc, żeby dźwięk szedł wysoko, przechylałem parasol do tyłu, a wtedy woda chlustała mi w twarz zmywając gwizd z warg. Chciałem pójść w jedno miejsce na skraju naszej posiadłości, gdzie drzewa były gęste i wysokie, bo przypuszczałem, że najprędzej tam mógł sobie urządzić schronienie, ale zabłądziłem w ciemności i w końcu zatrzymałem się, przyciskając do siebie wszystkie pakunki; trochę ciepła dawała mi tylko butelka z syropem, wpuszczona w wełnianą pończochę.

Nagle wysoko w drzewach dojrzałem smugę światła, która nie mogła pochodzić od księżyca czy gwiazd. Gwizdnąłem i wydało mi się, że słyszę gwizd w odpowiedzi.

- Cosimoooo!

- Biagioooo! - odezwał się gdzieś wysoko w szumie deszczu jego głos.

- Gdzie jesteś?

- Tu! Idę naprzeciw ciębie, ale spiesz się, bo moknę!

Spotkaliśmy się. On, okutany w derkę, zszedł aż na najniższą kondygnację wierzby, żeby mi pokazać, jak się można dostać, poprzez bardzo zawiłą kombinację

gałęzi, na buk o wysokim gładkim pniu, skąd właśnie przebłyskiwało to dostrzeżone przeze mnie światło. Dałem zaraz Cosimowi parasol i część pakunków i próbowaliśmy się wspinać z otwartymi parasolami, ale to było niemożliwe, zresztą mokliśmy i tak. W końcu dotarliśmy tam, dokąd mnie Cosimo prowadził. Ale nic nie widziałem poza smuzką światła, przeciskającą się jak gdyby pomiędzy dwiema płachtami namiotu.

Cosimo uniósł jedną z tych płacht i wpuścił mnie do środka. W świetle latarni ujrzałem wewnątrz maleńkiej izdebki, osłoniętej i zamkniętej ze wszystkich stron różnymi płachtami i dywanami, z pniem buka przechodzącym przez jej środek i podłogą z desek, umocowanych na grubych konarach. W pierwszej chwili domek wydał mi się wspinały jak pałac królewski, ale niebawem przekonałem się, jakiej wątlej jest budowy, bo już to, że byliśmy tam we dwóch, mocno zachwiewało jego równowagę i Cosimo musiał z miejsca zająć się pewnymi reperacjami i zabezpieczeniem. Wytknął też na zewnątrz oba przyniesione przeze mnie parasole, otwarte, żeby zasłonić dwie dziury w suficie; ale woda przeciekała i w wielu innych miejscach, tak że byliśmy obaj przemoknięci do szpiku kości, a co się tyczy ciepła, to było tam nie lepiej niż na dworze. Cosimo miał jednak taki zapas derek, że mógł się w nie głęboko zagrzebać, zostawiając samą tylko głowę na wierzchu. Latarnia rozsiewała niepewne, migotliwe światło, gałęzie i liście rzucały na sufit i ściany tej dziwnej budowli splecione cienie. Cosimo pił syrop jabłeczny wielkimi łykami, dysząc głośno.

- Dobry dom - powiedziałem.

- O, na razie jest nie wykończony - spiesznie objaśnił Cosimo. - Muszę go jeszcze lepiej obmyślić.

- Sam go zbudowałeś?

- A z kimże by? Trzymam go w tajemnicy.

- A ja będę mógł tu przychodzić?

- Nie, bo pokazałbyś drogę innym.

- Tato mówi, że nie będzie cię już szukał.

- Wszystko jedno, musi to być sekret.
- Przed tymi chłopakami, co kradną? Myślałem, że to twoi przyjaciele.
- Czasem tak, a czasem nie.
- A ta dziewczynka z kucem?
- Co cię ona obchodzi?
- Chciałem tylko spytać, czy jesteś z nią w przyjaźni, czy się bawicie razem?
- Czasem tak, a czasem nie.
- Dlaczego czasem nie?
- Bo albo ja nie chcę, albo ona.
- A tu, tu na górę, pozwoliłbyś jej wejść?

Cosimo, nachmurzony, próbował podciągnąć matę zawieszoną na gałęzi.

- ...Gdyby przyszła, pozwoliłbym jej wejść - rzekł po chwili poważnie.
- A ona nie chce?

Cosimo rzucił się na posłanie.

- Wyjechała.
- Powiedz - zapytałem cicho - jesteście zaręczeni?
- Nie - odpowiedział krótko mój brat i pograżył się w długim milczeniu.

Nazajutrz pogoda była piękna i postanowiono, że Cosimo rozpocznie znowu lekcje z księdzem Fauchelafleur. W jaki ma się to odbywać sposób - o tym nic się nie mówiło. Po prostu, dość szorstko, baron polecił księdzu („Zamiast tu siedzieć i przyglądać się muchom, *cher abbe...*”), żeby poszukał mego brata i przetłumaczył z nim kawałek Wergiliusza. Ale potem zastanowił się widać, że to dla naszego preceptora zlecenie zbyt kłopotliwe, i chcąc mu zadanie ułatwić powiedział mi: „Idź i powiedz swojemu bratu, żeby był za pół godzinki tu w ogrodzie, na lekcję łaciny”.

Powiedział to w sposób tak naturalny, jak tylko potrafił, i od tej pory starał się ten ton utrzymywać: Cosimo przebywał na drzewach, mimo to wszystko miało iść zwykłym trybem.

Lekcja odbyła się rzeczywiście. Mój brat siedział okrakiem na gałęzi wiązu, z nogami zwieszonymi, ksiądz na trawniku pod drzewem, na niskim stołeczku, i obaj jednym głosem recytowali heksametry. Bawiłem się w pobliżu i na chwilę straciłem ich z oczu; kiedy wróciłem, ksiądz był właśnie w trakcie wdrapywania się na drzewo; z wysiłkiem podciągał na rozwidlenie gałęzi swoje długie, cienkie nogi w czarnych pończochach, Cosimo pomagał mu podtrzymując go za łokieć. Wyszukali pozycję możliwie dogodną dla staruszka i, pochyleni nad książką, razem przerabiali jakiś trudny ustęp. Mój brat wydał mi się wzorowym uczniem, pochłoniętym nauką.

Potem, nie wiem, jak się to stało, dość że po pewnym czasie ucznia już nie było - może umknął wykorzystując chwilę, kiedy preceptor popadł w zwykłe roztargnienie, wpatrzony otępiałym wzrokiem w pustkę - a na drzewie siedział tylko skulony wśród gałęzi stary ksiądz w czerni z książką na kolanach, z otwartymi ustami wodzący oczyma za lotem białego motyla. Kiedy motyl zniknął mu z oczu, ksiądz spostrzegł się, że siedzi na drzewie, i zdjął go strach. Kurczowo objął pień ramionami i wołał: „*Au secours! Au secours!* Na pomoc!” - póki nie nadbiegli ludzie z drabiną; wtedy dopiero uspokoił się po trochu i zszedł.

IX

W sumie, mimo całej swej sławetnej ucieczki, Cosimo żył więc nadal przy nas, prawie tak jak przedtem. Był to taki samotnik, który nie stroni od ludzi. A nawet rzec by można, że jedynie ludzie go obchodzą. W swoich wędrówkach po drzewach zatrzymywał się tam, gdzie wieśniacy kopali albo rozrzucali nawóz, albo kosili łąki, i rzucał im z wysokości uprzejme pozdrowienia. Ludzie podnosili głowy, rozglądali się zdumieni, a on starał się czym prędzej pokazać im, gdzie się znajduje, bo już zupełnie przeszła mu chęćka do tego, cośmy dawniej łażąc po drzewach z zamiłowaniem uprawiali

- do wszelkich „a kuku” i żartów mających przestraszyć tych, którzy przechodzili

pod naszą kryjówką. Z początku wieśniacy widząc go, jak przebywa duże odległości wyłącznie po drzewach, nie mogli się jakoś połapać, z kim mają do czynienia - nie wiedzieli, czy witać go zdejmowaniem kapelusza, jak to jest przyjęte wobec panów, czy krzyżeć na niego, jak na psotnego dzieciaka. Wkrótce jednak przywykli do niego i po trochu zaczęli z nim gawędzić o swoich pracach, o pogodzie, i najwidoczniej uznali jego przebywanie na drzewach za jedną z wielu fantazji, nie lepszą i nie gorszą od różnych innych, jakie przychodzą do głowy wielkim państwu.

Czasem przez dobre pół godziny nie ruszał się z miejsca, przyglądając się pracy ludzkiej, wypytywał o nawozy czy o zasiewy, co nigdy mu nie przychodziło do głowy, dopóki chodził po ziemi; był wtedy dumny i nieprzystępny, do ludzi we wsi czy do służby słowem się nie odzywał. Czasem prosili, żeby sprawdził, czy bruzda, którą prowadzą, jest prosta czy krzywa, albo czy na polu sąsiada dojrzewają już pomidory; a on sam nieraz proponował im drobne przysługi, na przykład, kiedy trzeba było dać znać żonie któregoś z kosiarzy, żeby mu przyniosła osełkę do ostrzenia, czy zawiadomić, że na taki czy inny warzywnik trzeba puścić wodę. A jeśli, wędrując z takim czy innym zleceniem, zauważył, że gdzieś na pole pszeniczne zlatuje chmara żarłocznych wróbli, krzychał i wymachiwał swoją futrzaną czapą, żeby je odpędzić.

W samotnych wędrownkach po lasach spotkania z ludźmi były rzadsze, ale za to takie, które mocno wbijały się w pamięć - spotkania z ludźmi, jakich my nigdy nie spotykamy. W owych czasach lasy dawały schronienie mnóstwu bezdomnych wędrowców - węglarzom, garncarzom, -szklarzom, całym rodzinom, które głód wypędził z rodzinnych stron, ludziom zdobywającym chleb dorywczą niestałą pracą. Rozkładali swoje warsztaty pod gołym niebem, a do spania klecili sobie szałas z gałęzi. Z początku bali się trochę tego chłopca hasającego po drzewach, odzianego w skóry zwierzęce, zwłaszcza kobiety, które brały go za jakiegoś leśnego ducha; ale prędko się z nimi zaprzyjaźnił, godzinami przyglądał się ich zajęciom, a wieczorem, kiedy zasiadali dokoła ognia, sadowił się na jakimś niskim konarze przysłuchując się historiom, jakie

sobie opowiadali.

Najliczniejsi byli węglarze, obozujący na twardo ubitej ziemi wymieszanej z popiołem. Pokrzykiwali „*Hura! Hota!*”, bo pochodzili z okolic Bergamo i nic się nie rozumiało z ich mowy. Stanowili najsilniejszą grupę, zwartą, mocno między sobą związaną: istna korporacja obejmująca cały teren lasów, z zawiłą siecią paranteli, wewnętrznych przymierzy i waśni. Czasami Cosimo służył za łącznika między poszczególnymi grupami, przyjmował i wypełniał rozmaite zlecenia.

- Ci spod Czerwonego Dębu prosili, żebym wam powiedział, że *hania la hapa hota'l hoc!*

- Powiedz im, że *hegn hobet ho de hot!*

Wbijał sobie w pamięć niezrozumiałe przydechowe dźwięki i uczył się je powtarzać, tak jak naśladował świergoty ptaków, które budziły go z rana.

Wieść o tym, że jeden z synów barona di Randó od miesiący nie schodzi z drzew, dawno już rozeszła się szeroko po okolicy; ale nasz ojciec na przekór wszystkiemu usiłował utrzymać tę rzecz w tajemnicy przed ludźmi z zewnątrz. Kiedyś przybyli do nas w odwiedziny hrabiostwo d'Estomac; udawali się do Francji, gdzie mieli nad Zatoką Tulońską swoje posiadłości i po drodze zatrzymali się u nas. Nie wiem dokładnie, co się pod tym kryło; zdaje się, że dla odzyskania jakichś dóbr, czy zatwierdzenia jakiegoś przywileju ich syna-biskupa, potrzebna im była zgoda barona di Rondo; łatwo sobie wyobrazić, jakie zamki na lodzie zaczął zaraz budować nasz ojciec w oparciu o tę okoliczność; jak mu to miało rzekomo posłużyć w jego dynastycznych pretensjach co do Ombrosy.

Przy obiedzie można było skonać z nudów od tych wszystkich dwornych ceremonii; goście mieli z sobą syna-lalusia, wystrojonego głuptasa. Baron przedstawił im dzieci, a właściwie tylko mnie, wyjaśniając: „Moja córka Battista, biedactwo, żyje w wielkim odosobnieniu, jest bardzo pobożna, nie wiem, czy będą państwo mieli okazję ją zobaczyć” - a tu właśnie,- jak na zawołanie, zjawia się ta wariatka, w zakonnym

kornecie, ale poza tym cała ustrojona w różne wstążki i fatałaszkę, twarz upudrowana, na rękach mitenki. Cóż, trzeba ją wyrozumieć, od czasu owej historii z margrubiczem delia Mela nie widziała na oczy żadnego młodzieńca poza parobkami. Hrabicz d'Estomac kłaniał się szarmancko, ona chichotała histerycznie. W głowie barona, który na swej córce dawno już położył krzyżyk, zaczęły natychmiast błyskać nowe projekty i nadzieje.

Ale hrabia zachował ostentacyjną obojętność.

- Czyżbym się mylił, że miał pan jeszcze jednego syna, monsieur Arminio? - zapytał.

- Tak, starszego - odrzekł nasz ojciec - ale tak się składa, że jest właśnie na polowaniu.

Nie skłamał zresztą, bo w tym czasie Cosimo wciąż uganiał po lesie ze strzelbą, polując na zające i drozdy. Strzelbę ja mu dostarczyłem - tę samą lekką fuzyjkę, której używała Battista polując na szczury; od pewnego już czasu zniechęciła się do tych polowań i fuzja wisiała na gwoździu zapomniana.

Hrabia zaczął wypytywać się o zwierzynę naszych okolic. Baron odpowiadał raczej ogólnikowo, gdyż sam nie polował - brak mu było koniecznej dla myśliwego cierpliwości i umiejętności skupienia. Wtrąciłem się do rozmowy, choć było mi surowo wzbronione odzywać się bez pytania w obecności starszych.

- A ty cóż o tym możesz wiedzieć, taki mały? - zapytał hrabia.

- Często wyszukuje zwierzynę ubitą przez mego brata i odnoszę mu ją na... - zacząłem, ale ojciec przerwał mi surowo:

- Kto cię zaprosił do rozmowy? Idź się bawić!

Byliśmy w ogrodzie, pora była wieczorna, ale jeszcze się nie ściemniło, jak to w pełni lata. I oto nagle ukazał się Cosimo, spokojnie wędrujący wierzchołkami wiązków i platanów, w czapie z kociej sierści na głowie, ze strzelbą na ramieniu i różnym przewieszonym przez drugie ramię, w kamaszach na nogach.

- Ejże! - wykrzyknął hrabia przypatrując mu się z zadartą głową i ubawionym wyrazem twarzy. - A to kto taki? Kto tam jest na drzewie?

- Co takiego? Nie wiem doprawdy... Pewnie się panu wydało... - bąkał mój ojciec patrząc nie we wskazanym kierunku, ale w oczy hrabiego, jakby chciał się upewnić, czy tamten dobrze widzi.

Cosimo tymczasem znalazł się tuż nad nami i stanął w rozwidleniu konaru, na szeroko rozkraczonych nogach.

- Aa, to mój syn, tak, to Cosimo, ach, te dzieci... chciał nam zrobić niespodziankę i wdrapał się tak wysoko...

- To starszy?

•- Tak, tak, z chłopców jest starszy, ale niewiele, cóż, to jeszcze dzieci, bawią się...

- Ale zuch chłopak, tak sobie chodzić po drzewach... w dodatku z całym lym arsenałem na grzbiecie...

- Et, zabawa... - i z rozpaczliwym wysiłkiem, żeby to wyglądało naturalnie, purpurowy na twarzy, zawołał: - Co tam robisz? He? Złaż no zaraz i przywitaj się z panem hrabią!

Cosimo uniósł czapę z kociej sierści i skłonił się: „Moje uszanowanie, panie hrabio!”.

- Cha, cha, cha! - śmiał się hrabia - bravo, bravissimo! Proszę mu pozwolić tam zostać, proszę mu pozwolić, monsieur Arminio! Wspaniały chłopak, żeby tak hasać po drzewach! - I śmiał się do rozpuku.

A ten przygłupek hrabicz: „*Cest original, ca. Cest tres original!*”.

Nic innego nie potrafił, tylko przywtarzać innym.

Cosimo usadowił się w rozwidleniu gałęzi. Nasz ojciec zmienił czym prędzej temat, mówił i mówił, starając się zwrócić uwagę hrabiego gdzie indziej. Ale gość raz po raz podnosił oczy, a mój brat był wciąż w polu widzenia, na tym drzewie czy na innym, zajęty to czyszczeniem strzelby, to natłuszczaniem kamaszy, to znów bez żenady

naciągał ciepłą bieliznę, bo zapadała już noc.

- Proszę, niech pan spojrzy! Wszystko potrafi robić na drzewie ten młodzieniec! Jakże mi się to podoba! Ach, opowiem to za pierwszą bytnością u Dworu! I memu synowi-biskupowi! I mojej ciotce księżnej!

Ojciec pieniał się ze złości. Poza tym niepokoiło go jeszcze coś innego: nigdzie nie dostrzegał córki, a i hrabicz również gdzieś zniknął.

Cosimo, który także oddalił się na pewien czas, wracał właśnie z jakiejś swojej odkrywczej wyprawy, zdyszany i podniecony.

- Dostał czkawki! Zrobiła mu coś takiego, że dostał czkawki i płacze.

Hrabia zaniepokoił się. - O, to przykre. Mój syn często cierpi na czkawkę. Idź no, dzielny młodzieńcze, idź zobaczyć, czy mu to przechodzi. I powiedz im, żeby wracali.

Cosimo oddalił się wielkimi susami, a po ' chwili wrócił jeszcze bardziej zdyszany.

- Gonia się! Ona próbuje mu wsadzić żywą jaszczurkę pod koszulę, żeby mu przeszła czkawka! A on nie chce! - I pomknął z powrotem, zobaczyć, co się będzie dalej działo.

Tak upłynął ten wieczór, niewiele w gruncie rzeczy różniący się od wszystkich innych, z Cosimem na drzewach, niewidocznym, ale biorącym udział w naszym życiu. Ponieważ jednak tym razem byli u nas goście, fama o dziwacznych obyczajach mego brata rozeszła się szeroko po dworach Europy ku wielkiemu wstydowi naszego ojca. Do wstydu nie było zresztą powodów, zwłaszcza że hrabia d'Estomac wyniósł z naszego domu korzystne wrażenie, i to tak dalece, że niebawem nasza siostra Battista zaręczyła się z hrabiczem.

X

Oliwki ze swymi pokrętnymi i giętkimi gałęzmi stanowią dla Cosima drogi dogodne i łatwe; są to pod szorstką korą drzewa cierpliwe i przyjazne, dobrze się po nich chodzi i dobrze na nich odpoczywa, mimo że grubych konarów jest na każdym drzewie niewiele, co ogranicza różnorodność ruchu. Po drzewie figowym natomiast, byle tylko nie obciążać gałęzi ponad ich wytrzymałość, można krążyć bez końca; Cosimo, siedząc pod baldachimem liści, widzi, jak ich unerwienie rysuje się na tle przenikającego przez liście światła słonecznego, widzi, jak powolutku pęcznieją zielone owoce, czuje zapach mlecza, którego kropelki bieleją u nasady łądyżek. Drzewo figowe zagarnia cię na własność, przepaja cię swoim lepkiem sokiem, oszołamia buczeniem chrabąszczy; wkrótce zdawało się Cosimowi, że sam zmienia się w figę, i odchodził czując się jakoś niepewnie. Na twardej, sztywnej jarzębinie czy morwie człowiek dobrze się czuje; szkoda, że ich jest tak niewiele. Podobnie rzecz się ma z orzechem - nawet mnie, a to już wiele mówi, kiedy patrzyłem czasem, jak mój brat znika, gubi się gdzieś pośród gałęzi starego, niebosiężnego orzecha, niby w pałacu o wielu piętrach i niezliczonych pokojach, nawet mnie nawiedzała chęć pójścia za przykładem Cosima i zamieszkania tam w górze; tak wielka jest siła i pewność, jaką to drzewo wkłada we własne istnienie, z takim uporem zachowuje ono swój ciężar i twardość, wyrażającą się nawet w wyglądzie jego liści.

Cosimo chętnie przebywał pośród faliście ząbkowanych liści wiecznie zielonych dębów; lubił ich spękaną korę i często w zamyśleniu oskubywał jej kawałeczki palcami, nie przez instynkt niszczenia, ale jak gdyby w nieświadomej chęci dopomożenia drzewu w jego mozolnej pracy odnowy. Albo obdzierał białą wierzchnią skórę platanów odsłaniając warstwę starego złota spatynowanego porostami. Lubił też głęboko rowkowane pnie wiązów, lubił ich delikatne pędy, wiosenne kępkę miękkich, ząbkowanych listków, a później szeleszczące jak pergamin skrzydełka ich nasion; ale na

wiązach trudno się poruszać, bo ich gałęzie idą prosto ku górze, gęste a cienkie, zostawiając mało wolnego miejsca. W lesie Cosimo wolał od innych drzew buki i dęby: bo na przykład pinia ma gałęzie bardzo gęsto wyrastające z pnia, raczej wątle i całe najeżone igłami, że wprost nie wiadomo, gdzie się uchwycić i gdzie oprzeć nogę; a znów kasztan jadalny ze swymi kłującymi liśćmi, kolczastymi owocami i wysokim gołym pniem wydaje się stworzony na to, by się odeń trzymać z daleka.

Wszystkie te cechy przyjazne i nieprzyjazne, te różnice charakteru poszczególnych gatunków Cosimo z czasem nauczył się rozpoznawać, a raczej uświadamiał sobie stopniowo, że je zna, ale już od pierwszych dni swego życia na drzewach wyczuwał je naturalnym instynktem. Świat przybrał dla niego inną postać, zmienił się w zawiły system wąskich, krętych napowietrznych mostów, sęków i bruzd na korze, rozmaitych oświetleń zmieniających odcień zieleni w zależności od gęstszej czy bardziej przejrzystej zasłony liści, które drżą leciutko na łożyskach przy każdym powiewie albo kładą się jak żagle na wietrze razem z uginającym się w silniejszych podmuchach drzewem. A jednocześnie świat dawny, czyli nasz, spłaszczał się jakoś tam, w głębi, nasze postacie traciły właściwe wymiary i oczywiście nie rozumieliśmy nic z tego, co on tam, w górze, poznał, on, który nocami przysłuchiwał się, jak w komórkach, miąższu drzewnego kształtują się kręgi, które znaczą we wnętrzu pnia upływające lata, jak szeleszczą porosty w podmuchach północnego wiatru, a ptaki uśpione w gniazdach z nagłym drzeniem głębiej wtulają główki w to miejsce pod skrzydłem, gdzie puch jest najmiększy; i jak budzi się ze snu poczwarka owada i pęka jajeczko dzierzby-gąsiora. Są takie chwile, kiedy cisza przyrody rozbija się w głębi ucha na mnóstwo leciutkich dźwięków - krakanie, pisk ptasi, szelest nówek przebiegających wśród trawy, plusk wody po kamykach i skrzypiący głos cykady wybijający się nad tamte. I jak gdyby jedno szmery budziły inne, ucho zaczyna rozróżniać coraz inne, coraz subtelniejsze, podobnie jak palce rozplątujące pasmo owczego runa odkrywają coraz cieńsze, coraz mniej wyczuwalne włoski. A tłem tych

różnorodnych dźwięków jest jednostajny, cichy rechot żab, niezmienny w tonie jak niezmiennie jest światło mimo nieustannego mrugania gwiazd. Natomiast ilekroć przeleci podmuch wiatru, wszystkie te dźwięki zmieniają się, stają się nowe. I tylko w samej głębi ucha zostaje jak gdyby cień pomruku: to szumi morze.

Nadeszła zima, Cosimo sporządził sobie futrzaną kapotę. Pozszywał ją sam ze skórek różnych upolowanych przez siebie zwierząt - zajęcy, lisów, kun i tchórzy. Na głowie wciąż jeszcze nosił swoją czapę z futra dzikiego kota. Sporządził sobie także spodnie z futra kozy, na siedzeniu i kolanach podbite dodatkową skórą. Co się tyczy obuwia, przekonał się, że do łażenia po drzewach najodpowiedniejsze są miękkie ciżmy, i zmajstrował je sobie nie wiem już z jakiego futra, możliwe, że z borsuka.

Tak chronił się przed zimnem. Trzeba co prawda powiedzieć, że w owych czasach zimy były u nas łagodne, nie dawało nam się we znaki to zimno, które, jak mówią, Napoleon wypłoszył z nory w Rosji i które go stamtąd ścigało aż tutaj. Ale i wtedy spędzanie zimowych nocy na dworze nie należało do przyjemności.

Do spania Cosimo wymyślił sobie niezwykle urządzenie: zwierzęcą skórę w całości; nie żaden namiot czy szałas: skóra obrócona futrem do środka, zawieszona na gałęzi. Wsuwał się do jej wnętrza, chował się cały i zasypiał skulony jak dziecko. Ilekroć w ciszy nocnej rozległ się jakiś niezwykły dźwięk, z otworu worka wysuwała się najpierw futrzana czapa i lufa strzelby, a potem bystro patrzące oczy. (Mówiono, że oczy Cosima zaczęły z czasem świecić w ciemności jak oczy kota czy sowy; ale ja nigdy tego nie zauważyłem.)

Rankiem natomiast, kiedy sójka zaczynała swój śpiew, z worka ukazywały się najpierw dwie zaciśnięte pięści; pięści wznosiły się wyżej, za nimi wysuwały się ramiona i rozkładały się szeroko ruchem leniwego przeciągania. Następnie pojawiała się ziewająca twarz, dalej tors z przewieszoną przez ramię strzelbą i manierką prochu, a na koniec nogi nieco łukowate (zaczęły mu się wykrzywiać wskutek częstego przebywania w pozycji skurczonej, przykucniętej). Nogi te wyskakiwały żywo z worka,

rozprostowywały się dla odpędzenia zdrętwiałości; jeszcze jedno potrząśnięcie grzbietem, jedno podrapanie się pod futrzaną kapotę i Cosimo, żwawy i jak róża świeży, rozpoczynał nowy dzień.

Przede wszystkim udawał się do fontanny, bo miał swoją wiszącą fontannę, przez siebie wymyśloną, a raczej skonstruowaną na zasadzie „pomagania przyrodzie”. Był tam strumień, w pewnym miejscu spadający po stromej skale w dół, w postaci kaskady, a tuż obok dębów rozpościerał szeroko swe konary. Cosimo za pomocą wąskiego płatu topolowej kory, długości jakich dwóch metrów, zmaistrował coś w rodzaju rynny, która doprowadziła wodę z kaskady do gałęzi dębu; w ten sposób mógł się z łatwością napić i mógł się też myć. Że się rzeczywiście mył, to nie ulega wątpliwości - niejednokrotnie na własne oczy to widziałem; niezbyt może dokładnie, nawet nie każdego dnia, ale bądź co bądź mył się. Miał nawet mydło. Czasem, kiedy go naszedł taki kaprys, urządzał sobie pranie; w tym celu umieścił nawet na dębie niedużą balię. Uprane rzeczy rozwieszał do suszenia na sznurach rozciągniętych pomiędzy gałęźmi.

Jednym słowem, wszystko, co robił, robił na drzewach. Znalazł nawet sposób pieczenia upolowanej zwierzyny na rożnie, nie schodząc na ziemię. Robił to tak: zapalał szyszkę za pomocą krzesiwa i zrzucił ją na ziemię w miejscu przygotowanym na ognisko (ja mu je urządziłem, układając odpowiednio kilka płaskich kamieni), potem rzucał na to patyczki i suche gałęzie, regulując ogień przy pomocy kuchennych wilków umocowanych na długiej żerdzi, tak żeby płomień dochodził do rożna, który sprytnie umieścił pomiędzy dwiema gałęziami. Całe to urządzenie wymagało wielkiej czujności, jako że w lesie o pożar nietrudno. Nieprzypadkowo też miejsce na ognisko wybrał Cosimo pod dębem przy kaskadzie, skąd w razie niebezpieczeństwa mógł spuścić swoją rynną tyle wody, ile byłoby jej potrzeba.

Tak to, żywiąc się częściowo tym, co upolował, częściowo wymieniając u chłopów zwierzynę na owoce i jarzyny, Cosimo żył sobie wcale nieźle, tak że niebawem niczego już nie potrzebował z domu. Kiedyś dowiedzieliśmy się, że nawet pijał co rano

świeże mleko; obłaskawił sobie pewną kozę, która co dzień wspinała się na rozgałęzienie oliwki niziutko, dwie stopy nad ziemią; a raczej nie wspinała się zwyczajnie, lecz tylnymi nogami, on zaś schodził do tego miejsca z kubelkiem i doił ją. Podobną umowę miał z jedną kurą czerwonej rasy padewskiej, bardzo poczciwą. Urządził jej dobrze ukryte gniazdo w dziupli drzewa i co drugi dzień znajdował tam jajko, które wypijał na surowo, przebiwszy z obu końców otworki szpilką.

Osobny problem stanowiło załatwianie potrzeb naturalnych. Z początku nie zastanawiał się nad tym, świat jest wielki, załatwiał te sprawy gdzie popadło; ale wkrótce zrozumiał, że to nieładnie. Wyszukał sobie nad potokiem zwanym Merdanzo, w miejscu ustronnym, olchę o wystającej daleko nad wodę gałęzi, na której można było wygodnie usiąść. Brzegi strumienia porośnięte były trzcina, mało dostępne, a nurt dość bystry; okoliczne wioski odprowadzały tam swoje ścieki. Tak więc młody Piovasco di Rondo żył przyzwoicie, szanując przystojność cudzą i własną.

Ale w jego życiu myśliwca brak było czegoś, co stanowi konieczne niemal dopełnienie osoby myśliwego; nie miał psa. Miał wprowadzić mnie, a ja chętnie rzucałem się w zarośla, w kolczaste gęstwiny, za drozdem, bekasem czy przepiórką, które strącił w locie strzał Cosima, albo nawet za lisem, kiedy po całej nocy spędzonej na czatach udało się go ustrzelić, zaledwie jego ruda kita mignęła pośród wrzosów. Nieczęsto jednak mogłem wymykać się do lasu: lekcje z księdzem, odrabianie zadań, służenie do mszy, posiłki przy rodzicielskim stole - wszystko to zatrzymywało mnie w domu; niezliczone obowiązki, jakie pociąga za sobą życie rodzinne i którym ja się podporządkowywałem, gdyż zdanie powtarzane wciąż dokoła mnie, że „jeden zbuntowany to na jedną rodzinę dosyć”, nie było w gruncie rzeczy pozbawione racji i na całym moim życiu wycisnęło piętno. Cosimo polował więc prawie zawsze samotnie i przy podnoszeniu upolowanej zwierzyny (chyba że złożyło się tak wyjątkowo szczęśliwie jak z pewną wilgą, która, gdy ją trafił, pozostała na drzewie, zaczepiona o gałąź rozpostartymi żółtymi skrzydełkami) posługiwał się sprzętem podobnym do

rybackiego - długimi prętami zaopatrzonymi w sznurki, haczyki i tym podobne; nie zawsze jednak udawała mu się ta sztuka i nieraz gdzieś w cierniowych zaroślach zostawał, dajmy na to, bekas, a po chwili był już czarny od mrówek.

Oczywiście mówiłem tu o psie tylko jako o tym, który aportuje zdobycz. Bo Cosimo uprawiał wyłącznie myślistwo z zasadzki, cały ranek albo całą noc potrafił spędzić przyczajony wśród gałęzi, czekając, kiedy na wierzchołku pobliskiego drzewa przysiadzie drozd albo zając wychynie z gęstwiny na odkrytą łączkę. Albo też wałęsał się bez celu, za śpiewem ptaków, odgadując przypuszczalne szlaki, którymi chodziła zwierzyna czworonożna. A kiedy słyszał ujadanie ogarów w pogoni za zajcem czy lisem, wiedział, że ma się trzymać od tego z daleka, bo ta zwierzyna nie należy do niego - przypadkowego, samotnego myśliwca. Z właściwym sobie poszanowaniem prawa, nawet jeśli z którejś ze swoich niezawodnych kryjówek mógł z łatwością dostrzec i wziąć na cel ścigane przez cudze psy zwierzę, nigdy w takich wypadkach nie podnosił strzelby. Czekał, aż ukaże się na ścieżce zdyszany myśliwy, nastuchujący i rozglądający się niespokojnie, i pokazywał mu, w którą stronę umknęła zwierzyna.

Pewnego dnia zobaczył uciekającego lisa: rudą plamę przemykającą przez zieleni trawy, ciężko dyszącą, o nastroszonych wąsach; lis przebiegł polanę i zniknął w gęstwinie wrzosów, za nim, z ujadaniem, psy.

Wpadły w galopie, z nosami przy ziemi, dwa razy zgubiły trop i zawróciły pod kątem prostym.

Były już daleko, kiedy z cichym skowytem - „Ui, ui” - nadbiegło, nurkując w trawie, coś, co poruszało się raczej jak ryba niż jak pies, rodzaj delfina, który płynął wysuwając na powierzchnię pyszczek bardziej zaostroszony i uszy szerzej rozwiane niż mają ogary. Głosy gończych brzmiały teraz pogardliwą urazą - „Buaf” - zgubiły bowiem trop i pogoń zmieniła się w kluczenie tam i sam, węszenie dokoła łysej polany, w gorączkowe szukanie zgubionej smugi woni - zbyt gorączkowe, by mogło być dokładne; a tymczasem pierwotny zapach ostygł, już nawet poniekąd z ogarów korzystał z tego,

by podnieść łapę i podlać krzak czy kamień.

Toteż jamnik, zdyszany, dogonił je swoim drobnym kroczeniem, wysoko zadzierając pyszczek, tryumfujący bez żadnej zgola racji. Poszczekiwał przy tym bardzo przebiegle - „Uai, uai!” - i to także było bez powodu.

Ogary warknęły groźnie - „Aurrrch!” - zaprzestały na chwilę szukania tropu lisa i ruszyły na malca, szczerząc kły - „Ggghrr!” - po czym wnet przestały się nim interesować i pomknęły dalej.

Cosimo obserwował jamnika, który kręcił się niezdecydowanie w pobliżu drzewa i z roztargnieniem kołysał pyszczkiem tu i tam; nagle spostrzegł chłopca na drzewie i pomachał przyjaźnie ogonkiem. Cosimo był pewien, że lis siedzi wciąż ukryty w pobliżu. Ogary odbiegły daleko, słychać było chwilami ich szczekanie na przeciwległych wzgórzach - szczekanie urywane, bez przekonania, przerywane zachęcającymi, przytłumionymi pokrzykiwaniami myśliwych. Cosimo powiedział:

- Szukaj! Szukaj!

Psiak rzucił się z zapalem do węszenia, raz po raz odwracał się i spoglądał w górę na chłopca.

Raptem Cosimo stracił go z oczu. Usłyszał trzask łamanych gałązek, potem gwałtowne, tryumfalne: - „Auauauaaa! Iai, iai, iai!” - piesek wystawił lisa.

Cosimo zobaczył zwierza biegnącego przez polanę. Ale czy można strzelać do zwierzyny wystawionej przez cudzego psa? Cosimo pozwolił lisowi uciec, nie strzelił. Jamnik podniósł pyszczek w górę, patrząc tak, jak patrzą psy, kiedy nie rozumieją i nie wiedzą, że może mają słuszność nie rozumiejąc. A potem, z nosem przy ziemi, pocwałował dalej za lisem.

„Iai, iai, iai!” Zmusił lisa do całego wielkiego okrążenia - i oto lis wraca. Strzelić czy nie strzelić? Cosimo nie strzelił. Jamnik znowu popatrzył w górę zbolalym spojrzeniem. Nie szczekał już, jego wywieszony ozorek wydawał się jeszcze dłuższy niż jego uszy. Był bardzo zmęczony, ale nie rezygnował z pogoni.

Fakt, że mały jamnik wystawił lisa, zupełnie zdezorientował ogary i myśliwych. Ścieżką biegł stary mężczyzna z ciężką arkabuzą.

- Hej! - zawołał Cosimo. - Ten jamnik to wasz?

- A bodaj ciebie i wszystkich twoich krewniaków! - odkrzyknął stary z oburzeniem. - Czy wyglądamy na takich, co polują z jamnikami?

- W takim razie, co on wystawi, ja strzelam - rzekł Cosimo, chcąc być w porządku i jasno postawić sprawę.

- A strzelajże choćby i do swego świętego patrona! - zawołał tamten w odpowiedzi, już z daleka.

Jamnik przypędził właśnie lisa z powrotem na miejsce. Cosimo strzelił i trafił. Jamnik był teraz jego psem; Cosimo nadał mu imię Ottimo Massimo - Najlepszy i Największy.

Ottimo Massimo był psem bezpieczeństwa, który przyłączył się do sfory ogarów porwany młodzieńczą pasją. Ale skąd pochodził? Chcąc to odkryć, Cosimo dał mu się prowadzić.

Jamnik przebywał żywopłoty i rowy przypłaszczony do ziemi. Potem przystawał i oglądał się, by się upewnić, czy chłopiec nadąza za nim górą. Szlak, którym prowadził, tak dalece różnił się od zwykłych szlaków Cosima, że brat mój nie od razu spostrzegł, gdzie mianowicie się znalazł. A kiedy zrozumiał, serce zabiło mu gwałtownie: był w ogrodzie margrabiów d'Ondariva.

Dom był zamknięty, okiennice zaryglowane; jedna tylko, w okienku mansardowym, kołysała się w podmuchach wiatru. Zaniedbany ogród bardziej niż zwykle przypominał egzotyczną puszcę. Po ścieżkach zarośniętych trawą i po zachwaszczonych rabatach uszczęśliwiony Ottimo Massimo gonił motyle i wydawał się zupełnie zadomowiony.

Zniknął w krzakach i po chwili wynurzył się z nich trzymając w pyszczku wstążkę. Cosimowi jeszcze mocniej zabiło serce.

- Co to, piesku? Czyje to? Powiedz! Ottimo Massimo merdał radośnie ogonkiem.

- Przynieś tu, przynieś, Ottimo Massimo!

I Cosimo, spuściwszy się na najniższą gałąź, wziął z psiego pyszczka wyblakły strzęp, który był kiedyś niewątpliwie wstążką we włosach Violi, tak samo jak pies był z pewnością psem, zapomnianym w zamęcie wyjazdu. A nawet zdawało się Cosimowi, że sobie go przypomina z ubiegłego lata, jako małe szczenię wyzierające z koszyczka, który niosła na ręku jasnowłosa dziewczynka. Możliwe, że właśnie wtedy dostała go od kogoś w podarunku.

- Szukaj, Ottimo Massimo! - i jamnik smyrgnął w bambusowe zarośla; i tak raz po raz przynosił jakąś po niej pamiątkę: skakankę, podarte szczątki latawca, wachlarz.

U samego wierzchołka najwyższego drzewa w parku brat mój wyrył końcem szpady imiona Viola i Cosimo, a niżej wypisał, w przekonaniu, że robi tym pieskowi przyjemność, nawet jeżeli dawniej nazywano go innym imieniem: „Pies Jamnik Ottimo Massimo”.

Od tej pory, widząc chłopca na drzewie, można było mieć pewność, że pod drzewem albo w jego pobliżu zobaczy się jamnika drepczącego z brzuchem przy ziemi. Cosimo nauczył go tropienia, wystawiania, aportowania, wszystkich obowiązków psa myśliwskiego, i nie było takiego gatunku zwierzyny w tych lasach, na który nie polowałyby wspólnie. Przynosząc zdobycz jamnik wspinał się przednimi łapkami na pień, najwyższej jak tylko mógł; Cosimo schodził jak mógł najniżej, brał zająca czy kuropatwę z pyszczka pieska i głaskał go serdecznie. Do tego ograniczały się ich konfidencje i pieśczoły. Ale między ziemią a konarami drzew ciągnął się nieustający dialog, porozumienie duchowe wyrażane pojedynczymi szczęknięciami, cmokaniem i trzaskaniem w palce. Obaj mogli niezawodnie liczyć na tę cenną obecność - pies jest równie potrzebny człowiekowi, jak człowiek psu - i choć obaj tak bardzo się różnili od wszystkich innych ludzi i psów tego świata, rzec można, że czuli się obaj szczęśliwi.

XI

Przez bardzo długi czas, stanowiący w młodzieńczych latach Cosima pewną odrębną epokę, łowy były dla niego całym światem. Łowy, a także rybołówstwo: nieraz czatował z wędką na węgorze i pstrągi, tam gdzie strumień tworzył głębokie, spokojne, małe jeziora. Wydawać się mogło, że zmysły, odczucia i instynkty Cosimo stały się zupełnie różne od naszych, jak gdyby te skóry, w które się odziewał, znamionowały całkowitą przemianę jego natury. I niewątpliwie ciągłe stykanie się z korą drzew, śledzenie najmniejszych poruszeń piór, sierści, łusek, gamy barw, jaką ten właśnie obraz świata przedstawia, oraz tego zielonego nurtu, który krąży w żyłkach liści niby krew innego świata: wszystkie te formy życia tak dalekie od form ludzkich, jak różny jest młody pęd rośliny, dziób drozda, skrzele ryby, owo życie pierwotne, w które tak głęboko się pogrążył - wszystko to mogłoby tak dalece wpływać na ukształtowanie się jego ducha, że stopniowo zatracaliby jakiegokolwiek zewnętrzne cechy ludzkie. A jednak, na przekór wszelkim cechom nabywanym przez Cosima we współżyciu ze światem roślinnym i w walce ze zwierzętami, było dla mnie zawsze jasne i niewątpliwe, że jego miejsce jest po tej stronie, z nami.

Ale jeśli nawet tego nie zamierzał, to przecież niektóre z dawno wpojonych mu nawyków stopniowo słabły i wreszcie całkowicie się zatracaly. Na przykład towarzyszenie nam, kiedy w dni świąteczne udawaliśmy się na sumę do kościoła w mieście. W ciągu pierwszych miesięcy gorliwie tego przestrzegał. Każdej niedzieli, kiedy cała rodzina, świątecznie wystrojona, wyruszała w ordynku, Cosimo czekał na nas na drzewie, a w jego odzieniu dawało się także dostrzec pewne staranie o to, by wyglądać świątecznie: nakładał w takich okazjach od dawna nie używany fraczek, a na głowie zamiast czapy z kocięj sierści nosił swój trójgraniasty kapelusz.

Wyruszaliśmy, a on towarzyszył nam wędrując z drzewa na drzewo. W takim składzie wkraczaliśmy na cmentarz kościelny, podczas gdy wszyscy mieszkańcy Ombrosy przyglądali nam się ciekawie (niebawem zresztą przywykli do tego widoku,

znikło też początkowe zażenowanie naszego ojca); kroczyliśmy wszyscy godnie, on skakał po gałęziach, co zwłaszcza w zimie, kiedy drzewa są nagie, przedstawiało widok nader dziwaczny.

Wchodziliśmy do katedry, zasiadaliśmy w swojej rodzinnej ławce, on zostawał na zewnątrz, na dębie dotykającym koroną bocznej ściany kościoła, i sadowił się na gałęzi na wprost jednego z okien bocznej nawy. Z naszej ławki widzieliśmy przez i szyby cienie gałęzi i wśród nich cień Cosima z pochyloną pobożnie głową i z przyciśniętym do piersi kapeluszem. Ojciec umówił się z zakrystianem, że to okno będzie zawsze w niedzielę uchylone, tak więc mój brat mógł z drzewa uczestniczyć w nabożeństwie. Ale z czasem przestaliśmy go tam widywać, a okno z powodu przeciągów zamknięto.

Wiele rzeczy, które przedtem byłyby dla niego ważne, teraz utraciło znaczenie w jego oczach. Wiosną nasza siostra zaręczyła się. Kto by to powiedział jeszcze przed rokiem? Przyjechali owi hrabiostwo d'Estomac, urządzono wielką uroczystość. Pałac był wspaniale oświetlony, zjechała się cała okoliczna szlachta, tańczono. Któż by, zdawało się, myślał jeszcze o Cosimie? A jednak myśleliśmy o nim wszyscy. Raz po raz wyglądałem przez okna, czy nie nadchodzi. Ojciec był smutny, podczas tego święta rodzinnego myślą był wciąż przy synu, który sam się z tego święta wykluczył; a Generalessa, komenderując całą uroczystością niczym wojskiem na placu ćwiczeń, wyładowywała w ten sposób swoją tęsknotę za nieobecnym. Może nawet mizdrząca się Battista - zmieniona nie do poznania, bez swoich szat zakonnych, w peruce podobnej do marcepana i sukni *grand panier* przybranej koralami, którą nie wiem, jaka szwaczka jej uszyła - ręczę, że nawet ona myślała o Cosimie.

A on siedział, niewidoczny - dowiedziałem się tego później - na wierzchołku płątana, na zimnie, i patrzył na okna jarzące się od światła, na dobrze znane pokoje świątecznie przystrojone, na roztańczony tłum gości w pudrowanych perukach. Jakie też myśli snuły mu się wtedy po głowie? Czy było mu choć trochę żal wspólnego z nami

życia? Czy przychodziło mu do głowy, że krok, dzielący go od powrotu do naszego świata, jest przecież tak mały i łatwy? Nie wiem, co tam myślał, ani czego chciał. Wiem tylko tyle, że przesiedział na tym drzewie do końca przyjęcia i dłużej jeszcze, dopóki jedna po drugiej nie pogasły wszystkie świece w kandelabrach, dopóki nie znikło światło z ostatniego okna.

Jak widać, stosunki Cosima z rodziną ciągnęły się jakoś, lepiej czy gorzej. A nawet z jednym z jej członków zacieśniły się, rzec można, że dopiero teraz Cosimo poznał go naprawdę: osobą tą był cavaliere adwokat, Enea Silvio Carrega. Cosimo odkrył, że ten człowiek na poły niewidzialny, nieuchwytny, o którym nigdy się nie wiedziało, gdzie przebywa i co robi, nie tylko jest tym jedynym w rodzinie, który ma rozliczne zajęcia, ale ponad to nic z tego, co on robi, nie jest zajęciem bezużytecznym.

Wychodził nawet w porze największego popołudniowego skwaru, w fezie sterczącym na czubku głowy, swoim drobnym kroczeniem krępowanym długimi aż do ziemi połami czamary, i znikał nagle, jakby się w ziemię zapadł, jakby wsiąkł w żywopłot czy w kamienie polnego murku. Nawet Cosimo, którego bawiło trwanie na nieustających czatach (a raczej nie tyle go to bawiło, ile stało się już jego drugą naturą i zdawało się, że jego oko obejmuje widnokrąg tak rozległy, że wszystko się w nim mieści), w pewnej chwili tracił go raptem z oczu. Czasem puszczał się w drogę, z drzewa na drzewo, w ślad za nim do miejsca, w którym zniknął, nigdy jednak nie udawało mu się odkryć jego tajemniczych dróg. Lecz było coś, co wskazywało zawsze, w jaką stronę się udał: lot pszczół. Z czasem Cosimo nabrał przekonania, że obecność cavaliere w jakiś sposób wiąże się z pszczołami i że chcąc go wytropić, trzeba iść tam, gdzie lecą pszczoły. Ale jak to zrobić? Dokoła każdej kwitnącej rośliny rozlegało się brzęczenie pszczół; trzeba było nie dać się zwieść lotom pojedynczym, przypadkowym, i starać się wysledzić niewidzialny powietrzny szlak, na którym pszczoły pojawiały się coraz gęściej, aż wreszcie wyglądały jak ciemna chmurka dymu unosząca się ponad żywopłotem. Tam właśnie, pod osłoną krzaków, znajdowały się ule, pojedyncze albo po

kilka, ustawione rzędem na desce, a przy nich pośród brzęczenia pszczoł krzątał się cavaliere.

Bo hodowla pszczoł stanowiła jedną z dziedzin sekretnej działalności naszego naturalnego, stryja. Sekretna była zresztą tylko do pewnego stopnia, gdyż sam cavaliere przynosił od czasu do czasu na stół trochę złocistego, gęstego miodu świeżo po-debranego z ula. Ale była to bądź co bądź działalność odbywająca się poza granicami naszej posiadłości, w miejscach, które cavaliere pragnął najwidoczniej zachować w tajemnicy. Może chciał w ten sposób zabezpieczyć zyski płynące z tego jego prywatnego źródła, zamiast wrzucić je do wspólnego dziurawego garnka naszej rodzinnej gospodarki; albo raczej - gdyż z pewnością cavaliere nie był skąpy, a zresztą, cóż za dochody mogło mu przynosić te trochę miodu i wosku? - chciał mieć coś, w co jego brat baron nie wtykałby swego nosa; nie chciał, żeby go ktoś prowadził za rękę; a może po prostu wolał nie mieszać tych niewielu rzeczy, które lubił, z tymi wieloma, których nie lubił, przede wszystkim ze sprawami administracyjnymi.

Tak czy inaczej, jedno nie ulega wątpliwości, że nasz ojciec nigdy by mu nie pozwolił na hodowlę pszczoł w pobliżu domu, gdyż czuł on jakiś niepojęty, przesadny lęk przed ukłuciem; ilekroć natknął się w ogrodzie na pszczołę lub osę, rzucał się w panice do ucieczki i pędził przez alejki, z rękami kurczowo wczepionymi w perukę, jakby groziło mu nie żądło pszczoły, lecz szpony orła. Raz przy takiej okazji zgubił perukę, a pszczoła, podrażniona jego zachowaniem, ucięła go w łysą głowę. Przez trzy dni ojciec robił sobie okłady z octu; bo taki on już był - silny i dumny w rzeczach poważnych, ale drobne skaleczenie czy wrzodziańka przyprawiały go niemal o szaleństwo.

Tak więc Enea Silvio Carrega uprawiał swoją hodowlę pszczoł wszędzie po trochu w całej dolinie Ombrosy. Właściciele gruntów pozwalali mu umieszczać jeden, dwa czy trzy ule na swoich polach w zamian za trochę miodu, a on krążył od jednych uli do drugich i krzątał się koło nich poruszając się w taki sposób, jakby miał pszczele łapki zamiast rąk, zwłaszcza że nieraz dla ochrony przed ukąszeniem wkładał na nie

czarne mitenki. Na twarzy nosił wetkniętą pod fez zasłonę z czarnego muślinu, która za każdym oddechem wzdymała się i unosiła nad ustami. W rękę trzymał dziwnego kształtu naczynie, z którego przy każdym poruszeniu wydobywał się dym; odpędzał nim owady, podczas gdy grzebał w ulach. Wszystko to - brzęczenie pszczoł, czarna zasłona, obłok dymu - robiło na Cosimie wrażenie jakiejś magii, przy pomocy której ten człowiek miał zniknąć, zostać wykreślony z życia, ulecieć, aby potem odrodzić się w innej postaci, innych czasach i innym miejscu. Ale widać niezbyt potężnym był czarownikiem, skoro po chwili ukazywał się w swojej własnej postaci i w dodatku jeszcze ssąc ukąszony palec.

Była wiosna. Pewnego ranka Cosimowi wydało się, że powietrze uległo niezwykłemu szaleństwu; rozbrzmiewało jakimś dźwiękiem, nigdy nie słyszonym brzęczeniem przechodzącym chwilami w przeciągłe huczenie, ukazywało się w powietrzu coś na kształt gradu, ale zamiast opadać na ziemię przesuwało się to coś w kierunku poziomym albo wirowało powoli i ciężko dokoła gęstego ośrodka, tworzącego jakby pionowy słup. Była to ogromna chmara pszczoł, a dokoła wszystko się zieleniło, kwitły kwiaty, świeciło słońce. Cosimo nie rozumiał, co to się dzieje, ale czuł, że ogarnia go jakieś dzikie podniecenie.

- Pszczoły uciekają! Cavaliere! Pszczoły uciekają! - zaczął wołać przeskakując z drzewa na drzewo w poszukiwaniu Carregi.

- Nie uciekają: roją się - usłyszał głos adwokata i zobaczył go nagle tuż pod drzewem, jakby wyrósł z ziemi na kształt grzyba; palcem dawał Cosimowi znak, żeby był cicho. I zaraz pobiegł gdzieś, zniknął. Dokąd mógł pójść?

Była to pora rojenia się pszczoł. Chmara pszczoł wylatywała ze starego ula w ślad za królową. Cosimo rozejrzał się uważnie dokoła. W drzwiach ukazał się cavaliere, w rękach trzymał saganek i patelnię. Uderzał jednym naczyniem o drugie wywołując głośne deng! deng!, które długo brzmiało echem w powietrzu, aby zacichać powoli w rozdzierającej wibracji, tak dokuczliwej, że każdy odruchowo zaciskał palcami uszy.

Tak bębniąc co trzy kroki w sagan patelnią, cavaliere podążał w ślad za pszczołami. I za każdym odgłosem rój drgał, szybko opadał w dół i podrywał się znowu, ale brzęczenie stawało się coraz cichsze, lot coraz mniej pewny. Cosimo nie widział dokładnie, ale zdawało mu się, że cały rój zaczyna się skupiać w jednym miejscu na tle zieleni i że dalej nie leci. A Carrega nie przestawał dzwonić patelnią.

- Co się dzieje, cavaliere? Co pan robi? - zapytał mój brat doganiając go.

- Prędko! - wybełkotał tamten. - Prędko! Idź na drzewo, gdzie się rój zatrzymał, ale uważaj, nie ruszaj go, póki tam nie przyjdę!

Pszczoły kierowały się ku drzewu granatu. Cosimo dotarł do niego, w pierwszej chwili nic nie zobaczył, ale nagle spostrzegł jakiś dziwny, wielki owoc, kształtem zbliżony do szyszki, który zwisał w dół z gałęzi i cały złożony był z pszczoł, ciasno przywartych jedne do drugich; pszczoł przylatywało coraz więcej i owa niezwykła szyszka pęczniała coraz bardziej.

Cosimo siedząc na wierzchołku granatu wstrzymywał oddech. Pod nim wisiało pszczele grono, a im większe było, tym lżejsze się wydawało - wyglądało jak zawieszona na nitce, a może nawet tylko na łapkach starej królowej, i wydawało cichy chrzęst - nieprzeliczone mnóstwo szeleszczących cichutko skrzydełek pokrywało mgiełką przejrzystej szarości zwartą masę odwłoków, pokreślonych w czarne i żółte paseczki.

Cavaliere nadbiegł w podskokach, w rękach niósł ul. Przewrócił go ostrożnie i podsunął pod rój.

- Potrząśnij - powiedział cicho do Cosima - potrząśnij lekko, krótko.

Cosimo zaledwie troszkę poruszył drzewem. Grono złożone z tysięcy pszczoł oderwało się lekko jak suchy liść i spadło do ula, który cavaliere natychmiast zamknął deską.

- Gotowe - rzekł.

Tak oto zrodziły się pomiędzy Cosimem a cavaliere adwokatem porozumienie i

współpraca, które można by nazwać pewnego rodzaju przyjaźnią, gdyby słowo „przyjaźń” nie wydawało się przesadne w odniesieniu do dwóch osób tak mało towarzyskich.

Prócz tego, mój brat zetknął się z Eneą Silviem także i na gruncie hydrauliki. Może się to wydawać dziwne, bo cóż może mieć do czynienia ze studniami i kanałami ktoś, kto stale przebywa na drzewach? Ale opowiadałem już przecież o owej wiszącej fontannie, którą Cosimo skonstruował z kory topoli i która doprowadzała wodę z kaskady pomiędzy gałęzie dębu. Otóż, choć cavaliere adwokat był tak roztargniony, nic, co się działo w sieci wodnej całej okolicy, nie uchodziło jego uwadze. Ukryty za krzakiem ligustru przy kaskadzie wyszedł Cosimo w momencie wyciągania swojej rynny z gęstwiny dębowych gałęzi (gdzie chował ją, kiedy nie była mu potrzebna, wiedziony instynktem ukrywania, przejętym w krótkim czasie od mieszkańców lasu); cavaliere widział, jak Cosimo opiera jeden koniec rynny na rozwidleniu gałęzi dębu, drugi na kamieniach wystających z pionowej ściany skalnej, i pije.

Na ten widok coś nowego zaświtało w głowie cavaliere: ogarnął go jeden z rzadkich nastrojów radosnego uniesienia; wyskoczył zza krzaka ligustru, klaszcząc w ręce, podskoczył parę razy, jakby przeskakiwał przez sznur, prysnął wodą, niewiele brakowało, a byłby wskoczył do kaskady i razem z nią runął ze skały w dół. A potem zaczął tłumaczyć chłopcu wspaniałą myśl, jaka go nawiedziła. Myśl była niezbyt jasna, „a sposób jej wyjaśniania bardzo zagmatwany: cavaliere zazwyczaj mówił dialektem, bardziej przez skromność niż z braku znajomości języka, ale w momentach podniecenia przechodził raz po raz na turecki, wcale sobie z tego nie zdając sprawy - i wtedy nie rozumiało się nic a nic.

Krótko mówiąc: wpadł na pomysł wiszącego wodociągu, do którego podtrzymywania dałoby się wyzyskać właśnie gałęzie drzew, co pozwoliłoby dosięgnąć przeciwległego jałowego zbocza doliny i nawodnić je. Cosimo podsunął zaraz pomysł ulepszenia: żeby gdzieś zastosować rynny podziurawione małymi otworkami,

stwarzając sztuczny deszcz na zasiewy. Pomysł ten wprowadził cavaliere w istną ekstazę.

Zaraz pobiegł zamknąć się w swoim gabinecie, gdzie arkusz za arkuszem zaczął pokrywać rysunkami. Cosimo również zapalił się do tego, bo wszystko, co mógł robić na drzewach, sprawiało mu przyjemność, a przy tym zdawało mu się, że przydaje w ten sposób nowej treści swojemu przebywaniu tam w górze; i zdawało mu się także, że w osobie cavaliere znalazł niespodziewanie towarzysza i sojusznika. Wyznaczali sobie spotkania na niektórych niższych drzewach, cavaliere wdrapywał się po drabince, obładowany rulonami rysunków; całymi godzinami dyskutowali nad coraz bardziej skomplikowanymi ulepszeniami swoich wodociągów.

Nigdy jednak nie doszło do realizacji tych planów. Enea Silvio znużył się nimi niebawem, coraz rzadziej przychodził na narady z Cosimem, nie doprowadził rysunków do końca i po tygodniu zdawał się już wcale o nich nie pamiętać. Cosimo nie zmartwił się tym; rychło spostrzegł, że cała ta rzecz staje się w jego życiu uciążliwą komplikacją, niczym więcej.

Rzecz jasna, że na polu hydrauliki nasz naturalny stryj byłby mógł dokonać znacznie więcej. Nie brak mu było pasji ani pomysłowości koniecznej przy tego rodzaju pracach. Ale nie miał zmysłu praktycznego. Gubił się w szczegółach, aż w końcu całość rozpraszała się, rozpływała, jak woda pozbawiona odpowiedniej drogi ujścia kręci się tak i owak, a w końcu zostaje wessana przez porowaty grunt. Przyczyna tkwiła być może w tym, że o ile hodowlą pszczół mógł się zajmować na własną rękę i własny rachunek, poniekąd w sekrecie, od nikogo niezależnie, od czasu do czasu ujawniając ją tylko podarunkiem w postaci miodu czy wosku, którego nikt się od niego nie domagał, to natomiast w przedsięwzięciach hydraulicznych musiał się kierować interesami tego czy owego, podporządkowywać się woli i poglądom bądź barona, bądź kogoś innego, kto mu powierzał jakąś pracę do wykonania. Nieśmiały i niezdecydowany z natury, nigdy nie sprzeciwiał się woli innych, za to zniechęcał się do samej pracy i pod byle pozorem ją porzucał.

O każdej porze dnia można go było zobaczyć gdzieś w polu, jak w otoczeniu ludzi z łopatami i kilofami, sam uzbrojony w pręt z podziałką, z rulonem map i planów pod pachą, wydaje dyspozycje co do takich czy innych robót ziemnych i przemierza grunt swoimi małymi kroczkami, starając się je w sposób przesadny wydłużyć. Zarządzał kopaniem w jakimś miejscu, potem w innym, raptem kazał przerwać robotę, zabierał się na nowo do pomiarów, wreszcie zapadał wieczór i całą rzecz odkładano na kiedy indziej; rzadko przy tym decydował się podjąć nazajutrz pracę tam, gdzie ją poprzedniego dnia przerwano. I znikał, czasem na cały tydzień.

Na jego pasję do hydrauliki składały się najrozmaitsze aspiracje, impulsy, pragnienia. W duszy zachował wspomnienie pięknych, znakomicie nawodnionych posiadłości sułtana, sadów i ogrodów, w których był niegdyś szczęśliwy, gdzie spędził jedyny bodaj w całym swoim życiu okres prawdziwego szczęścia. Z tymi to berberyjskimi czy tureckimi ogrodami porównywał wciąż w myśli okolice Ombrosy i pragnął je udoskonalić, upodobnić do tamtych z jego wspomnień, a że jego jedyną umiejętnością była hydraulika, na niej koncentrował swoje pragnienie odmiany; wciąż jednak napotykał rzeczywistość tak bardzo odległą od marzeń, że ogarniało go zniechęcenie.

Uprawiał także różdżkarstwo - w sekrecie, bo w owych czasach takie dziwaczne praktyki łatwo mogły ściągnąć na człowieka posądzenie o czary. Kiedyś Cosimo zobaczył go na łące, wykonującego jakieś dziwne piruety; w ręku trzymał wyciągnięty daleko przed siebie rozwidlony patyk. Musiała to być jedna z bezowocnych prób, bo nic z tego dalej nie wynikło.

Cosimowi zrozumienie charakteru stryja przyniosło pewną korzyść: dowiedział się mianowicie wielu rzeczy o samotności i później nieraz mu się to w życiu przydało. Powiedziałbym, że wspomnienie postaci cavaliere adwokata stało się dla niego jak gdyby przestroga, jaki może być los człowieka, który uparcie oddziela swoje życie od życia innych. I udało mu się rzeczywiście nie stać się nigdy podobnym do stryja.

XII

Nieraz nocą budziły Cosima krzyki:

- Ratunku! Bandyti! Łapać ich!

Czym prędzej przemykał się z drzewa na drzewo do miejsca, skąd się te krzyki rozlegały; bywała to przeważnie chłopska zagroda, z całą rodziną, na pół odzianą, zawodzącą żałośnie przed domem.

- Ach, my nieszczęśni, przyszedł Gian z Puszczy i odebrał nam wszystko, cośmy mieli za sprzedane zbiory!

Nadbiegali sąsiedzi.

- Gian z Puszczy? To on był? Widzieliście go?

- On był, on! Miał maskę na twarzy, pistolet o, taki długi, z nim było dwóch innych w maskach, a on im wydawał rozkazy! To Gian z Puszczy!

- Gdzież on jest? W którą stronę poszedł?

- Ach, złapiesz to Giana z Puszczy? Kto może wiedzieć, gdzie teraz jest!

Czasem znów tym, który krzyczał, był podróżny obrabowany na drodze ze wszystkiego - konia, sakiewki, płaszcza i tobołka. „Ratunku! Rozbój! Gian z Puszczy!”

- Jak to było? Powiedźcie!

- Wskoczył stamtąd, czarny, brodaty, mierzył do mnie ze strzelby, cud, że jeszcze żyję!

- Prędko! Gońmy go! W którą stronę uciekał?

- Tędy! Nie, może tamtędy! Pędził jak wiatr!

Cosimo wbił sobie w głowę, że musi koniecznie zobaczyć kiedyś słynnego rozbójnika. Przebiegał las wzdłuż i wszerz polując na zające czy ptactwo i nawołując jamnika: „Szukaj, szukaj, Ottimo Massimo!” Ale tym, kogo chciałby wytropić, był rozbójnik. I nie po to, żeby mu coś zrobić czy powiedzieć, po prostu żeby popatrzeć w twarz osobie tak sławnej. Nigdy jednak nie udawało mu się go spotkać, choćby krążył

po lesie całą noc. „Widocznie dziś w nocy nigdzie nie wychodził” - mówił sobie Cosimo; tymczasem rano po tej czy tamtej stronie doliny spostrzegł gromadkę ludzi przed domem czy na rozstaju rozprawiającą o nowym napadzie. Cosimo biegł tam czym prędzej, chciwie przysłuchując się opowieściom:

- Ale ty wciąż przecież jesteś w lesie, na drzewach i nigdy go nie widziałeś, tego Giana? - zagadnął go ktoś kiedyś.

- Nie... chyba nigdy - odpowiedział Cosimo zawstydzony.

- A niby jak miał go widzieć? - wtrącił się ktoś inny. - Gian z Puszczy ma kryjówki, których nikt nie wytropi, i chodzi drogami, których nikt nie zna!

- Przy takiej cenie na jego głowę, kto go złapie, będzie się dobrze miał do końca życia!

- Ba! Ale ci, co wiedzą, gdzie on jest, sami mają na sumieniu niewiele mniej od niego i jak się zgłoszą, to zadyndają na szubienicy z nim razem!

- Gian z Puszczy! Gian z Puszczy! Czy to aby zawsze jego są sprawki?

- Cóż, tyle już ma na karku, że choćby go od dziesięciu win uwolnili, zawsze za jedenastą zdążą go powiesić!

- Grasował po wszystkich lasach wzdłuż całego wybrzeża!

- Zabił też herszta swojej bandy za młodu!

- Nawet zbóje się go wyrzekli!

- Dlatego przyszedł tu, w nasze strony!

- Bo my jesteśmy za dobrzy!

Cosimo każdą nowinę zanosił kotlarzom i omawiał z nimi. Wśród ludzi koczujących w lasach było w owym czasie sporo podejrzanych włóczęgów - kotlarzy, wyplataczy krzesel, szmaccarzy, ludzi, którzy chodzą po domach i rano upatrują, co by się dało ukraść wieczorem. W lesie mieli oni nie tyle swoje warsztaty, ile kryjówki, w których przechowywali złodziejskie łupy.

- Wiecie, dziś w nocy Gian z Puszczy zrobił napad na podróżną karete!

- Ach, tak? Cóż, wszystko być może...
- Wstrzymał konie w galopie chwyciwszy je przy pyskach!
- No, to albo to nie był on, albo konie to nie były konie, tylko polne koniki...
- Co wy mówicie? Nie wierzycie, że to Gian z Puszczy?
- Ależ tak, tak, co ty mu w głowie mącisz? Pewnie, że to był Gian z Puszczy, nie

kto inny!

- Czegóż to on nie potrafi, ten Gian!
- Cha, cha, cha!

Słyszając, jakim tonem ludzie ci mówią o słynnym rozbójniku, Cosimo nic z tego nie rozumiał. Ruszał dalej, do innego obozowiska włóczęgów.

- Powiedzcie no, według was, ta historia z karetą dziś w nocy, to sprawka Giana z Puszczy, co?

- Wszystkie takie historie to jego sprawka, jeżeli się udadzą. Nie wiesz?
- Dlaczego „jeżeli się udadzą”?
- Bo jak się nie udają, to znaczy, że to był Gian z Puszczy naprawdę!
- Cha, cha! Ten niezguła! Cosimo teraz już nic nie rozumiał.
- Gian z Puszczy to niezguła?

Tamci wtedy czym prędzej zmieniali ton.

- Ach, skądże! Nigdy w świecie, to rozbójnik, którego wszyscy się boją!
- A wy, widzieliście go kiedy?
- My? A któż go kiedy widział?
- Ale wiecie na pewno, że on jest na świecie?
- Jakżeby! Pewnie, że jest! A choćby go nawet nie było...
- Choćby go nie było?
- Wyszłoby na jedno. Cha, cha, cha!
- Ależ wszyscy mówią...
- Pewnie, bo i trzeba tak mówić: Gian z Puszczy rabuje i zabija gdzie popadnie,

ten groźny rozbójnik! Chcielibyśmy widzieć takiego, co w to nie wierzy!

- A ty, chłopcze, miałbyś odwagę o tym wątpić?

Z tego wszystkiego Cosimo rozumiał jedno: że trwoga, którą imię Giana budziło w całej dolinie, im wyżej, im dalej w las, tym bardziej zmieniała się w stosunek pełen wątpliwości, a nawet w drwinę.

Teraz nie był już tak bardzo ciekaw zobaczyć na własne oczy słynnego zbója, gdyż rozumiał, że ludzie znający się na rzeczy niewiele sobie z niego robią. I właśnie teraz zdarzyło mu się go spotkać.

Pewnego popołudnia Cosimo siedział na gałęzi orzecha i czytał. Od niedawna zaczął tęsknić za książkami: czatowanie całymi dniami, z fuzją gotową do strzału, na byle ptaszka, w końcu może się znudzić.

Czytał właśnie „Gil Blasa” Lesage'a, w jednej ręce trzymając książkę, w drugiej strzelbę. Ottimo Massimo, który nie lubił, jak jego pan czyta, kręcił się w pobliżu, szukając jakiego bądź pretekstu, żeby go od lektury odciągnąć; zaczynał na przykład ujadać na motyla, spoglądając, czy też pan ruszy strzelbą, czy nie.

Nagle na ścieżce górskiej ukazał się biegnący mężczyzna - brodaty, niechlujny, zdyszany, bez broni, a za nim dwóch zbirów z dobytymi szablami, krzycząc:

- Łapać go! To Gian z Puszczy! Wytropiliśmy go nareszcie!

Rozbójnik odbił się na pewien niewielki dystans od goniących, ale biegł jakoś niepewnie, jakby bał się zmylić drogę czy wpaść w jakąś pułapkę; wyglądało na to, że za chwilę prześladowcy będą mu już znowu deptać po piętach. Drzewo, na którym siedział Cosimo, miało pień gładki, bez punktów oparcia dla kogoś, kto chciałby się nań wdrapać, ale chłopiec miał przy sobie linę, jedną z tych, które zawsze nosił, żeby sobie nią pomagać przy trudniejszych przejściach. Szybko zrzucił jeden jej koniec na ziemię, drugi uwiązując mocno do gałęzi. Rozbójnik zobaczył sznur spadający mu nagle z góry przed samym nosem, przez krótki moment szarpał niezdecydowanie własne palce, potem jednak uchwycił linę rękami i zaczął się szybko wciągać, okazując się człowiekiem z

gatunku „niezdecydowanie impulsywnych”, którzy, zdawałoby się, nigdy nie potrafią uchwycić właściwego momentu, a w rzeczywistości zawsze utrafią jak należy.

Nadbiegli tamci dwaj. Lina była już wciągnięta na górę, a Gian z Puszczy siedział skulony obok Cosima, kryjąc się w gałęziach orzecha. Ścieżka rozdawała się w tym miejscu, jeden ze zbirów ruszył w prawo, drugi w lewo, potem spotkali się znowu i nie wiedzieli, co dalej. W tej niepewności natknęli się na jamnika, który myszkował po ziemi, wesoło merdając ogonkiem.

- Ejże - odezwał się jeden ze zbirów do drugiego - czy to nie będzie psiak młodego barona, tego, co to mieszka na drzewach? Jeżeli chłopak jest tu gdzieś w pobliżu, może się czegoś dowiemy od niego.

- Tu jestem! - zawołał Cosimo. Ale wołał już nie z orzecha, na którym dopiero co siedział i gdzie dał schronienie rozbójnikowi; zdążył już przenieść się cichaczem na kasztan po drugiej stronie ścieżki, tak że zbiry zadarłszy głowy w jego kierunku nie spojrzeli na inne drzewa.

- Dzień dobry, Wasza Wielmożność - odezwali się - nie widział tu panicz przypadkiem bandyty, Giana z Puszczy?

- Kto to był, nie wiem - odparł Cosimo - ale jeżeli szukacie człowieka, który tędy dopiero co przebiegał, to skręcił tam, w stronę strumienia...

- Człowieczka? To kawał chłopca, taki, że strach popatrzeć...

- Cóż, stąd, z góry, wszyscy wydajecie się mali...

- Dziękujemy, Wasza Wielmożność! - i popędzili w dół, ku wodzie.

Cosimo wrócił na orzech i zabrał się znowu do czytania „Gil Blasa”. Gian z Puszczy wciąż jeszcze siedział przyciśnięty do pnia, blady, o ile można to było dostrzec poprzez rudą szczecinę włosów i brody, pełną sterczących suchych liści, kolczastych łupin kasztanowych i sosnowych igieł. Wpatrywał się w Cosima niepewnym spojrzeniem zielonych, okrągłych oczu. Brzydki był, bardzo brzydki.

- Poszli? - zdecydował się wreszcie zapytać.

- Tak, tak -

odrzekł Cosimo uprzejmie. - Pan jest rozbójnikiem, Gianem z Puszczy?

- Skąd mnie panicz zna?

- Tak sobie, ze słyszenia.

- A panicz to ten, co nigdy nie schodzi z drzew?

- Tak. Skąd pan wie?

- Cóż, także ze słyszenia. Popatrzeni na siebie uprzejmie, jak dwie znaczne osobistości, które spotkały się przypadkiem i miło im, że wiedzą o sobie nawzajem.

Cosimo nie wiedział, co by tu więcej rzec, powrócił więc do swojej lektury.

- Co panicz ładnego czyta?

- To „Gil Blas” Lesage'a.

- Ładne?

- Owszem.

- Dużo paniczowi zostało do skończenia?

- Dlaczego? No, ze dwadzieścia stron.

- Bo jak już panicz skończy, to prosiłbym, żeby mi panicz tę książkę pożyczył - rzekł tamten uśmiechając się trochę zmieszany. - Widzi panicz, całe dni siedzę w ukryciu, nic nie mam do roboty. Dobrze byłoby mieć czasem choć książkę. Raz zatrzymałem karete, niewiele się tam obłowilem, ale była książka, to ją zabrałem. Zabrałem do siebie, schowaną pod kapotą; całą resztę łupu byłbym chętnie oddał, byle tylko zatrzymać tę książkę. Wieczorem zaświecam latarnię, zabieram się do czytania... a to było po łacinie! Nie rozumiałem ani słówka... - potrząsnął głową bezradnie. - Widzi panicz, ja nie umiem po łacinie...

- No, cóż, łacina nie jest łatwa - rzekł Cosimo czując, że mimowolnie przybiera ton wyższości. - Ta książka jest po francusku...

- Francuski, tokański, prowansalski czy hiszpański, to wszystko znam - powiedział Gian z Puszczy. - Umiem trochę i po katalońsku: *Bon dia! Bona nit! Estd la*

mar mólt alborotada.

W pół godziny Cosimo skończył książkę i pożyczył ją Gianowi.

W taki sposób nawiązały się stosunki między moim bratem a słynnym rozbójnikiem. Zaledwie Gian z Puszczy skończył książkę, przybiegał zwrócić ją Cosimowi i pożyczyć inną, po czym zaszywał się na powrót w swojej kryjówce i pogrążał się w czytaniu.

Książek dostarczałem Cosimowi ja, czerpiąc je z biblioteki domowej, a po przeczytaniu zaraz mi je oddawał. Ale teraz zaczął przetrzymywać książki dłużej, gdyż najpierw czytał je sam, a potem dawał Gianowi, tak że wracały nieraz w wytartych okładkach, z plamami pleśni i smugami ślimaczego śluzu - Bóg wie, gdzie je rozbójnik przechowywał.

W pewne dni Cosimo i Gian z Puszczy spotykali się na umówionym drzewie, wymieniali książkę i każdy szedł w swoją stronę, gdyż las był wciąż przetrząsany przez zbirów. Ta transakcja, tak przecież prosta, była dla obu stron bardzo niebezpieczna: bo i memu bratu niełatwo byłoby się wytłumaczyć z tej zażyłości ze znanym przestępcą! Ale Giana z Puszczy ogarnęła taka pasja do lektury, że połykał powieść za powieścią i spędzając całe dni na czytaniu w swojej kryjówce, potrafił w jeden dzień pochłonąć książkę, na którą mój brat zużył tydzień albo i więcej. A skoro przeczytał, nie było rady, domagał się nowej, a jeśli nie był to właśnie dzień umówiony, wyruszał i przetrząsał całą okolicę w poszukiwaniu Cosima, siejąc postrach wśród wieśniaków i stawiając na nogi całą żandarmerię Ombrosy.

Teraz więc Cosimowi, nieustannie nagabywanemu przez rozbójnika, nie wystarczały już książki, które ja mogłem dla niego zdobyć - musiał rozejrzeć się za innym jeszcze dostawcą. Zawarł znajomość z pewnym żydowskim księgarzem, niejakim Orbecche, który dostarczał mu nawet wielotomowe dzieła. Cosimo pukał do jego okna siedząc na gałęzi drzewa świętojańskiego i wręczał mu świeżo upolowane zające, drozdy i kuropatwy w zamian za książki.

Ale Gian z Puszczy miał swoje wyraźne gusty, nie można mu było dawać książek jakich bądź - wracał wtedy nazajutrz do Cosima i żądał czegoś innego. Mój brat był w wieku, kiedy zaczyna się nabierać upodobania do poważniejszej lektury, ale musiał być ostrożny, od czasu kiedy Gian odniósł mu „Przygody Telemaka” ostrzegając, że jeśli jeszcze raz Cosimo da mu książkę tak nudną, on podpiłuje pod nim drzewo.

Cosimo byłby najchętniej oddzielił zupełnie te książki, które chciał sobie sam spokojnie przeczytać, od takich, które zdobywał wyłącznie dla Giana; ale cóż, musiał każdą z nich i tak chociaż pobieżnie przejrzeć, gdyż rozbójnik stawał się coraz bardziej wymagający i nieufny; zanim wziął książkę, chciał, żeby mu pokrótce opowiedzieć treść, i biada Cosimowi, jeśli się zdradził ze swą nieświadomością. Mój brat próbował dawać mu lekkie romanse, ale rozbójnik wracał wściekły, pytając, dla jakiej to kobietki przeznaczona była ta lektura. Nie sposób było odgadnąć, co mu się spodoba. Wkrótce, wobec natarczywych wymagań rozbójnika, czytanie stało się dla Cosima już nie rozrywką na pół godzinki, lecz głównym zajęciem, najważniejszym i wypełniającym całe niemal dni. I w miarę jak wertował coraz więcej i więcej książek, jak wydawał o nich sądy i porównywał, jak odkrywał coraz nowe, w rozterce między koniecznością dobierania lektury dla Giana i wzrastającą wciąż potrzebą lektur własnych, Cosima ogarniała coraz potężniejsza namiętność do słowa pisanego i do całej dostępnej ludziom wiedzy; nie wystarczał mu już czas od wschodu do zachodu słońca i czytał jeszcze po zapadnięciu ciemności, przy świetle latarki.

Na koniec odkrył powieści Richardsona. Gianowi spodobały się na szczęście. Ledwie skończył jedną, domagał się następnej. Orbecche dostarczył cały stos tomów. Rozbójnik miał co czytać co najmniej przez miesiąc. Cosimo odetchnął i rzucił się chciwie na „Żywoty” Plutarcha.

Tymczasem Gian z Puszczy, leżąc na swym barłogu, ze szczecina rudyh włosów pełną suchych liści, z czołem zmarszczonym i zielonymi oczyma czerwieniejącymi z wysiłku, czytał i czytał, zawzięcie poruszając szczęką, z poślinionym palcem

przygotowanym zawczasu do obrócenia kartki. Przy czytaniu Richardsona wydobywało się na jaw z dawna ukryte na dnie duszy pragnienie, coraz bardziej uporczywe: pragnienie spokojnego, domowego życia, rodzinnej bliskości i przyjaźni, zwykłych ludzkich cnót i odraza do występku. Wszystko, co go otaczało, przestało go obchodzić, a nawet napełniało niechęcią. Nie opuszczał już wcale swojej kryjówki, chyba że biegł do Cosima po nową książkę, zwłaszcza jeżeli czytał powieść w kilku tomach i musiał przerwać czytanie w toku akcji. Żył tak w całkowitym odosobnieniu, nic nie wiedząc, że tymczasem nad jego głową zbiera się burza; bo nawet najbardziej zaufani spośród jego dawnych leśnych kompanów dość już mieli takiego rozbójnika, który nic nie robił, a ściągał im na karki całą okoliczną żandarmerię.

Dawniej skupiali się wokół niego w okolicy wszyscy, którzy mieli jakieś porachunki ze sprawiedliwością, od drobnych kradzieży, popełnianych przez wędrownych naprawiaczy rondli poczynając, a kończąc na poważnych przestępstwach i bandyckich napadach. Przy każdej kradzieży czy rabunku ludzie ci korzystali z autorytetu i doświadczenia swego herszta, a nawet posługiwali się jak tarczą jego imieniem, które krążąc z ust do ust pozostawiało ich imiona w dyskretnym cieniu. A i ci, co w rabunkach i wyprawach złodziejskich nie brali udziału, czerpali z nich pośrednio korzyści, gdyż leśne kryjówki napełniały się łupami i wszelkiego rodzaju towarami z przemytu; niejedno trzeba było przetopić, inne znów rzeczy odprzedać, i wszyscy, którzy z tym mieli do czynienia, mogli coś niecoś zarobić. A nawet ci, co uprawiali rozbój na własną rękę, bez wiedzy Giana z Puszczy, posługiwali się tym budzącym trwogę imieniem, by sterroryzować napadniętych i jak najwięcej od nich wydobyć: ludzie żyli w wiecznym strachu, w każdym podejrzanym włóczędzie widzieli Giana z Puszczy albo kogoś z jego bandy, i skwapliwie, bez oporu, rozsupływali sakiewki.

Te piękne czasy długo trwały; Gian z Puszczy doszedł do przekonania, że może już sobie pozwolić na życie z procentów i stopniowo niedołęźniał, rozleniwiwał się. Zda-

wało mu się, że wszystko będzie samo szło dawnym trybem, a tymczasem wiele się zmieniło i jego imię nie budziło już ani grozy, ani szacunku.

Komuż i na co mógł się jeszcze przydać Gian z Puszczy? Siedział przecież w swojej jamie, zażawionymi oczyma czytając bez końca powieści, wypraw zbójceckich nie podejmował, łupów nie dostarczał, w lesie nikt już nie mógł zajmować się spokojnie swoimi sprawami, dzień w dzień myszkowali żandarmi szukając słynnego herszta i ktokolwiek wydał im się podejrzany, zabierali go z sobą i pakowali do aresztu. A jeśli jeszcze dodać pokusę owej ceny wyznaczonej na głowę Giana z Puszczy - jasne jest, że jego dni były policzone.

Dwóch innych rozbójników, młodych chłopaków, przez niego zaprawionych do bandyckiego rzemiosła, nie mogąc się pogodzić z utratą tak znakomitego przywódcy, umyśliło dać mu okazję do rehabilitacji. Zwali się oni Ugasso i Bel-Lore i w swoim czasie należeli do bandy złodziejasków grasującej po sadach owocowych. Teraz, już młodzieńcy, byli bandytami w całym tego słowa znaczeniu.

Odszukali Giana z Puszczy w jego jaskini. Leżał tam na legowisku ze słomy. - No, co tam? - mruknął nie podnosząc oczu znad książki.

- Chcemy ci coś zaproponować, Gianie z Puszczy.

- Mmm... Co takiego? - i czytał dalej.

- Wiesz, gdzie jest dom Costanza, poborcy?

- Tak, tak... Hę? Co? Co za poborca? Bel-Lore i Ugasso wymienili spojrzenia pełne troski. Dopóki nie zabierze mu się tej przeklętej książki sprzed oczu, nie zrozumie ani słowa z tego, co się do niego mówi. - Zamknij no na chwilę książkę, Gianie z Puszczy, i wysłuchaj nas.

Gian z Puszczy chwycił oburącz książkę, dźwignął się na kolana przyciskając ją otwartą do piersi, ale pragnienie czytania było w nim silniejsze ponad wszystko: nie wypuszczając książki z mocnego uchwytu rąk uniósł ją w górę na tyle, by móc z powrotem wetknąć w nią nos.

Bel-Loremu błysnęła świetna myśl. Była tam pajęczyna z wielkim pajakiem pośrodku.

Bel-Lore ostrożnym ruchem zdjął pajęczynę razem z pajakiem i wrzucił ją pomiędzy nos Giana a jego książkę. A ten nieszczęśnik Gian z Puszczy tak już skapcaniał, że zląkł się nawet pajaka! Poczul na nosie gmeranie małych łapek, na twarzy łaskotanie pajęczyny i, nim jeszcze zrozumiał, co się dzieje, wydał okrzyk wstrętu i przestachu, wypuścił książkę z rąk i jął machać nimi koło twarzy, plując i przewracając oczyma.

Ugasso błyskawicznie rzucił się na ziemię i chwycił książkę, zanim Gian z Puszczy zdążył postawić na niej nogę.

- Oddaj mi książkę! - krzyknął Gian usiłując jedną ręką uwolnić się od pajęczyny, a drugą wydrzeć swój skarb z rąk Ugassa.

- Nie, najpierw musisz nas wysłuchać! - rzekł Ugasso chowając książkę za plecy.

- Czytałem właśnie „Klarysę”. Oddajcie mi! Najciekawsze miejsce...

- Posłuchaj! Dziś wieczór nosimy drwa do domu poborcy. W jednym z worków zamiast drew będziesz ty. Kiedy się ściemni, wyjdiesz z worka...

- Chcę dokończyć „Klarysę”!

- Zdołał już uwolnić się od resztek pajęczyny i próbował walczyć z dwoma na raz.

- Słuchajże... Kiedy się ściemni, wyjdiesz z worka z dwoma pistoletami, każesz poborcy oddać sobie wpływ z ubiegłego tygodnia, trzyma pieniądze w szkatule w głowach łóżka...

- Dajcie mi chociaż dokończyć rozdziału... bądźcie ludźmi...

Obaj młodzi bandyci wspomnieli czasy, kiedy to pierwszemu, który ośmielił mu się sprzeciwić, Gian z Puszczy przytykał dwa pistolety do brzucha. Zalała ich gorycz.

- Weźmiesz woreczki z pieniędzmi, słyszysz? - nalegali wbrew nadziei. - Przyniesiesz nam, a my ci oddamy twoją książkę i będziesz sobie mógł czytać ile wlezie. No,

zgoda? Pójdiesz?

- Nie. Nie ma zgody. Nie pójdę.

- Aa, nie pójdiesz... aa, więc nie pójdiesz... no, to patrz! - i Ugasso ujął w palce jedną z końcowych kart książki („Nie!” - wrzasnął Gian z Puszczy); wydarł ją („Nie! Stój!”), zmiął ją w kulkę i cisnął w ogień.

- Ach, psie! Co robisz! Nie będę wiedział, jak się skończyło! - i Gian rzucił się za Ugassem chcąc mu wyrwać książkę.

- Pójdiesz do poborcy?

- Nie, nie pójdę!

Ugasso wydarł dwie dalsze kartki.

- Czekaj! Jeszcze dotąd nie doczytałem! Nie możesz tego spalić!

Ugasso rzucił kartki w ogień.

- Psie! „Klaryssa”! Nie!

- Więc pójdiesz?

- Ja...

Ugasso wydarł znowu trzy kartki i rzucił w ogień.

Gian z Puszczy opadł ciężko na siedzenie, zasłaniając twarz rękami.

- Pójdę - powiedział. - Ale musicie przyrzec, że będziecie na mnie czekali z książką koło domu poborcy.

Bandyta został umieszczony w worku z warstwą drewek na głowie. Bel-Lore niósł worek na plecach, za nim kroczył Ugasso z książką. Raz po raz, ilekroć Gian z Puszczy jakimś ruchem czy pomrukiem wewnątrz worka okazywał, że bliski jest pożałowania swej uległości, Ugasso szeleścił rozdieraną kartką i Gian uspokajał się natychmiast.

W ten sposób zanieśli go, przebrani za drwali, do domu poborcy i zostawili go wewnątrz. Sami schowali się niedaleko, za rozłożystą oliwką, czekając, aż wykona zadanie i do nich przyjdzie.

Ale Gian z Puszczy zanadto się pospieszył, wyszedł przed zapadnięciem nocy, kiedy jeszcze po domu kręcili się ludzie. „Ręce do góry!” Nie był jednak tym co dawniej człowiekiem, sam na siebie patrzył jak gdyby z zewnątrz i wydawał się sobie trochę śmieszny. „Ręce do góry, powiedziałem... Wszyscy, którzy tu są, odwrócić się twarzą do ściany...” Ale cóż? Sam nie wierzył w to, co mówi, udawał po prostu. „Wszyscy tu jesteście?” Nie zauważył nawet, że wymknęła się mała dziewczynka.

Była to robota, którą należało zrobić szybko, nie tracąc ani chwili. On jednak marudził, poborca robił głupiego, długo nie mógł znaleźć klucza, Gian z Puszczy rozumiał, że już nie traktują go poważnie, i w głębi duszy był nawet z tego rad.

Wyszedł nareszcie z domu, obładowany woreczkami pełnymi skudów. Pobiegł, nie kryjąc się, pod umówioną oliwkę. „Oto wszystko, co było! Oddajcie mi teraz «Klarysę»!”

Cztery, siedem, dziesięć rąk pochwyciło go jednocześnie, unieruchomiło trzymając za ramiona i nogi. Żandarmi unieśli go w górę i obwiązali sznurem jak kiełbasę.

- „Klarysę” zobaczysz przez kraty - i powiedli go do więzienia.

Więzienie mieściło się w wieżyczce na brzegu morza. Dokoła rosły wielkie rozłożyste pinie. Jedna z nich sięgała prawie okienka celi, w której zamknięto Giana.

Z wierzchołka drzewa Cosimo widział jego twarz za kratą.

Rozbójnik nic sobie nie robił ze śledztwa i procesu; wiedział, że tak czy inaczej powieszą go. Jego jedyną troską było, że ma oto przed sobą puste, więzienne dni bez możliwości czytania, z myśli ani na chwilę nie schodziła powieść przerwana w połowie. Cosimo wystarał się o inny egzemplarz „Klaryssy” i przyniósł go na pinie.

- Dokąd doczytałeś?

- Jak Klaryssa ucieka z domu złej sławy.

Cosimo przerzucał przez chwilę kartki książki.

- Aha, to tu. No więc - i zaczął czytać głośno, zwrócony w stronę kraty, na której

widział zaciśnięte ręce Giana.

Śledztwo ciągnęło się długo, bandyta znosił uderzenia powrozem w milczeniu. Wiele dni upłynęło, zanim zdołano po trochu wydobyć z niego przyznanie się do niezliczonych przestępstw. I co dzień, przed pójściem na badanie i po powrocie, słuchał głośnego czytania Cosima. Kiedy po skończeniu „Klaryssy” Gian najwyraźniej posmutniał, Cosimowi przyszło na myśl, że w tych warunkach, w zamknięciu, Richardson stanowić może trochę przygnębiającą lekturę. Zaczął więc czytać powieść Fieldinga, która swoją żywą fabułą mogła, jak sądził, zastąpić po części Gianowi utraconą wolność. Nadszedł termin procesu, a Gian z Puszczy myślał tylko o kolejach życia Jonathana Wilda.

Nim doczytali powieść do końca, przyszedł dzień wyznaczony na egzekucję. Na wózku skazańców, w towarzystwie zakonnika, Gian z Puszczy wyruszył w swoją ostatnią drogę na tej ziemi. W Ombrosie wieszano skazańców na wysokim dębie pośrodku rynku. Dokoła gromadził się tłum widzów.

Mając już pętlę na szyi Gian z Puszczy usłyszał w gałęziach dębu ciche gwizdnięcie. Podniósł głowę i zobaczył Cosima z zamkniętą książką w ręku.

- Powiedz mi, jak się skończyło - rzekł skazaniec.

- Przykro mi ci to powiedzieć, Gian - odparł Cosimo - ale Jonathan skończył na szubienicy.

- Dziękuję. To tak jak ja. Żegnaj!

Sam odtrącił nogą drabinę i zawisł martwy.

Kiedy ciało przestało drgać, tłum gapiów rozszedł się do domów. Cosimo pozostał aż do zapadnięcia nocy na dębie, siedząc okrakiem na konarze, z którego zwisały zwłoki rozbójnika. A ilekroć nadleciał kruk, żeby dziobać oczy lub nos trupa, Cosimo odpędzał go machając czapką.

Tak to zażyłość z rozbójnikiem przyczyniła się do rozbudzenia w Cosimie przemożnej pasji do lektury i zdobywania wiedzy - pasji, która nie opuściła go przez całe życie. Widywało się go odtąd najczęściej z otwartą książką w ręku, siedzącego okrakiem na jakimś wygodnym konarze albo opartego o rozwidlenie gałęzi, niby o szkolny pulpit, z arkuszem papieru rozpostartym na desce, z kałamarzem tkwiącym w dziupli drzewnej, piszącego coś pilnie długim gęsim piórem.

Teraz już on sam szukał księdza Fauche-lafleur, żeby z nim tłumaczył Tacyta i Owidiusza, uczył go o ciałach niebieskich czy wyjaśniał mu prawa chemii; ale stary ksiądz, poza szczupłym zakresem wiadomości z gramatyki i teologii, tonął w bezmiernym morzu wątpliwości i luk i w odpowiedzi na pytania ucznia rozkładał bezradnie ręce wznosząc oczy ku niebu.

- *Monsieur l'abbe*, ile żon można mieć w Persji? *Monsieur l'abbe*, kto to był wikariusz sabaudzki? *Monsieur l'abbe*, może mi ksiądz wytłumaczyć system Linneusza?

- *Alors... Maintenant... Voyons...* - zaczynał bąkać ksiądz, mieszał się, gubił i dalej ani kroku.

Ale Cosimo, który pochłaniał książki wszelakiego rodzaju i połowę swego czasu spędzał na czytaniu, a drugą - na polowaniu, żeby mieć czym regulować rachunki księgarza Orbecche, miał zawsze coś nowego do opowiedzenia. O Janie Jakubie Rousseau, który zbierając zioła wędrował po lasach Szwajcarii, o Beniaminie Franklinie, który chwycił pioruny przy pomocy latawców, o baronie de la Hontan pędzącym szczęśliwy żywot wśród Indian w Ameryce.

Stary Fauchelafleur słuchał tych opowieści z pełną zdumienia uwagą - nie wiem, czy z rzeczywistego zainteresowania, czy po prostu w poczuciu ulgi, że to już nie na nim spoczywa ciężar nauczania. Potakiwał wszystkiemu albo wykrzykiwał z zapałem: „*Non! Dites-le moi!*” - kiedy Cosimo zwracał się do niego z zapytaniem: „A wie ksiądz, dlaczego...? - lub z podziwem: „*Tiens! Mais c'est epatant!*” - kiedy usłyszał odpowiedź, czy wreszcie: „*Mon Dieu!*” - co mogło wyrażać zarówno podziw dla nowych,

odsłanianych przed jego oczyma dowodów wielkości Boga, jak i żal z powodu wszechobecności Zła, które pod różnorodnymi postaciami włada światem bez ratunku.

Ja byłem jeszcze wtedy za mały, a przyjaciół miał Cosimo wyłącznie w sferze ludzi bez wykształcenia, toteż potrzebie komentowania wszelkich odkryć, jakich dostarczała mu lektura, mógł dawać ujście jedynie zasypując pytaniami i objaśnieniami swego starego preceptora. Ksiądz, jak wiadomo, miał usposobienie uległe i pojednawcze, płynące z wyższej świadomości, że wszystko jest tylko marnością nad marnościami; i Cosimo to jego usposobienie wykorzystywał. Toteż stosunek między nimi dwoma zupełnie się odwrócił: Cosimo stał się nauczycielem, Fauchelafleur uczniem. Wkrótce mój brat zdobył sobie taki autorytet, że udawało mu się nieraz skłonić trzęsącego się staruszka do wspólnych peregrynacji po drzewach. Kiedyś całe popołudnie przetrzymał księdza, dyndającego w powietrzu chudymi nogami, na konarze indyjskiego kasztanowca w ogrodzie Ondarivów; wspólnie kontemplowali egzotyczną roślinność i zachód słońca odbity w sadzawce z nenufarami, rozprawiając o monarchiach i republikach, o tym, co jest w różnych religiach słusznego i prawdziwego, o obrzędach chińskich, o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, o butelce lejdejskiej i o sensualizmie.

Miałem mieć właśnie lekcję greki, a preceptora nie można było odnaleźć. Zaalarmowano całą służbę, przeszukano okolicę, sondowano nawet stawy rybne, w obawie, że może roztargniony staruszek wpadł do wody i utonął. Wrócił wieczorem, skarżąc się na lumbago, którego się nabawił siedząc przez wiele godzin bardzo niewygodnie.

Nie trzeba jednak zapominać, że u starego jansenisty ów nastrój biernej akceptacji wszystkiego przeplatał się z nawrotami jego przyrodzonej pasji do duchowych rygorów. I jeśli w momencie roztargnienia i ugodowości przyjął bez oporu jakąś nową, wolnomyślną ideę, na przykład ideę równości ludzi wobec prawa, przyrodzonej uczciwości dzikich ludów czy zgubnego wpływu przesądów - w kwadrans później,

ogarnięty pragnieniem surowej bezwzględności, utożsamiał się niejako z tymi ideami, tak lekkomyślnie przyjętymi, usiłując nadać im zwartość i nieugiętość zasad moralnych. Natychmiast obowiązki obywateli wolnych i równych czy też cnoty człowieka wyznającego religię naturalną stawały się w jego ustach regułami bezwzględnej dyscypliny, artykułami fanatycznej wiary, poza którymi dostrzegał tylko ponury obraz zepsucia; a wszyscy nowi filozofowie byli w jego oczach zbyt pobłażliwi i powierzchowni w ujarzmianiu zła, podczas gdy droga do doskonałości, stroma i trudna, nie dopuszcza kompromisów i półśrodków.

W obliczu takich niespodzianych wyskoków księdza Cosimo nie śmiał odzywać się ani słówkiem, z obawy, że wyda się nie dość niezłomny i surowy, a bujny radosny świat, który w myśli budował, zmieniał mu się w oczach w martwy, marmurowy cmentarz. Na szczęście, takie momenty napięcia woli szybko staruszka nużyły, stawał się bezsilny i bezradny, jakby to odzieranie wszelkich pojęć z żywego ciała, aby sprowadzić je do samej tylko bezpostaciowej esencji, zdało go na łaskę i niełaskę nieuchwytnych mar: mrugał oczyma, wzdychał, westchnienie przechodziło w ziewnięcie i ksiądz powracał do stanu nirwany.

Niemniej jednak, wśród tych zmiennych dyspozycji duchowych poświęcał większość swego czasu na podążanie za podjętymi przez Cosima studiami i kursował tam i na powrót między nim a sklepem księgarza Orbecche przekazując mu zamówienia do księgarzy amsterdamskich czy paryskich lub odbierając świeżo nadeszłe przesyłki. W ten sposób nieświadomie gotował sobie żałosny los. Bo wieść o tym, że w Ombrosie jest ksiądz obznajomiony ze wszystkimi najsrożej wyklętymi publikacjami całej Europy, dotarła i do trybunału kościelnego. Pewnego popołudnia zjawili się w naszej willi uzbrojeni słudzy sprawiedliwości i dokonali rewizji w pokoiku księdza. Wśród brewiarzy znaleźli pisma Bayle'a, wprawdzie jeszcze nie rozcięte, ale i tak wzięli staruszka między siebie i uprowadzili.

Żałosny to był widok, pamiętam go tak, jak go oglądałem, przejęty grozą, z okna

meo pokoju; przestałem nawet uczyć się form aorystu, bo przecież lekcji i tak już być nie miało. Stary ojciec Fauchelafleur odchodził aleją w otoczeniu uzbrojonych drabów, z oczyma wzniesionymi ku konarom drzew; w pewnej chwili poderwał się, jakby chciał podbiec do potężnego wiązu i schronić się na nim; ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Cosimo polował tego dnia w lesie i o niczym nie wiedział; tak więc nawet się nie pożegnali.

Nic się nie dało zrobić, żeby mu pomóc. Nasz ojciec zamknął się w pokoju i nie chciał tknąć jedzenia, gdyż bał się, że zostało przez jezuitów zatrute. Ksiądz przepędził resztę swoich dni pomiędzy więzieniem a klasztorem, wciąż na nowo odrzekając się swoich błędów; po całym życiu poświęconym wierze nigdy wprawdzie dobrze nie rozumiał, w co właściwie wierzy, niemniej starał się wierzyć niezłomnie aż do końca.

Uwięzienie księdza w niczym nie przeszkodziło dalszym postępom edukacji Cosima. Z tego czasu datuje się jego korespondencja z największymi filozofami i uczonymi Europy, do których zwracał się bądź z prośbą o wyjaśnienie mu takich czy innych wątpliwości i zagadnień, bądź dla samej przyjemności dyskusowania z wybitnymi umysłami, przy jednoczesnym ćwiczeniu się w obcych językach. Niestety wszystkie papiery, które Cosimo składał w sobie tylko znanych dziuplach drzewnych, nie zostały nigdy odnalezione, zapewne zbutwiały albo stały się pastwą wiewiórek. A były wśród nich listy pisane ręką najznakomitszych uczonych stulecia. Na swoje książki Cosimo konstruował, wciąż na nowo, wiszące biblioteczki, zabezpieczone, jak się dało najlepiej, przed deszczem i gryzoniami; urządzał je w coraz innym miejscu, zależnie od przedmiotu studiów i upodobań danej chwili, bo, jak mówił, książki są jak ptaki: smutnieją, kiedy je trzymać nieruchomo w klatce. W najmasywniejszej z tych napowietrznych szaf ustawiał rzędem tomy Encyklopedii Diderota i d'Alemberta, w miarę jak nadchodziły od księgarza z Livorno. I jeżeli w ostatnich czasach wskutek ciągłego tkwienia w książkach chodził trochę z głową w obłokach, coraz mniej interesując się otaczającym światem, to natomiast lektura Encyklopedii, a zwłaszcza

niektórych przepięknie opracowanych haseł jak *Abeille*, *Albie*, *Bois*, *Jardin*, odkrywała przed nim, jak gdyby na nowo, rzeczy dawno znane. Wśród książek, jakie sobie sprowadzał, zaczęły się pojawiać rozprawy praktyczne, na przykład o hodowli drzew, i Cosimo nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł swoje nowe wiadomości zastosować w praktyce.

Praca ludzka zawsze interesowała Cosima, do tej pory jednak jego życie na drzewach, jego wyprawy badawcze i myśliwskie były wynikiem odosobnionych, niczym nie uzasadnionych pobudek, jak gdyby był ptakiem, nie człowiekiem. Teraz natomiast zaczął odczuwać potrzebę robienia czegoś dla dobra bliźnich. I to także, jeśli się nad tym zastanowić, było jedną ze zdobyczy, jakie mu przyniosła zażyłość z rozbójnikiem: poznał radość płynącą z tego, że się jest użytecznym, radość oddania komuś ważnej dla niego przysługi.

Nauczył się sztuki przycinania drzew i proponował swoje usługi właścicielom sadów zimą, kiedy korony drzew przedstawiają istne labirynty splecionych gałęzi i zdają się aż prosić, żeby im nadać właściwe kształty, i na to tylko czekają, by okryć się kwieciami, liśćmi i owocem. Cosimo przycinał dobrze i nie żądał za to dużo; toteż nie było wśród drobnych właścicieli i dzierżawców nikogo, kto by go nie wzywał do swego sadu; w kryształowo czystym powietrzu zimowych ranków widywało się go, jak oparty szeroko rozstawionymi nogami na dolnych konarach bezlistnych drzew, z szyją owiniętą szalem aż po uszy, unosi w górę nożyce i - ciach! ciach! - nieomylnymi cięciami odrzuca zbędne gałęzi i pędy. Sztukę swoją uprawiał również w parkach, przy pomocy krótkiej piłki nadając pożądany kształt drzewom ozdobnym, a także w lasach, gdzie starał się zastąpić siekierę drwala - dobrą tylko do zrąbywania nisko przy ziemi i zwalania całych stuletnich pni - zgrabną siekierką, spełniającą swoje zadanie w koronach i na wierzchołkach drzew.

Jednym słowem, miłość do świata drzew zdolna była, jak każda prawdziwa miłość, czynić Cosima bezlitosnym i zmuszać go do zadawania drzewom bólu po to, by

rosły kształtne i silne. Oczywiście, przycinając drzewa i przerzedzając las, miał zawsze na względzie nie tylko dobro właścicieli, ale i swoje, jako wędrowca, któremu potrzebne są bezpieczne i dogodne drogi. Toteż te konary, które służyły mu jako pomosty między jednym drzewem a innym, uchodziły zawsze cało i przybierały na sile po usunięciu sąsiednich gałęzi. Przyrodę Ombrosy, od początku tak mu przyjazną, potrafił Cosimo sztuką swoją przystosować do swoich potrzeb lepiej jeszcze, pracując jednocześnie dla dobra bliźnich, przyrody i swego własnego. Rozumne to działanie przyniosło mu korzyści zwłaszcza w latach podeszłych, kiedy dogodny kształt drzew wynagradzał w pewnej mierze stopniowy ubytek sił. Później przyszły pokolenia bardziej bezmyślne, krótkowzroczne w swojej zachłanności, ludzie nie kochający niczego i nikogo, nawet samych siebie, i wszystko się zmieniło, niszczało, żaden Cosimo nie mógłby już dziś wędrować drzewnymi szlakami.

XIV

Chociaż liczba przyjaciół Cosima wciąż wzrastała, to przecież miał on także wrogów. Od kiedy Gianem z Puszczy owładnęła namiętność czytania pociągając za sobą jego nędzny koniec, na leśnych rabusiów przyszły złe czasy. Pewnej nocy mój brat spał sobie w swoim skórzanym worze zawieszonym na konarze jesionu, gdy nagle zbudziło go szczekanie jamnika. Otworzył oczy i ujrzał dziwne jakieś, z dołu bijące światło: u stóp drzewa płonął ogień, języki płomieni lizały już pień. Pożar w lesie! Kto go zaproszył? Cosimo był zupełnie pewien, że tego wieczoru wcale nie używał krzesiwa. A zatem była to sprawka tych łotrzyków! Chcieli spalić las, żeby obłowić się w drewno, i tak to obmyślili, żeby wina spadła na Cosima. Nie dość na tym: i jego chcieli spalić żywcem!

W pierwszej chwili Cosimo nie pomyślał nawet o niebezpieczeństwie, które jemu bezpośrednio zagrażało; pomyślał natomiast, że to bezkresne królestwo, pełne dróg i kryjówek jego własnych i jemu tylko znanych, może ulec zniszczeniu - i tego tylko się przeląkł. Ottimo Massimo zmykał już, strwożony, dalej od ognia, raz po raz odwracał jednak łepkę i skomlał rozpaczliwie: płomienie rozpełzały się ogarniając podszycie lasu.

Cosimo nie stracił głowy. Na jesion, który w tym czasie służył mu za schronienie, przeniósł był swoim zwyczajem wiele różnych przedmiotów; między innymi beczułkę orzaty, jęczmiennego napoju, który miał gasić jego pragnienie w czasie letnich upałów. Po gałęziach jesionu śmigały wystraszone wiewiórki, trzepotały się nietoperze, ptaki uciekały z gniazd. Cosimo chwycił beczułkę i już miał wyciągnąć szpunt i zmoczyć pień jesionu, żeby ocalić go od spłonięcia, kiedy przyszło mu na myśl, że na dole ogień będzie się szerzył pożerając trawę, suche liście i krzaki, aż ogarnie wszystkie inne drzewa. Postanowił zaryzykować: „Niechby się nawet spalił jesion! Jeżeli tą orzată zdołam zmoczyć ziemię dokoła ognia, tam gdzie jeszcze płomień nie sięgnął, powstrzymam pożar!” Wyrwał szpunt z beczułki i kołyszącym ruchem kierował strugę

pływu na ziemię dokoła drzewa, ku najdalej wysuniętym językom ognia, gasząc je. W ten sposób pożar w podszyciu lasu znalazł się wewnątrz kręgu mokrych ziół i trawy i nie mógł szerzyć się dalej.

Z wierzchołka jesionu Cosimo przeskoczył na sąsiedni buk. Zdążył w sam czas: pień zwęglony od dołu zwałił się na ziemię wśród przerażonego pisku wiewiórek.

Ale czy pożar miałby się ograniczyć do tego jednego miejsca? Padające drzewo sypnęło iskrami i już nowe języczki ognia zaczęły się tu i ówdzie pojawiać. Nie wyglądało na to, by wąta smuga mokrej roślinności miała przeszkodzić w szerzeniu się pożaru.

- Gore! Gore! - zaczął z całych sił krzyczeć Cosimo. - Gooree!

- Co się dzieje? Kto woła? - zaczęły się odzywać głosy. Niedaleko stamtąd była węglarnia, w szafasie spała tam gromadka bergamczyków, przyjaciół Cosima.

- Gooree! Na pomoc!

Wnet cały stok góry zaczął rozbrzmiewać donośnymi krzykami. Węglarze rozproszeni . po lesie zwoływali się w swoim niezrozumiałym dialekcie. Już nadbiegali ze wszystkich stron. Pożar został szybko opanowany.

Ta pierwsza próba zbrodniczego podpalenia i zamachu na życie Cosima powinna była posłużyć mu za przestrożę, żeby trzymał się od lasu z daleka. Ale było przeciwnie: jego główną troską stało się teraz obmyślenie sposobów uchronienia lasu przed pożarem. Lato było tego roku niezwykle suche i upalne. W lasach ciągnących się wzdłuż wybrzeża, w stronie Prowansji, już od tygodnia szalał ogromny pożar. Nocą widać było łuny nad górami, jakby tam nieustannie zachodziło słońce. W powietrzu pozbawionym wilgoci wysuszone trawy i krzaki stanowiły jedną wielką, gotową już podpałkę. Wydawało się, że lada chwila wiatry przywieją pożar w nasze strony, o ile nawet nie wybuchnie on przedtem bądź przypadkowo, bądź rozmyślnie wzniecony, łącząc się z tamtym w jeden olbrzymi płonący stos wzdłuż całego wybrzeża. Ombrosa żyła pod grozą nieustającego niebezpieczeństwa, niby forteca o słomianym dachu obłożona przez

wroga. Nawet niebo wydawało się objęte żarem: co noc gęsto przecinały firmament świetliste smugi spadających gwiazd, jakby lada chwila miały wszystkie runąć na ziemię.

W owych dniach powszechnej trwogi Cosimo skupował ile się dało niewielkich beczulek i umieszczał je napełnione wodą na wierzchołkach drzew, wybierając najwyższe i rosnące na wyniosłościach. „Nie na wiele, ale zawsze na coś mogą się przydać, jak się okazało.” Nie poprzestał na tym: badał uważnie bieg i stan strumieni leśnych, na pół wyschniętych tego lata, i źródła, z których dobywały się zaledwie cieniutkie strużki wody. Udał się na naradę do cavaliere adwokata.

- Ach, tak! - wykrzyknął Enea Silvio Carrega uderzając się dłonią w czoło. - Zbiorniki! Tamy! Trzeba porobić plany! - Wydawał ciche okrzyki i podskakiwał pełen zapału, a miriady pomysłów kłębiły się w jego głowie.

Cosimo zasadził go do rysunków i obliczeń, a tymczasem postarał się zainteresować właścicieli i dzierżawców lasów, drwali, węglarzy. Wszyscy razem, pod kierunkiem cavaliere adwokata (a właściwie to oni zmuszali cavaliere, żeby nimi kierował, i nie dawali mu popadać w roztargnienie) i z Cosimem, który doglądał robót z wysoka, pobudowali zbiorniki wody, tak aby, w jakimkolwiek miejscu wybuchłby pożar, wiedziało się od razu, gdzie można założyć pompy.

Ale to nie dosyć. Trzeba było jeszcze zorganizować straż pożarną - drużyny, które w razie alarmu umiałyby natychmiast utworzyć łańcuch i podawać z ręki do ręki wiadra z wodą, by zdusić pożar, zanim zdąży się rozprzestrzenić. Powstał w ten sposób rodzaj milicji pełniącej straż kolejno i robiącej obchody inspekcyjne nocą. Ludzi dobierał Cosimo spośród chłopów i rzemieślników Ombrosy. Zaraz też, jak się to dzieje w każdym stowarzyszeniu, zrodził się duch wspólnoty, współzawodnictwa między drużynami i wszyscy czuli się gotowi do wielkich czynów. Cosimo także poczuł nową siłę i radość: odkrył w sobie zdolność zrzeszania ludzi i dowodzenia nimi; zdolności tej zresztą, na swoje szczęście, nigdy nie próbował nadużywać i posłużył się nią bardzo

niewiele razy w życiu, tylko wówczas kiedy chodziło o osiągnięcie ważnych rezultatów, i zawsze z powodzeniem.

Zrozumiał jedno: że zrzeczenie się czyni człowieka silniejszym, wydobywa na jaw najlepsze cechy poszczególnych jednostek i daje radość, której niełatwo doznać żyjąc tylko dla siebie: radość odkrycia, jak wielu jest ludzi uczciwych, dzielnych i zdolnych, dla których warto się trudzić, by osiągnąć coś prawdziwie dobrego (podczas kiedy żyjąc samotnie odczuwa się najczęściej coś przeciwnego: dostrzega się raczej złe cechy ludzkiej natury, te, które każą wciąż trzymać rękę na gardzie szpady).

W sumie wzięwszy, lato pożarów było więc dobrym latem: istniał wspólny problem, którego rozwiązanie wszystkim jednako leżało na sercu, które każdy stawiał sobie na pierwszym miejscu, przed innymi osobistymi interesami, za co nagrodą było mu poczucie, że działa w zgodzie z wielu innymi porządnymi ludźmi, ciesząc się ich szacunkiem.

Później miał Cosimo zrozumieć z kolei, że kiedy taki wspólny problem przestaje istnieć, zrzeczenie traci wiele ze swej wartości i wtedy lepiej jest być pojedynczym zwykłym człowiekiem niż wodzem. Ale na razie, jako ów wódz, spędzał noce sam jeden w lesie, pełniąc straż na wierzchołku drzewa - czyli żył tak samo jak zawsze dotychczas.

Na wypadek dostrzeżenia gdzieś pożaru miał zawieszony na wysokim drzewie spory dzwon, którego dźwięk alarmowy słychać było z bardzo daleka. Dzięki temu urządzeniu trzy czy cztery razy, kiedy wybuchł gdzieś pożar, udało się go ugasić w porę i uratować lasy. A ponieważ było widoczne, że działa tu zbrodnicza ręka, postarano się wykryć sprawców, którymi okazali się owi dwaj bandyci, Ugasso i Bel--Lore; wypędzono ich z terytorium gminy, a że pod koniec sierpnia zaczęły padać deszcze, niebezpieczeństwo pożarów minęło,

W owym czasie w Ombrosie mówiono o moim bracie tylko dobrze. Do naszego domu także nieraz docierały pochlebne o nim opinie, w rodzaju: „A jednak jest taki dzielny”; „A jednak wiele rzeczy robi doskonale” - wypowiedane tonem osoby, która

dokonuje obiektywnej oceny kogoś wyznającego inną religię czy przynależnego do innego stronnictwa i chce się przy tym okazać człowiekiem o tak otwartym umyśle, że nawet najbardziej sobie obce idee potrafi zrozumieć i właściwie ocenić.

Reakcje Generalessy na tego rodzaju głosy były nagłe i raczej uproszczone. „Mają broń? - pytała, kiedy się mówiło o straży pożarnej zorganizowanej przez Cosima - urządzają ćwiczenia?” - bo zaraz świtała jej myśl o utworzeniu siły zbrojnej, która w razie wojny mogłaby brać udział w operacjach wojskowych.

Nasz ojciec natomiast słuchał w milczeniu, kiwając głową, tak że trudno było zrozumieć, czy te wieści o synu są dla niego bolesne, czy, przeciwnie, potakuje, czując się w głębi duszy pochlebiony i niczego innego nie pragnąc niż móc znowu pokładać w nim nadzieję. I raczej tak właśnie było, skoro parę dni potem dosiadł konia i pojechał szukać Cosima.

Spotkali się w miejscu otwartym, otoczonym rzędem młodych drzew. Baron przejechał tamtędy, od niechcienia, dwa czy trzy razy, nie patrząc na syna, choć już go dostrzegł. Cosimo skacząc z drzewa na drzewo zbliżał się coraz bardziej. Kiedy w końcu znalazł się przed ojcem, zdjął słomiany kapelusz (który latem zastępował mu czapę z kocięj sierści) i odezwał się: „Dzień dobry, panie ojcze”.

- Dzień dobry, synu.
- Dobrze się pan ojciec miewa?
- Tak jak to możliwe przy moich latach i zmartwieniach.
- Cieszę się widząc go w dobrym zdrowiu.
- To samo mogę rzec tobie, Cosimo. Słyszę, że trudzisz się dla powszechnego dobra.
- Leży mi na sercu bezpieczeństwo lasów, w których żyję, panie ojcze.
- • Czy wiesz, że znaczny szmat tych lasów jest naszą własnością, odziedziczoną po świętej pamięci babce Elizabecie?
- Tak jest, panie ojcze. W miejscowości Belrio. Znajduje się tam trzydzieści

kasztanowców, dwadzieścia dwa buki, osiem pinii i jeden klon. Mam kopie wszystkich planów pomiarowych. Właśnie jako członek rodziny posiadającej część tych lasów postarałem się zrzeszyć wszystkich, którzy są zainteresowani w ich chronieniu.

- Ach, tak - rzekł baron, któremu się ta odpowiedź spodobała. Ale zaraz dodał: - Mówią mi, że to jest stowarzyszenie piekarzy, ogrodników i kowali.

- Między innymi, panie ojciec. Wszelkich profesji, byle uczciwych.

- Czy wiesz, że mógłbyś rządzić i pomniejszą szlachtą i nosić tytuł diuka?

- Wiem, że jeżeli więcej myślę od innych i tych moich myśli im udzielam, a oni przyjmują, to to jest właśnie rządy.

„A czy na to, żeby rządy, trzeba włączyć na drzewo?” - miał już baron na końcu języka. Ale na cóż by się zdało wyciągać znowu tę historię? Westchnął i zadumał się. A potem powoli rozpiął pas, u którego wisiała jego szpada.

- Masz osiemnaście lat... Czas już uznać cię za dorosłego... Ja niewiele mam życia przed sobą... - trzymał szpadę na płask w obu rękach. - Pamiętasz, żeś baron di Rondo?

- Tak jest, panie ojciec, pamiętam swoje nazwisko.

- Czy pragniesz być zawsze godny nazwiska i tytułu, które nosisz?

- Będę się zawsze starał być w miarę sił godnym imienia człowieka, a tym samym każdego z jego atrybutów.

- Weź tę szpadę, moją szpadę. - Uniósł się w strzemionach, Cosimo opuścił się jak mógł najniżej i baron przypasał mu szpadę.

- Dzięki, panie ojciec... Przyrzekam czynić z niej dobry użytek.

- Żegnaj, mój synu. - Baron zawrócił konia, lekko potrząsnął wodzami i z wolna odjechał.

Cosimo wahał się przez chwilę, czy nie powinien oddać mu ukłonu szpadą, ale zaraz pomyślał, że ojciec dał mu ją, by mu służyła do obrony, a nie od parady, i zatrzymał szpadę w pochwie.

Cosimo, bliżej niż zwykle obcując z cavaliere adwokatem, zauważył w jego zachowaniu coś dziwnego, a raczej innego niż dawniej, może mniej, a może bardziej jeszcze dziwnego. Jak gdyby przyczyną jego zamkniętej w sobie, nieobecnej miny nie było już roztargnienie, lecz jakaś uporczywa myśl, która nim całkowicie owładnęła. Częściej niż dawniej nachodziła go gadatliwość i o ile dawniej unikał ludzi i nie pokazywał się prawie nigdy w mieście, teraz widywało się go raz po raz w porcie, gdzie albo przysłuchiwał się grupkom ludzi rozmawiających o tym czy owym, albo przesiadywał na murku ze starymi właścicielami statków i marynarzami wymieniając uwagi o przybywających i odpływających statkach i ostatnich sprawkach piratów.

W pobliżu naszych wybrzeży grasowały jeszcze wówczas feluki berberyjskich piratów, nękając i strasząc naszych kupców. Było to już teraz piractwo niezbyt groźne, nie takie jak dawniej, kiedy to spotkanie i piratami mogło się łącno skończyć sprzedaniem w niewolę do Tunisu czy Algieru albo utratą nosa czy uszu. Teraz, jeżeli wyznawcom Mahometa udało się zawładnąć którąś z tartan należących do kupców z Ortibrosy, zabierali po prostu ładunek: beczułki sztokfisz, głowy holenderskiego sera, bele bawełny i tak dalej. Czasem nasze statki okazywały się zwinniejsze, umykały oddając strzały z katapulty w ożaglowanie feluki, na co Berberowie odpowiadali płuciem, nieprzystojnymi gestami i wyciem.

W sumie wzięwszy było to piractwo raczej niewinne, trwające jeszcze w związku z jakimiś pretensjami, które paszowie tamtych krajów rościli sobie do naszych kupców i armatorów, gdyż, jak twierdzili, jakieś ich zamówienia wykonane były niedbale czy wręcz oszukańczo. Próbowali więc egzekwować swoje należności po trochu, drogą rabunku, a jednocześnie prowadzili pertraktacje handlowe, nigdy nie mogąc dojść do porozumienia. Nie leżało w interesie ani jednej, ani drugiej strony wyrządzenie jakichś niepowetowanych, na większą skalę despektów; żegluga więc, choć nie po-» zbawiona

ryzyka, nie przeradzała się w tragedię.

Historię, którą zamierzam tu przytoczyć, Cosimo opowiadał w wielu bardzo rozmaitych wersjach. Będę się trzymał tej, która wydaje się nie tylko najbogatsza w szczegóły, ale i najmniej zawiera sprzeczności. Nie ulega wątpliwości, że mój brat, opowiadając o swoich przygodach, bardzo dużo dodawał z własnej głowy; ja jednak, w braku innych źródeł, staram się powtarzać jak najdosłowniej to, co słyszałem od niego.

Pewnego razu Cosimo, który w okresie pożarów przyzwyczyił się czuwać po całych nocach, zobaczył posuwające się wzdłuż doliny światło. Ruszył za nim bezszelestnie po gałęziach drzew swymi kocimi susami i niebawem dojrzał cavaliere adwokata, który szedł spiesźnie, w fezie i czamarze, z latarnią w rękę.

Co mógł robić na dworze o tej godzinie Enea Silvio Carrega, chodzący zawsze spać z kurami? Cosimo poszedł dalej za nim. Starał się poruszać jak najciszej, choć wiedział, że stryj, kiedy tak maszeruje mocno czymś zaaferowany, jest jak głuchy, a widzi też nie dalej niż koniec swego nosa.

Stromymi skrótami i ścieżkami cavaliere zszedł na brzeg morza w kamienistym, mało przystępnym miejscu i zaczął wymachiwać latarnią. Księżyc nie świecił, na morzu nie było widać nic zgoła poza niewyraźnie majaczącą smugą piany przybrzeżnych fal. Cosimo siedział w gałęziach pinii, niezbyt blisko brzegu, bo drzewa rosły tam rzadziej i nie było już tak łatwo dojść po gałęziach wszędzie, gdzie się chciało. Ale i stamtąd widział wyraźnie staruszka w wysokim fezie na głowie, stojącego na pustej plaży i wymachującego latarnią w stronę nieprzeniknionej ciemności morza. Z ciemności tej zajaśniało niebawem w odpowiedzi drugie i światło, zupełnie blisko; zajaśniało nagle, I jakby właśnie w tej chwili je zapalono, i z mroku wyłoniła się szybka, nieduża łódź z ciemnym kwadratowym żaglem i wiosłami, wcale nie podobna do naszych tutejszych łodzi, i przybiła do brzegu.

W chybotliwym świetle latarni Cosimo ujrzał ludzi w turbanach na głowach; kilku zostało w łodzi utrzymując ją tuż przy brzegu krótkimi poruszeniami wiosel.

Reszta wyszła na brzeg, mieli na sobie szerokie, bufiaste, czerwone szarawary i lśniące karabele u pasa. Cosimo wycęzał wzrok i słuch. Stryj i ci Berberowie gadali między sobą w jakimś języku, którego Cosimo nie rozumiał, a jednak chwilami zdawało mu się, że mógłby go rozumieć; była to zapewne owa sławetna mieszanka językowa, znana pod nazwą *lingua franca*. Raz po raz Cosimo wychwytywał jakiś wyraz włoski, wymawiany przez cavaliere ze szczególnym naciskiem pośród wielu innych słów niezrozumiałych: były to nazwy statków, należących do armatorów z Ombrosy i kursujących pomiędzy naszym portem a różnymi innymi.

Nietrudno było zrozumieć, o czym mówi cavaliere! Informował piratów o dniach przybycia i odejścia ombroszańskich statków, długości rejsów, rodzaju ładunku i uzbrojeniu. Wreszcie wyczerpał już widać wszystko, co miał do powiedzenia, bo odwrócił się nagle i ruszył szybko z powrotem, podczas gdy piraci wsiedli do łodzi i zniknęli natychmiast w ciemności. Szybkość, z jaką się to wszystko odbyło, świadczyła, że takie rozmowy były rzeczą zwykłą, często powtarzaną. Kto wie, od jak dawna już pirackie napady dokonywane były dzięki informacjom naszego stryja!

Cosimo siedział na pinii jak przykuty, niezdolny ruszyć się stamtąd, odejść od tego opustoszałego wybrzeża. Wiał silny wiatr, fale zalewały kamienie, drzewo jęczało i skrzypiało, a mój brat dygotał i szczękał zębami, nie z zimna zewnętrznego, lecz zmrożony ponurym odkryciem.

A więc ten staruszek skryty i lękliwy, do którego od dzieciństwa czuliśmy nieufność, a którego Cosimo po trochu nauczył się cenić i współczuć mu, okazał się niegodziwym zdrajcą, niewdzięcznikiem, rozmyślnie szkodzącym ojczyźnie, która przyjęła go, rozbitka, po życiu pełnym błędów... Dlaczego? Czy aż tak mocno opanowała go tęsknota za owymi krainami i ludźmi, wśród których, być może, raz jeden w życiu zaznał szczęścia? Czy może chował w sercu taką zawziętą urazę względem tego kraju, gdzie każdy kęs chleba miał dla niego gorzki smak upokorzenia? Cosimo trwał w rozterce między impulsem nakazującym mu pójść niezwłocznie,

zadenuncjować nieczne poczynania szpiega i uratować mienia naszych kupców, a myślą o bólu, jakiego przysporzy ojciec, który takim niepojętym przywiązaniem darzył tego swego przyrodniego brata. Cosimo widział już w myśli tę scenę: cavaliere w kajdanach idzie prowadzony przez zbirów, a z obu stron tłoczą się mieszkańcy Ombrosy pomstując i wyklinając głośno; wiodą go na rynek, zakładają powróż na szyję, wieszają... Owej nocy, kiedy czuwał przy zwłokach Giana z Puszczy, poprzysiągł sobie, że nigdy już nie będzie obecny przy wykonywaniu wyroku śmierci; a teraz miałby się przyczynić do skazania na śmierć własnego stryja!

Przez całą noc dręczyły go te myśli i nie przestały go dręczyć nazajutrz; przez cały dzień miotał się jak szalony, skakał z gałęzi na gałąź, to podciągał się na rękach w górę, to zsuwał w dół po pniu, jak to zawsze bywało, kiedy jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Na koniec powziął decyzję: wybierze drogę pośrednią; nastraszy piratów i stryja, tak żeby zaprzestali swoich niecznych konszachtów, bez udziału organów sprawiedliwości. Zaczai się nocą na pinii nadmorskiej z trzema albo czterema nabitymi strzelbami (obecnie miał już cały arsenał, różną broń potrzebną na różne rodzaje zwierzyny). I kiedy cavaliere spotka się z piratami, on zacznie strzelać kolejno ze wszystkich strzelb, tak żeby kule gwrcdały im nad głowami. Słyszając taką strzelaninę piraci i stryj uciekną, każdy w swoją stronę. A cavaliere, który przecież do odważnych się nie zalicza, mając podejrzenie, że został poznany, oraz pewność, że odtąd spotkania na wybrzeżu będą śledzone, nie zechce ryzykować dalszych rozmów z muzułmańskimi piratami.

I rzeczywiście Cosimo czatował na pinii z gotową do strzału bronią przez dwie następne noce. Nic jednak nie zaszło. Trzeciej nocy zobaczył staruszkę, jak drepce potykając się kamienistą plażą i daje znaki latarnią; a potem zaraz przybiła do brzegu łódź pełna ludzi w turbanach.

Cosimo czekał z palcem na cynglu, nie strzelił jednak. Bo tym razem wszystko było inaczej. Po krótkiej rozmowie dwaj piraci, którzy wyszli na ląd, dali znak

wioślarzom, a ci natychmiast zaczęli wyładowywać z łodzi mnóstwo rzeczy: baryłki, skrzynki, bele, worki, gąsiory, stosy serów na noszach. Nie była to jedyna łódź, dalsze podpływały jedna za drugą, wszystkie pełne towarów, tragarze w turbanach szli długim sznurem przez plażę poprzedzani przez naszego stryja, który ich prowadził swoim szybkim, drobnym, wahającym się jakby kroczkiem do pewnej jaskini wśród skał. Tam składali Maurowie swoje ładunki, zapewne łupy z ostatnich wypraw pirackich.

Po co zwozili je na ląd? Później z łatwością dało się całą tę historię odtworzyć: berberyjska feluka miała jeszcze zawinąć do któregoś z naszych portów (w związku z jakąś legalną transakcją handlową, które wplatali zazwyczaj pomiędzy swoje zbójckie wyprawy), a zatem musiała być przygotowana na przyjęcie celników. Trzeba więc było ukryć zrabowane towary w bezpiecznym miejscu, by móc je zabrać w powrotnej drodze. Miało to zarazem służyć jako dowód, że statek nie miał nic wspólnego z dokonanymi ostatnio rabunkami, i przyczynić się do ugruntowania normalnych stosunków handlowych z naszym krajem.

Wszystkie te kulisy poznaliśmy dokładnie później. Na razie Cosimo nie tracił czasu na zadawanie sobie pytań. W jaskini leżały ukryte skarby piratów, oni sami wsiadali na łodzie zostawiając swoje łupy bez opieki: należało jak najprędzej nimi zawładnąć. W pierwszej chwili mój brat chciał biec do miasta i budzić ze snu kupców, niewątpliwie prawych właścicieli tych towarów. Ale zaraz przypomniał sobie swoich przyjaciół węglarzy z lasu, wiecznie cierpiących głód razem z rodzinami. Bez chwili wahania ruszył swoim drzewnym szlakiem do znanych sobie miejsc w lesie, gdzie wokół placyków twardo ubitej szarej ziemi spali w nędznych szałasach bergamczycy.

- Żywo! Chodźcie wszyscy! Odkryłem skarb piratów!

Spod płacht i gałęzi służących tym domostwom jako dachy zaczęło dobiegać sapanie, kichanie, przeklinanie, a wreszcie okrzyki zdumienia i niedowierzania: „Złoto? Srebro?”.

- Nie widziałem dokładnie - rzekł Cosimo -- sądząc po zapachu, powiedziałbym, że najwięcej sztokfiszka i owczego sera!

Na te słowa ruszyli się wszyscy mężczyźni z lasu. Kto miał strzelbę, brał strzelbę, inni brali siekiery, rożny, motyki i łopaty, ale przede wszystkim jak najwięcej przedmiotów, w które zamierzali wpakować zdobycz - nawet stare kosze od węgla i poczerńnięte worki. Wyruszyli tłumnie, pokrzykując „*Hura! Hota!*”, szły i kobiety z wielkimi koszami na głowach, i dzieci opatulone w worki, niosąc płonące łuczywa. Wiódł ich Cosimo, z pinii leśnych przedostając się na oliwki, z oliwek na pinie nadmorskie.

Już mieli okrążyć ostrogę skalną, za którą znajdowało się wejście do grotty, kiedy wśród skrzyconych konarów drzewa figowego mignął biały cień pirata, uniósł w górę krzywą szablę i wydał ostrzegawczy krzyk. Cosimo w paru susach znalazł się na gałęzi tuż nad nim i wbił mu szpadę w plecy; tamten skurczył się i runął z urwiska w dół.

W jaskini odbywała się narada pirackich wodzów. (Przedtem, w zamęcie wyładunku, Cosimo nie zauważył, że część ludzi została wewnątrz.) Słyszając krzyk wartownika, wybiegają, widzą, że otacza ich chmara mężczyzn i kobiet z czarnymi od sadzy twarzami, w kapturach z worków na głowach, zbrojnych w łopaty. Wznoszą karabele i rzucają się naprzód, chcąc się przebić przez wrogi tłum. „*Hura! Hota! Inszallah!*” - brzmi z obu stron. Wszczyła się bitwa.

Węglarzy było więcej, ale piraci byli lepiej uzbrojeni. A jednak okazało się, że na karabele nie ma nic lepszego niż łopaty. *Deng! Deng!* - i ostrza z marokańskiej stali cofały się całe w szczyrbach. Strzelby natomiast przysparzały tylko hałasu i dymu, nic więcej. Niektórzy z piratów (oficerowie zapewne) mieli także strzelby, na oko bardzo piękne, zdobione inkrustacją; ale w grocie zawilgły im skałki i strzelby ani rusz nie chciały strzelać. Najzapalczywsi spośród węglarzy próbowali ogłuszać pirackich oficerów waląc ich łopatami po głowach, żeby odebrać im strzelby. Ale w turbany uderzało się niczym w poduszki i Berberowie zaledwie czuli te ciosy. Skuteczniej było walić kolanem w żołądek, bo brzuchy mieli odsłonięte.

Widząc, że jedyna broń to kamienie, węglarze chwycili się za nie. Maurowie odpowiedzieli również kamieniami. Teraz bitwa potoczyła się z większym ładem, ale że węglarze chcieli dostać się do groty, skąd płynął nęący zapach sztokfisz, a Berberowie - umknąć do szalupy pozostawionej przy brzegu, nie było właściwie powodu do wielkiej zaciekłości w boju.

W pewnej chwili bergamczycy rzucili się do ataku, który otworzył im dostęp do groty. Strona muzułmańska stawiała jeszcze opór pod gradem kamieni, kiedy okazało się nagle, że droga do morza jest wolna. Po cóż więc miałoby walczyć jeszcze dłużej? Lepiej podnieść czym prędzej żagle i odpłynąć.

Dotarłszy do łodzi trzech piraci, wszyscy znakomici oficerowie, wzięli się do rozplątywania liny żagla. Z najbliższej sosny Cosimo jednym susem przeskoczył na maszt, uczepił się u poprzeczki i mocno ściskając maszt kolanami dobył szpady. Trzej piraci wzniesli karabele. Mój brat, wywijając szpadą na prawo i lewo, trzymał ich wszystkich trzech w szachu. Łódź, nie ściągnięta jeszcze z brzegu, przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Wyjrzał właśnie księżyc i w jego poświacie błyszcząca szpada podarowana przez barona synowi i ostrza szabel pirackich. Cosimo nagle zsunął się nieco niżej i wbił szpadę w pierś jednego z piratów, który zwałił się ciężko za burtę. Zwinnie jak jaszczurka mój brat wspiął się z powrotem w górę, osłaniając się paradami od ciosów szabel, obsunął się znowu, nadział drugiego, podciągnął się w górę i po krótkiej walce z trzecim zsunął się i przebił go na wskroś.

Trzej muzułmańscy oficerowie leżeli pół zanurzeni w wodzie, pół na piasku, algi morskie czepiały się krzaczastych bród. Reszta piratów została zatłuczona u wejścia do groty kamieniami i ciosami łopat. Cosimo, wciąż jeszcze ściskając kolanami maszt, spoglądał zwycięskim wzrokiem dokoła, kiedy z groty wypadł jak oszalały, miotając się niby kot, którego ogon się pali, cavaliere adwokat, ukryty do tej pory w głębi jaskini. Ze schyloną głową przebiegł przez plażę, zepchnął łódź na wodę, wskoczył do niej i uchwyciwszy wiosła zaczął nimi pracować z całym sił, kierując się ku pełnemu morzu.

- Cavaliere! Co pan robi? Czy pan oszalał? - wołał Cosimo uczepony wysoko na maszcie. - Niechże pan zawraca! Dokąd płyniemy?

Wszystko na nic. Jasne było, że Enea Silvio Carrega chce się dostać na statek piracki, żeby ocalić życie. Teraz, kiedy jego zdrada była nieodwołalnie odkryta, pozostając na miejscu skończyłby niechybnie na szubienicy. Więc wiosłował i wiosłował, a Cosimo, choć wciąż jeszcze trzymał w ręku obnażoną szpadę, podczas gdy starzec był bezbronny i słaby, nie wiedział zupełnie, co robić. W gruncie rzeczy byłoby mu zbyt przykro zastosować przemoc względem stryja, a zresztą na to, by go dosięgnąć, musiałby zejść na dno łodzi, a zagadnienie, czy zejście do łodzi jest czy nie jest równoznaczne z zejściem na ziemię - względnie, czy już nie złamał nałożonego sobie zakazu, skoro z drzewa żywego, tkwiącego korzeniami w ziemi, przeskoczył na drzewo martwe, czyli maszt - było nazbyt zawile, żeby się mógł w tej chwili pokusić o jego rozstrzygnięcie. Nie robił więc nic, usadowił się na poprzeczce z jedną nogą po jednej, drugą po drugiej stronie masztu, łódź sunęła po morzu, lekka bryza wydymała żagiel, a starzec nie przestawał wiosłować.

Nagle Cosimo usłyszał szczeknięcie i aż zadrżał z radości. Piesek, którego w zamęcie bitewnym stracił z oczu, warował na dnie łodzi, lekko merdając ogonkiem jakby nigdy nic. „O cóż właściwie miałbym się tak dalece martwić” - pomyślał sobie Cosimo. Był wszakże w rodzinie, ze swoim stryjem i swoim psem, a przejażdżka łodzią, po tylu latach spędzonych wyłącznie na drzewach, stanowiła miłe urozmaicenie.

Nad morzem świecił księżyc. Starzec zmęczył się już, wiosłował z wysiłkiem, popłakując i wzdychając: „Ach, Zaira... Ach, Allah, Allah, Zaira... Ach, Zaira, *inszallah*... - i tak bez końca, mamrotał coś niezrozumiale, zapewne po turecku, i wciąż powracało wśród łez to kobiece imię, którego Cosimo nigdy dotąd nie słyszał.

- O czym pan mówi, cavaliere? Co z panem? Dokąd płyniemy?

- Zaira... Ach, Zaira... Allah, Allah... - mamrotał starzec.

- Kto to Zaira, cavaliere? Do niej pan płynie tą łodzią?

A Enea Silvio kiwał głową, że tak, że tak, i mamrotał coś po turecku wśród łez, i wykrzykiwał to imię do księżycyca.

Co do tej Zairy, myśl Cosima jęła natychmiast snuć najrozmaitsze przypuszczenia. Pomyślał, że może oto teraz odsłoni się przed nim głęboko ukryty sekret tego dziwnego, tajemniczego człowieka. Jeżeli cavaliere, wiosłując w stronę pirackiego statku, wierzy, że jedzie do owej Zairy, to znaczy, że chodzi tu o jakąś kobietę przebywającą gdzieś w ottomańskich krajach. Może nad całym jego życiem ciążyła tęsknota za tą kobietą, może była ona dla niego obrazem utraconej szczęśliwości, którą wspominał hodując pszczoły i szkicując plany kanałów. Może była jego kochanką albo żoną, z którą chodził po ogrodach tych zamorskich krajów, a może, co bardziej prawdopodobne, córką, od dzieciństwa nie widzianą. Może po to, żeby ją odnaleźć, latami całymi usiłował nawiązywać stosunki z tureckimi czy mauretańskimi statkami, które zawijały do naszych portów, i może wreszcie jeden z tych statków przywiózł mu od dawna wyczekiwaną wiadomość. Może dowiedział się, że żyje w niewoli i jako okup za nią zmuszony był dostarczać piratom informacji o rejsach statków z Ombrosy, albo też była to cena, za którą mieli go przyjąć na statek i zawieźć do kraju Zairy.

Teraz, po zdemaskowaniu jego intrygi, musiał uciekać z Ombrosy i ci Berberyjczycy nie mogli już teraz odmówić wzięcia go na pokład i odwiezienia do niej. W jego zdyszanych, urywanych słowach przebijały akcenty nadziei, błagania, a także lęku. Lęku, że jeszcze i tym razem nie uda się, że ta nieoczekiwana klęska znowu oddali go od upragnionej Zairy, zamiast go do niej przybliżyć.

Nie miał już siły poruszać wiosłami, kiedy tuż obok łodzi przemknął się jakiś cień - druga piracka łódź. Widocznie ze statku dosłyszano zgiełk walki, jaka rozegrała się na brzegu, i wysłano łódź na zwiady.

Cosimo zsunął się do połowy masztu, tak aby żagiel go zasłonił. Starzec natomiast zaczął wołać wielkim głosem, w owym niezrozumiałym języku, żeby go zabrali, żeby go przewieźli na statek; wołał wyciągając do nich ramiona. Został

wysłuchany: dwóch janczarów w turbanach, zaledwie znalazł się w zasięgu ich rąk, pochwyciło go pod ramiona, uniosło w górę lekko jak piórko i wciągnęło na swoją łódź. Ta, na której znajdował się Cosimo, została odepchnięta w tył, żagiel schwycił wiatr, i tak to mój brat, który już żegnał się z życiem, odpłynął spokojnie nie dostrzeżony.

Oddalając się powoli Cosimo słyszał z łodzi piratów jak gdyby kłótnię. Głośno zabrzmiało zwłaszcza wypowiedziane przez Maurów słowo brzmiące podobnie do „Marrano!”, a potem głos starca, powtarzający w kółko, jak w ogłupieniu: „Ach, Zaira!”. Wszystko to nie pozostawiało wątpliwości co do przyjęcia, jakiego cavaliere doznał ze strony piratów. Z pewnością przypisywali mu winę tej zasadzki koło groty, utraty łupów i śmierci tylu swoich towarzyszy, oskarżali go o zdradę... Dał się słyszeć krzyk, ciężki plusk, potem zapadła cisza. Cosimowi przypomniał się, tak wyraźnie, jakby go w tej chwili słyszał, głos ojca, kiedy wołał „Enea Silvio! Enea Silvio!”, biegnąc za przyrodnim bratem w pole; i zakrył twarz żaglem.

Po chwili wspiął się znowu na szczyt masztu, żeby zobaczyć, dokąd zmierza jego łódź. Nie opodal coś unosiło się na morzu, jakiś dziwny przedmiot, coś jakby boja, ale boja z ogonem... Kiedy na to coś padło światło księżyca, Cosimo zobaczył, że to nie żadna boja, lecz głowa w fezie z chwastem; rozpoznał twarz stryja, patrzącą z właściwym sobie przerażonym wyrazem i otwartymi ustami. Reszta, od brody w dół, znajdowała się pod wodą, niewidoczna.

- Cavaliere! Cavaliere! - zawołał Cosimo. - Co pan robi? Czemu pan nie wsiada? Proszę się uchwycić łodzi! Zaraz pomogę! Cavaliere!

Ale stryj nie odpowiadał. Unosił się na wodzie patrząc w niebo tak otępiłym spojrzeniem, że zdawał się nic nie widzieć.

- Ottimo Massimo! - rzekł Cosimo. - Skacz do wody! Przytrzymaj cavaliere za kołnierz! Ratuj go! Ratuj go!

Pies posłusznie rzucił się w wodę, próbował uchwycić starca zębami za kołnierz, ale nie mógł, uchwycił więc za brodę.

- Za kołnierz, Ottimo Massimo, za kołnierz, mówię! - powtórzył surowo Cosimo, ale pies uniósł głowę za brodę, a kiedy podpłynął pod burzę łodzi, okazało się, że kołnierza wcale nie ma, i nie tylko kołnierza, ale i całej reszty. Była tylko głowa, głowa Enei Silvia Carregi odcięta ciosem karabeli.

O smutnym końcu cavaliere adwokata II Cosimo opowiadał początkowo w zupełnie innej wersji. Kiedy na koniec wiatr przypędził do brzegu łódź z moim bratem skulonym na maszcie i psem, który płynął za łodzią wytrwale ciągnąc uciętą głowę, ludziom, co zbiegli się na jego wołanie, opowiedział - już z wierzchołka pini, na którą przedostał się czym prędzej przy pomocy liny - historię znacznie prostszą: że mianowicie cavaliere został uprowadzony przez piratów, a potem zamordowany. Wersję tę podyktował Cosimowi zapewne względem na ojca, którego ból na wieść o śmierci przyrodniego brata i na widok jego żalosnych szczątków mógł być i tak ponad siły, i Cosimo nie miał serca dodawać do niego jeszcze wiadomości o zdradzie cavaliere. A nawet później, słysząc o przygnębieniu, w jakie popadł nasz ojciec, postarał się stworzyć dokoła osoby stryja chlubną legendę, opowiadając o jego potajemnej, przebiegle prowadzonej walce przeciwko piratom, której rzekomo od dawna się poświęcał i której odkrycie przyniosło mu męczeńską śmierć. Ale opowieści te pełne były sprzeczności i luk, między innymi dlatego, że istniało jeszcze coś, co Cosimo chciał zachować w tajemnicy: sprawa pirackich łupów złożonych w jaskini i najście węglarzy. Gdyby bowiem teraz ta rzecz wyszła na jaw, cała ludność Ombrosy ruszyłaby hurmem do lasu, żeby odebrać resztki łupów, traktując bergamczyków jak złodziei.

Po paru tygodniach, kiedy był pewien, że węglarzom nic już z pirackich łupów nie zostało, opowiedział też o szturmie na jaskinię. A jeżeli wtedy ktoś chciałby wybrać się do lasu odbierać resztki, zostałyby z pustymi rękami. Węglarze podzielili wszystko sprawiedliwie, suszone sztokfiszki płat za płatem, kielbasy, sery, a z tego, co pozostało, urządzili ucztę w lesie, która ciągnęła się cały dzień.

Nasz ojciec postarzał się bardzo ostatnimi czasy, a ból po stracie Enei Silvia odbił się w nieoczekiwany sposób na jego charakterze. Opanowało go maniackie wręcz pragnienie, żeby wszystko, co jego przyrodni brat w życiu zdziałał, nie poszło na marne.

Postanowił osobiście zajmować się jego hodowlą pszczół i zabrał się do tego z wielkim zapalem, chociaż przedtem nigdy nawet ula z bliska nie oglądał. Jeśli potrzebował rady, zwracał się do Cosima, który się coś niecoś z tej dziedziny nauczył. Nie znaczy to, żeby mu zadawał wręcz jakieś pytania, ale starał się naprowadzić rozmowę na hodowlę pszczół i słuchał pilnie tego, co mówi! Cosimo, a potem powtarzał to chłopom w formie rozkazu, tonem poirytowanym i nie znoszącym sprzeciwu, jak gdyby były to rzeczy z dawna wiadome i nie ulegające kwestii. Do uli wolał się zanadto nie zbliżać, gdyż bał się ukąszeń, ale starał się okazywać, że umie nad tym swoim lękiem zapanować, choć Bóg jeden wie, ile go to kosztowało wysiłku. Wydawał też zarządzenia co do kopania jakichś kanałów, według projektów pozostałych po zmarłym. Gdyby rzeczywiście ten projekt zrealizował, byłby to wypadek jedyny i wyjątkowy, bo biedny Enea Silvio nigdy żadnego swojego zamierzenia nie doprowadził do końca.

Ta spóźniona pasja ojca do zajęć praktycznych trwała, niestety, krótko. Pewnego dnia, kiedy krzątał się niespokojnie i nerwowo koło uli, nagle spostrzegł krążące tuż koło niego dwie pszczoły. Zląkł się, zaczął machać bezradnie rękami i przewrócił przy tym ul; rzucił się do ucieczki, a za nim gęstą chmurą pszczoły. Uciekając na oślep wpadł do kanału, który właśnie wypełniano wodą i wyciągnięto go zupełnie przemoczonego.

Położono go do łóżka. Gorączka, wywołana ukłuciami pszczół i zimną kąpielą, trzymała się około tygodnia; kiedy ustąpiła, można było uważać go za wyleczonego. Ale był przygnębiony, apatyczny, nie mógł czy nie chciał się podźwignąć.

Leżał więc w łóżku, najwidoczniej zupełnie stracił chęć do życia. Nic z tego, czego pragnął, nie zdołał nigdy osiągnąć, o tytule diuka nie było już nawet mowy, jego pierworodny żył w dalszym ciągu na drzewach, choć teraz był już przecież mężczyzną, przyrodni brat zginął zamordowany, córka zamężna żyła daleko, wśród ludzi jeszcze bardziej antypatycznych niż ona sama, ja byłem jeszcze za mały, żeby mógł zżyć się ze mną bliżej, a żona zbyt energiczna i apodyktyczna. Zaczął fantazjować, mówić od rzeczy, twierdził, że jezuici zajęli jego dom, a on nie może opuszczać swojego pokoju;

wreszcie umarł, tak jak żył, pełen goryczy i ponurych przywidzeń.

Cosimo towarzyszył konduktowi pogrzebowemu, z drzewa na drzewo, ale na sam cmentarz nie mógł wejść, gdyż na cyprysy z ich gąszczem pionowo rosnących gałęzi dostać się w żaden sposób nie można. Asystował przy pogrzebie zza muru cmentarnego, a kiedy rzucaliśmy na trumnę po garści ziemi, on rzucił zieloną gałązkę. A ja pomyślałem sobie, że i my wszyscy nie byliśmy nigdy bliżej ojca niż Cosimo na drzewach.

Teraz baronem di Rondo został Cosimo. Jego życie nie uległo zmianie. Troszczył się, co prawda, o nasze majątkowe interesy, ale zawsze w sposób raczej dorywczy. Kiedy rządcy czy dzierżawcy szukali go, nigdy nie wiedzieli, gdzie go znaleźć; a kiedy najmniej sobie życzyli być przez niego widziani, spostrzegali go zniecka na najbliższym drzewie.

Sprawy majątkowe rodziny zmuszały teraz Cosima do częstszego pokazywania się w mieście, gdzie sadowił się na wielkim drzewie orzechowym na rynku albo na którymś z dębów w porcie. Ludzie witali go z szacunkiem, mówili do niego „panie baronie”, on zaś często przybierał pozę starca, jak to lubią robić młodzi, i zaczynał coś opowiadać, a u stóp drzewa zbierały się gromadki słuchaczy.

Najczęściej opowiadał, za każdym razem inaczej, o śmierci naszego naturalnego stryja, stopniowo ujawniając jego kontakty z piratami, ale jednocześnie, by złagodzić oburzenie obywateli, opowiadał wzruszającą historię Zairy, dając do zrozumienia, że Carrega zwierzył mu się z niej przed śmiercią; opowieść ta pobudzała słuchaczy do litowania się nad smutnym losem starca.

W ten sposób, po trochu, od zupełnego zmyślenia, doszedł Cosimo, o ile mi się zdaje, do całkowicie niemal prawdziwej relacji wydarzeń. I w takiej wersji opowiedział je ze dwa, trzy razy. Ale ponieważ słuchacze nigdy nie mieli dość tych opowiadań, a przy tym schodziło się ich coraz więcej i wszyscy domagali się wciąż nowych szczegółów, Cosimo zaczął swoją opowieść rozszerzać, wzbogacać hiperbolami,

wprowadzać nowe osoby i epizody, i tak historia stała się niebawem jeszcze bardziej zmyślona niż na początku.

Teraz Cosimo miał już stałe audytorium słuchające z otwartymi gębami wszystkiego, cokolwiek by mówił. On zaś nabrał upodobania do roli bajarza, a jego życie na drzewach, jego łowy, historia rozbójnika Giana z Puszczy czy jamnika Ottimo Massimo - wszystko to dostarczało tematów do niekończących się opowieści. (Niektóre epizody tych wspomnień o jego życiu przytaczam tu w takiej formie, w jakiej on sam, zachęcony przez swoich plebejskich słuchaczy, o nich opowiadał; zaznaczam to gwoli usprawiedliwienia, że nie wszystko, co piszę, wygląda prawdopodobnie i zgodnie z harmonijnym obrazem ludzkiej natury i faktów.)

Na przykład, ilekroć któryś z tych próżniaków zapytał: „Czy to prawda, panie baronie, że pana stopa nigdy nie tknęła niczego oprócz drzew” - wystarczyło to, by Cosimo wpadł w bajarski zapał:

- Owszem, raz jeden, przez pomyłkę, znalazłem się na rogach jelenia. Myślałem, że to gałąź klonu, a to był jeleni, który uciekł z nagonki królewskich łowów i stał tam pośród drzew. Jeleni czuje mój ciężar na rogach, zaczyna pędzić przez las. Nie macie pojęcia, co za męka! Tkwiałem w tych rogach i ze wszystkich stron wciąż mnie coś kłuło, uwierało, drapało - ostre końce rogów, ciernie krzaków, gałęzie drzew biły mnie po twarzy... Jeleni szarpał się, usiłował się mnie pozbyć, ale ja trzymałem się mocno... Przerzywał opowiadanie, a oni zaraz:

- No i jak się pan z tego wykaraskał, signoria?

A on za każdym razem wymyślał inne zakończenie:

- Jeleni pędził, pędził, aż trafił do stada jeleni, które, widząc go z człowiekiem na rogach, trochę się płoszyły, a trochę przybliżały, zaciekawione. Więc chwytam strzelbę, którą miałem zawsze na plecach i co który jeleni podejdzie, to ja go zwałam na ziemię. Ustrzeliłem pięćdziesiąt...

- Ejże, gdzież to kiedy w naszych stronach było aż pięćdziesiąt jeleni? - odzywał

się z powątpiewaniem któryś ze słuchaczy.

- Teraz już wyginęły. Bo te pięćdziesiąt ubitych to były same łanie, rozumiecie? Kiedy tylko mój jeleni próbował się zbliżyć do samicy, strzelałem i ona padała martwa. Jeleni nie umiał sobie tego wytłumaczyć i był w rozpacz. I wreszcie... wreszcie postanowił zabić się także, wbiegł na wysoką skałę i rzucił się z niej. A ja uczepliłem się pinii, która tam rosła, i oto jestem!

Albo też jeleni wdawał się w walkę z innym jeleniem i tłukły się rogami, a Cosimo za każdym takim starciem przeskakiwał z rogów jednego na rogi drugiego, aż wreszcie silniejsze zderzenie wyrzuciło go jak z procy aż na dąb...

Jednym słowem popadł w ów nałóg właściwy opowiadaczom, co to sami w końcu nie wiedzą, czy piękniejsze są te historie, które im się rzeczywiście przydarzyły - i które, kiedy się je wspomina, przynoszą z sobą całą falę dawno minionych godzin, uczuć nawet przelotnych i mało znaczących, chwil szczęścia, rozterek, próżności lub zniechęcenia do samego siebie - czy też te, które sami zmyślają i w których z początku wszystko ma być proste, wszystko wydaje się łatwe, a w miarę opowiadania wszystko się jakoś zmienia, i wreszcie bazarz spostrzega się, że mówi o rzeczach, które naprawdę przeżył i - przeżywając - zrozumiał.

Cosimo był jeszcze w wieku, kiedy sama przyjemność opowiadania rozbudza chęć przeżywania i kiedy człowiek czuje, że tego, co przeżył dotychczas, nie wystarczy na materiał do opowieści; wyruszał na łowy, nie było go całymi tygodniami, a kiedy zjawiał się znowu na drzewach na rynku Ombrosy, przynosił z sobą, wiszące za ogony, upolowane łasice, borsuki i lisy, a także zapas nowych historii, które w miarę opowiadania z prawdziwych stawały się zmyślane, a ze zmyślonych prawdziwe.

Ale w tej jego ruchliwości tkwił głęboko na dnie pewien brak, pewne niezaspokojenie, i kiedy szukał słuchaczy dla swoich opowieści, kryło się w tym szukanie czegoś zgoła innego. Cosimo nie znał jeszcze miłości, a bez tego jednego doświadczenia czymże są wszystkie inne? I jakież to ma znaczenie, że się naraża życie,

jeśli samego smaku życia jeszcze się nie poznało?

Po rynku w Ombrosie kręciły się dziewczęta sprzedające owoce i ryby, czasem przejeżdżały w karetach damy, a Cosimo, rzucając na nie z drzew przelotne spojrzenia, wcale jeszcze nie pojmował, dlaczego każda z nich ma w sobie coś z tego, czego on szuka, w żadnej z nich natomiast nie wyczuwał tego w całej pełni. Czasem nocą, kiedy w domach paliły się światła, a on siedząc samotnie na drzewie wpatrywał się w nie żółtymi sowimi oczyma, zaczynał marzyć o miłości. Parki, spotykające się gdzieś za żywopłotem czy po winnicach, przejmowały go uczuciem podziwu i zazdrości. I Wodził za nimi wzrokiem, póki nie zniknęły w mroku, ale jeżeli zobaczył taką parkę leżącą pod drzewem, uciekał zawstydzony.

Starał się przewyciężyć tę naturalną i wstydlivość obserwując miłość u zwierząt. Wiosną świat drzew stawał się światem weselnym. Wiewiórki miały w miłości odruchy i głosy prawie ludzkie, ptaki łączyły się w pary trzepocząc skrzydłami, jaszczurki biegały parami, z ogonkami zasupłanymi w węzeł; nawet jeże stały się jak gdyby jakieś miększe, żeby uczynić słodszyimi swoje uściski. A Ottimo Massimo, zgoła nie onieśmielony tym, że jest jedynym jamnikiem w całej Ombrosie, zalecał się do dużych suk pasterskich czy suk-wilczyc, a czynił to z całą zuchwałością, ufając w swój przyrodzony dar budzenia sympatii. Zdarzało się, że wracał mocno poturbowany; ale wystarczała jedna przygoda pomyślna, żeby wynagrodzić mu niefortunne próby.

Podobnie jak jego jamnik, tak i Cosimo stanowił jedyny egzemplarz swego gatunku. W marzeniach widział się nieraz kochanym przez najpiękniejsze dziewczęta. Ale jakże właściwie miałby spotkać na swej drodze miłość, żyjąc na drzewach? W jego wyobraźni to, o czym marzył, działo się nie na ziemi i nie tam, gdzie on w rzeczywistości przebywał, ale w jakimś miejscu nieokreślonym, w jakimś świecie, do którego dotrzeć można pnąc się zawsze w górę, nigdy w dół. Może istnieje gdzieś drzewo tak wysokie, że z jego szczytu dosięgnąć można innego świata, księżycy?

Nadal przychodził, skoro już nabrał tego zwyczaju, gawędzić na rynku w

Ombrosie, ale czuł się coraz bardziej z siebie niezadowolony. A odkąd, w któryś dzień targowy, jakiś przybysz z pobliskiego miasta Olivabassa powiedział: „O, to i wy tu macie swego Hiszpana!” a na pytanie, co przez to rozumie, wyjaśnił, że w Olivabassa jest cała gromada Hiszpanów, którzy żyją na drzewach, Cosimo nie zaznał już spokoju, póki nie podjął przez lasy wyprawy do Olivabassa. .

XVII

Miasteczko Olivabassa leżało w głębi lądu. Cosimo dotarł tam po dwóch dniach niełatwej podróży, z narażeniem życia przebywając miejsca, gdzie roślinność była rzadsza. Po drodze, w pobliżu osiedli, ludzie, którzy nigdy go nie widzieli, wydawali okrzyki zdumienia, czasem rzucił ktoś za nim kamieniem, starał się więc wędrować tak, żeby go jak najmniej widziano. Ale w miarę zbliżania się do Olivabassa zauważył, że kiedy jakiś drwal, chłop orzący ziemię czy zbieraczka oliwek go dostrzegli, nie okazywali wcale zdumienia, a nawet mężczyźni uchylali kapeluszy, jakby go znali, mówiąc słów, które na pewno nie były miejscowym dialektem i dziwnie brzmiały w ich ustach: *Señor! Buenas dias, señor!*"

Była zima, wiele drzew ogołconych było z liści. Miasteczko Olivabassa przecinała podwójna aleja platanów i wiązów. Zbliżywszy się, mój brat wśród bezlistnych gałęzi zobaczył ludzi - po jednej, dwie czy trzy osoby na poszczególnych drzewach; jedni siedzieli, inni stali, wszyscy w godnych, powagi pełnych pozach. W paru susach Cosimo znalazł się przy nich.

Mężczyźni ubrani byli po wielkopańsku w kapelusze z piórami i fałdziste płaszcze, damy nobliwej powierzchowności, w koronkowych welonach na głowach, siedziały na konarach po dwie lub trzy, niektóre zajęte haftem, raz po raz któraś spoglądała w dół na ulicę, lekko zwracając się w bok górną połową ciała, ramieniem wsparta o gałąź jak o parapet okna.

Mężczyźni witali Cosima, mówiąc tonem pełnym gorzkiego zrozumienia: - *Buenas dias, señor!* - a Cosimo kłaniał się w odpowiedzi, odkrywając głowę.

Jeden, który wyglądał najdosjniej ze wszystkich, grubas wciśnięty w rozwidlenie konarów platanu, tak że trudno było sobie wyobrazić, jak się stamtąd wydostanie, z cerą człowieka chorego na wątrobę, wygolony (ale ślad zarostu był widoczny i, mimo podeszłego wieku, czarny) zwrócił się do swego sąsiada, chudego,

czarno odzianego mężczyzny, na którego policzkach również kładły się czarniawe cienie zgolonego zarostu, z jakimś pytaniem - najwidoczniej chciał się dowiedzieć, co to za nieznajomy zbliża się ku nim po drzewach.

Cosimo pomyślał, że jest to właściwy moment, aby się przedstawić.

Przedostawszy się na platan grubego pana skłonił się i rzekł:

- 'Baron Cosimo Piovasco di Rondo, do usług waszmości.

- *Rondos? Rondos?* - powtórzył grubas. - *Aragones? Galiciano?*

- Nie, panie.

- *Cataldo?*

- Nie, panie. Pochodzę z tych stron.

- *Desteriado tambien?*

Tutaj ów chudy czarny poczuł się w obowiązku wtrącić się i posłużyć za tłumacza. Uczynił to w sposób niezmiernie napuszony.

- Jego Książęca Wysokość Frederico Alonso Sanchez de Guatamurra y Tobasco zapytuje, czy waszmość jest również wygnańcem, skoro widzimy go wspinającego się po drzewach.

- *Mossignore* przynajmniej nie wypędził mnie żaden dekret cudzy.

- *Viaja usted sobre los drboles por gusto?*

A tłumacz:

- Jego Wysokość Frederico Alonso raczy pytać, czy waszmość obrał taki sposób podróżowania dla własnej przyjemności.

Cosimo zastanowił się chwilę i rzekł: -

Nie, tylko myślę, że taki sposób mi przystoi, jakkolwiek nikt mi go nie narzuca.

- *Feliz usted!* - wykrzyknął Frederico Alonso Sanchez wzdychając. - *Ay de mi, ay de mi!*

A ów czarny przetłumaczył, coraz bardziej napuszony:

- Jego Wysokość chce powiedzieć, że waszmość może mienić się szczęśliwym,

ciesząc się tą wolnością, którą my z konieczności porównywać musimy z naszą przymusową sytuacją, którą jednakże z poddaniem zdajemy na wolę boską - i przeżegnał się. Tak to po trochu, z lakonicznych okrzyków księcia Sanchez i okolicznościowych komentarzy czarno odzianego jegomościa, Cosimo zdołał w przybliżeniu odtworzyć sobie dzieje kolonii rozlokowanej na platanach. Byli to panowie hiszpańscy, którzy zbuntowali się przeciwko królowi Karolowi III w związku z zakwestionowaniem przez niego jakichś ich feudalnych przywilejów i zostali wraz z rodzinami skazani na wygnanie. Ale kiedy przybyli do Olivabassa wzbroniono im dalszej podróży: na terytorium tym, na podstawie jakiegoś dawnego układu z Jego Katolicką Mością, osoby wygnane z Hiszpanii nie miały prawa nie tylko się osiedlać, ale nawet przejechać przez nie. Położenie tych znakomitych rodzin było zaiste trudne, ale ojcowie miasta Olivabassa, choć nie chcieli ścierać sobie na głowę przykrości ze strony obcych rządów, nie widzieli też powodu zrażania sobie tych bogatych wędrowców, znaleźli więc wyjście kompromisowe: w traktacie powiedziane było wyraźnie, że wygnańcy nie mają prawa „dotknąć stopą” lej ziemi, trzeba więc, żeby się ulokowali na drzewach, a wszystko będzie w porządku. Wygnańcy wdrapali się wtedy na platan i wiązy po drabinach użytych przez gminę i zaraz potem zabranych. Gnieździł się na tych drzewach już od kilku miesięcy, pokładając nadzieje w łagodności miejscowego klimatu, w rychłym ogłoszeniu przez Karola III dekretu o amnestii i wreszcie w opatrności boskiej. Mieli spory zasób hiszpańskich dukatów i kupowali żywność, przysparzając w ten sposób zarobku mieszkańcom miasta. Do wciągania półmisków na górę zainstalowano dźwigi na blokach. Na innych drzewach widać było baldachimy, pod którymi sypiali. W sumie wzięwszy urządzili się niezgorzej, a może to mieszkańcy Olivabassa tak ich we wszystko wyposażyli, gdyż ostatecznie przynosiło im to niemałe zyski. Wygnańcy natomiast po całych dniach ani palcem nie ruszali.

Cosimowi nigdy dotychczas nie zdarzyło się spotkać z innymi ludzkimi istotami, które, tak jak on, żyłyby na drzewach, zaczął więc zadawać pewne praktyczne pytania:

- A kiedy deszcz pada, jak sobie radzicie?

- *Sacramos todo el tiempo, señoi.* Cały czas klniemy!

Na to tłumacz, którym, jak się okazało, był ojciec Sulpicjo de Guadalete, z Towarzystwa Jezusowego, wygnaniec od czasu kiedy jego zakon został wypędzony z Hiszpanii: „Pod osłoną naszych baldachimów zwracamy myśli ku Panu, składając Mu dzięki za to, co nam daje i co nam wystarcza!...”

- Na łowy nie chodzicie?

- *Con el visco, señor, alguna vez.*

- Czasem ktoś z nas posmaruje gałąź lepem, ot tak, dla rozrywki.

Cosimo nie przestawał wypytywać, w jaki sposób rozwiązują oni najrozmaitsze problemy, które i on także musiał sobie stawiać.

- A z czystością jak sobie radzicie?

- *Por lavar? Hay lavanderas!* - powiedział don Frederico z lekkim wzruszeniem ramion.

- Powierzamy naszą odzież miejscowym praczkom - przetłumaczył don Sulpicjo.

- Każdego poniedziałku, mówiąc ściśle, spuszcza się na dół kosz brudnych rzeczy.

- Nie, ja miałem na myśli mycie twarzy i ciała.

Don Frederico chrząknął i wzruszył ramionami, jakby to zagadnienie nigdy przez myśl mu nie przeszło.

Don Sulpicjo czuł się w obowiązku przetłumaczyć i to:

- Zdaniem Jego Wysokości, są to prywatne sprawy każdego.

- A, za przeproszeniem, swoje potrzeby jak załatwiacie?

- *Ollas, señor.*

A don Sulpicjo, skromnie:

- Prawdę mówiąc, posługujemy się pewnymi garnuszkami.

Pożegnawszy don Frederica, Cosimo wyruszył z ojcem Sulpicjem złożyć z kolei wizyty innym członkom kolonii w ich drzewnych rezydencjach. Wszyscy ci hidalgowie

i wszystkie damy zachowywali, na przekór nieuniknionym niedogodnościom swego obecnego bytowania, postawę obyczajną i pełną godności. Niektórzy z mężczyzn do siedzenia okrakiem na konarze używali końskich siodła, co bardzo się spodobało Cosimowi, któremu przez te wszystkie lata nigdy nie przyszło na myśl takie udogodnienie (bardzo użyteczne ze względu na strzemiona - zauważył natychmiast - bo nogi zwisające luzem bardziej cierpną). Niektórzy manipulowali wciąż marynarskimi lunetami (jeden z wygnańców był w randze admirała), które przypuszczalnie służyły do obserwowania sąsiadów z innych drzew, znakomicie wzmagając wścibstwo i plotkarstwo. Panie i młode panny siedziały wszystkie na poduszkach własnoręcznie haftowanych, zajęte ręcznymi robótkami (były to jedyne osoby z całej kolonii, które w ogóle cośkolwiek robiły) albo głaszcząc wielkie spalone koty. Kotów było na tych drzewach sporo, podobnie jak ptaków w klatkach (możliwe, że były to ofiary lepu), z wyjątkiem gołębi, przysiadających czasem na rękach dziewcząt, które delikatnie i smutno gładziły ich piórka.

W tych napowietrznych salonach przyjmowano Cosima z dworną gościnnością, częstowano kawą, a potem zaraz zaczynano wspominać pałace pozostawione w Sewilli czy Grenadzie, posiadłości ziemskie, spichrze i stajnie, i zapraszano go do siebie, wkrótce, kiedy majątki i splendory zostaną im przywrócone. O królu, który ich skazał na wygnanie, ludzie ci mówili tonem fanatycznej nienawiści, a jednocześnie i pełnej oddania czci; jak gdyby osoba, z którą ich rodziny walczyły, była w ich pojęciu czymś zupełnie odrębnym od majestatu królewskiego, którego odblask stanowiła ich własna godność i potęga. Czasem jednak obie te przeciwne postawy mieszały się z sobą w jeden żywiołowy wybuch; toteż Cosimo, ilekroć rozmowa zesłała na monarchię, nie wiedział wcale, czego się trzymać.

Nad każdym słowem, każdym gestem wygnańców unosiła się chmura smutku i żałoby. Nastrój ten zgodny był w pewnej mierze z ich przyrodzonym charakterem, częściowo zaś wypływał z rozmyślnej determinacji, jak to często bywa u tych, którzy

walczą

O jakąś niezbyt jasno określoną sprawę starają się zastąpić ten brak odpowiednimi formami zewnętrznymi.

U dziewcząt, które na pierwszy rzut oka wydały się Cosimowi jakby zbyt owłosione i ciemnoskóre, przebijał czasem pewien błysk wesołości, zawsze w porę powstrzymywany. Dwie młode panienki grały, siedząc na dwóch sąsiednich platanach, w wolanta. Tik i tak, tik i tak, potem okrzyk: wolant spadł na ziemię. Wnet podnosił go jakiś miejscowy chłopak, żądając za odrzucenie go w górę zapłaty w wysokości dwóch peset.

Na ostatnim drzewie alei - był to wiąz - rezydował starzec zwany przez wszystkich El Conde; nie nosił peruki, wygląd miał zaniedbany. Padre Sulpicjo, zbliżając się do niego, zniżył głos zalecając to samo Cosimowi; El Conde ruchem ręki odgarniał raz po raz gałęzie na bok wpatrując się w stok wzgórza i w miejscami zieloną, miejscami ogołoconą z zieleni równinę, ciągnącą się w bezkresną dal.

Sulpicjo szeptem opowiedział Cosimowi historię jego syna, którego z rozkazu króla Karola uwięziono i poddano torturom. Cosimo zrozumiał, że podczas gdy wszyscy inni hidalgowie po prostu bawią się w wygnańców i wciąż muszą sobie przypominać, dlaczego właściwie i w jaki sposób znaleźli się w tej sytuacji, ten jeden starzec cierpi naprawdę. Ów gest odsuwania na bok gałęzi, jak gdyby spodziewał się dojrzeć za nią inny świat, to błędzenie wzrokiem po lekko sfalowanej równinie, jakby w nadziei, że nigdy nie natknie się na widnokrąg i zdoła dojrzeć kraj - jakże bardzo daleki

-

był w oczach Cosima pierwszym prawdziwym znakiem wygnania. I zrozumiał, jakie znaczenie miała dla tych wszystkich hidalgów obecność starego hrabiego; ona była tym, co ich trzymało razem, ona jedna tylko nadawała jakiś sens ich bytowaniu. On to, zapewne najuboższy z nich wszystkich i w ojczyźnie może najmniej znaczący, przypominał im, że powinni cierpieć i wierzyć.

Wracając z wizyt Cosimo spostrzegł na gałęziach olchy dziewczynę, której przedtem nie widział. W dwóch susach znalazł się przy niej.

Była to młoda osóbka o prześlicznych oczach koloru barwinku i świeżej, pachnącej cerze. Niosła wiadro wody.

- Jak to się stało, że wszystkich widziałem, a pani nie?

- Chodziłam po wodę do studni - powiedziała z uśmiechem. Z przechylnego wiadra chlusnęło trochę wody. Pomógł jej dźwigać.

- Więc pani schodzi z drzew?

- Nie; jest taka jedna wiśnia, nachylona nad studnią. Stamtąd czerpiemy wodę. Proszę iść ze mną.

Przesunęli się po gałęzi, przesadzili mur, ona zaprowadziła go na ową wiśnię. W dole pod nimi była studnia.

- Widzi pan, baronie?

- Skąd pani wie, że jestem baronem? Uśmiechnęła się.

- Ja wiem wszystko. Moje siostry opowiedziały mi natychmiast o pańskiej wizycie.

- To te, co grają w wolanta? -

Tak, one. Irena i Raimunda.

- Córki don Frederica?

- Tak...

- A pani jak ma na imię?

- Ursula.

- Chodzi pani po drzewach lepiej niż ktokolwiek tutaj.

- Robiłam to, kiedy byłam mała. W Grenadzie mieliśmy duże drzewa w patio.

- A potrafiłaby pani zerwać tę różę? Na samym wierzchołku jednego z drzew kwitła pnąca róża.

- Niestety. Nie.

- Dobrze, zerwę ją dla pani. - Wspiął się na drzewo, wrócił z różą. Ursula z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Chciałbym sam ją przypiąć. Proszę powiedzieć, gdzie.

- We włosach, dziękuję. - I sama poprowadziła jego rękę.

- A teraz - rzekł Cosimo - proszę powiedzieć, czy umiałaby pani przedostać się na tamto drzewo migdałowe?

Roześmiała się.

- Jakże miałabym to zrobić? Nie umiem przecież fruwać.

- Chwileczkę - rzekł Cosimo i wydobył zwitek liny. - Jeżeli pozwoli pani obwiązać się tym sznurem, przeciągnę tam panią.

- Nie... boję się... - Ale śmiała się przy tym.

- To taki mój system. Od lat tak wędruję, sam sobie radzę ze wszystkim.

- *Mamma mia!*

Przeniósł ją, potem sam siebie. Było to młode jeszcze, niezbyt duże drzewo. Siedzieli tuż przy sobie. Ursula była jeszcze zdyszana i zaczerwieniona po „fruwaniu”.

- Przestraszona?

- Nie. - Serce mocno jej jednak biło.

- A róża nie wypadła - powiedział i dotknął kwiatu, chcąc go lepiej umocować.

Siedząc obok siebie na gałęzi, za każdym poruszeniem mocniej się do siebie przytulali.

- Och - powiedziała nagle. I pocałowali się.

Tak zaczęła się ich miłość. Chłopak był oszołomiony szczęściem, ona również szczęśliwa, ale wcale nie zaskoczona (nic, co się zdarza dziewczętom, nie jest tak znów całkiem przypadkowe). To była miłość, której Cosimo od dawna wyczekiwał i która nadeszła niespodziewanie, a była tak piękna, że wprost nie pojmował, jak mógł uważać za piękne to, co sobie przedtem o miłości wyobrażał. A najbardziej zdumiewające było, że miłość jest czymś tak prostym. Cosimowi zdawało się, że tak już będzie zawsze.

XVIII

Zakwitły brzoskwinie, migdały, wiśnie. Cosimo i Ursulą spędzali całe dni razem na okrytych kwieciami drzewach. Wiosna przydawała wesołych barw nawet żałobnemu sąsiedztwu krewnych dziewczyny.

W kolonii wygnańców mój brat umiał niebawem stać się pożyteczny, ucząc ich swoich wypróbowanych sposobów przedostawania się z drzewa na drzewo i zachęcając dostojne towarzystwo, żeby choć od czasu do czasu porzuciło swoją zwykłą postawę uroczystego skupienia i zażyło trochę ruchu. Poprzerzuczał też mosty sznurowe, które pozwoliły nawet najstarszym z wygnańców odwiedzać się nawzajem. I tak, w czasie swego rocznego niemal pobytu wśród Hiszpanów, obdarzył kolonię urządzeniami własnego pomysłu, jak zbiorniki na wodę, piecyki, futrzane wory do spania. Pasja dokonywania wciąż nowych ulepszeń kazała mu w pewnych wypadkach postępować zgodnie z obyczajami tych hidalgów, nawet jeżeli odbiegały one daleko od idei ulubionych jego pisarzy; na przykład, widząc, że te pobożne osoby pragnęłyby móc się spowiadać z całym odpowiednim ceremoniałem, urządził w wydrążonym pniu konfesjonał, w którym chudy don Sulpicjo mógł się zmieścić i wysłuchiwać spowiedzi przez zakratowane okienko z firaneczką.

Sama tylko pasja innowacji technicznych nie wystarczała, by go zwolnić od podporządkowania się przyjętym formom: na to potrzebne były idee. Cosimo napisał do księgarza Orbecche, żeby przesłał mupocztą do Olivabassa książki, jakie w tym czasie dla niego nadeszły. Pozwoliło mu to przeczytać głośno Ursuli „Pawła i Wirginię” i „Nową Heloizę”.

Wygnańcy urządzali zebrania na rozłożystym dębie - narady, podczas których układali listy do swego króla. Każdy taki list miał być początkowo pełnym oburzenia protestem, nie wolnym od gróźb, czymś w rodzaju ultimatum; zawsze jednak znalazł się ktoś, kto zaproponował jakąś bardziej uległą, pochlebczą formułę i w rezultacie

wychodziła z tego suplika, w której wygnańcy uniżenie kłaniali się do stóp Jego Królewskiej Mości błagając o przebaczenie.

Wówczas podnosił się z miejsca El Conde. Wszyscy milkli. El Conde, wznosząc wzrok ku górze, zaczynał mówić głosem niskim i wibrującym, wypowiadając wszystko, co miał na sercu. Kiedy siadał z powrotem, wszyscy zachowywali pełne powagi milczenie. Nikt już ani wspomniał o suplice. Cosimo uważany był teraz za członka wspólnoty i uczestniczył w tych naradach. Tam to, z naiwnym młodzieńczym zapałem, wykladał idee filozofów, roztrząsał winy władców i tłumaczył, w jaki sposób państwami rządzić może rozum i sprawiedliwość. Ale jedynymi z całej kolonii, którzy chcieli go słuchać, byli: El Conde, który, choć stary, zawsze przejmował się i zapalał w zetknięciu z jakimś nowym sposobem pojmowania zjawisk i reagowania na nie, Ursula, która coś niecoś w życiu przeczytała, i parę jeszcze panienek, odrobinę bystrzejszych od innych. Reszta kolonii miała twarde głowy, w które chyba gwoździem dałoby się coś wbić.

Z biegiem czasu ów Conde, zamiast jak dawniej spędzać całe dni na kontemplacji pejzażu, zaczął nabierać chęci do czytania. Rousseau wydał mu się raczej odpychający; za to Montesquieu mu się spodobał: był to już krok naprzód. Inni hidalgowie nie zdradzali takich chęci, co najwyżej czasem któryś z nich, w tajemnicy przed don Sulpicjem, prosił Cosima o pożyczenie „Dziewicy Orleańskiej”, żeby przeczytać najbardziej zuchwałe ustępy. Tak więc, odkąd stary hrabia zaczął przeżuwać nowe idee, zgromadzenia na dębie przybrały inny ton, teraz mówiło się o powrocie do Hiszpanii po to, żeby zrobić tam rewolucję.

Ojciec Sulpicjo z początku nie zwęszył niebezpieczeństwa. Sam z siebie nie był on bardzo bystry; odcięty od całej hierarchii swoich zwierzchników nie orientował się dostatecznie we wszelakich truciznach duchowych. Ale gdy tylko zdołał zebrać myśli (czy też, jak mówili niektórzy, zaledwie doszły go pewne listy opatrzone biskupimi pieczęciami), zaczął grzmieć, że szatan wśliznął się do ich społeczności i teraz można w

każdej chwili oczekiwać deszczu gromów, które obróca w zgliszcza i popiół drzewa wraz ze wszystkim, co się na nich znajduje. Pewnej nocy zbudziły Cosima jakieś jęki. Pospieszył w tym kierunku z latarką i na drzewie, służącym za mieszkanie El Conde, zobaczył starca przywiązanego do pnia, a przy nim jezuitę zaciskającego więzy.

- Hola, ojcze! Co to znaczy?

- Ramię świętej Inkwizycji, synu! Dziś dosięgło ono tego nieszczęsnego starca, aby przyznał się do herezji i wyrzekł się szatana. Potem przyjdzie kolej na ciebie!

Cosimo dobył szpady i przeciął więzy.

- Radzę strzec się, ojcze! Są jeszcze inne ramiona, służące rozumowi i sprawiedliwości!

Z kolei jezuita wydobył nagą szpadę z fałdów płaszcza.

- Baronie di Rondo, pańska rodzina od dawna ma nie uregulowane rachunki z moim zakonem!

- Słusznie tedy mówił mój świętej pamięci ojciec - wykrzyknął Cosimo krzyżując szpadę z don Sulpicjem. - Jezuita nie przebaczą!

Walczyli stojąc na gałęziach. Don Sulpicjo okazał się znakomitym szermierzem i niejednokrotnie brat mój był w poważnym niebezpieczeństwie. Byli już przy trzecim starciu, kiedy El Conde, przyszedłszy trochę do siebie, zaczął głośno wzywać pomocy. Zbiegli się zbudzeni ze snu wygnańcy, zaczęli rozdzielać walczących. Sulpicjo natychmiast schował szpadę i jakby nigdy nic zaczął wzywać do spokoju.

Przemilczeć wydarzenie tak poważne, byłoby w każdej innej społeczności rzeczą nie do pomyślenia; ale ci ludzie starali się sprowadzać do minimum każdą niepokojącą myśl, jaka kiedykolwiek przemknęła im przez głowę. Toteż don Frederico nie szczędził wysiłków, żeby doprowadzić do czegoś na kształt pojednania między don Sulpicjem a starym hrabią, i wszystko zostało po dawnemu.

Cosimo, rzecz jasna, nie dowierzał temu spokojowi i wędrując po drzewach z Ursulą wciąż podejrzewał, że jezuita ich śledzi. Wiedział on dobrze, że don Sulpicjo po

cichu wciąż podburza don Frederica, żeby zabronił córce wychodzić z Cosimem. Rzeczywiście w szlacheckich rodach hiszpańskich młode panny chowane były raczej w zamknięciu; ale tu żyło się na drzewach, na wygnaniu, i na wiele rzeczy przymykano oczy. Cosimo robił wrażenie dzielnego młodzieńca, był utytułowany i potrafił stać się użytecznym; przyłączył się do kolonii wygnańców, choć nic go do tego nie zmuszało. Toteż jeżeli nawet zdawano sobie sprawę wzrastającego między nim a Ursulą uczucia i widywano ich, jak wędrują we dwoje po sadach zrywając kwiaty i owoce, przymykano oczy, żeby nie dostrzec w tym nic niewłaściwego.

Teraz jednak, odkąd don Sulpicjo zaczął jątrzyć, don Frederico nie mógł już dłużej udawać, że o niczym nie wie. Wezwał Cosima na platan, na rozmowę. U jego boku tkwiła długa czarna postać don Sulpicja.

- Baronie, widuje się cię często z moją *nina*, jak słyszę.

- Uczy mnie *hablar vuestro idioma*, Wasza Wysokość.

- Ile lat sobie liczysz?

- Ukończę niebawem *diez y nueve*.

- *Joven!* Zbyt młody! Moja córka jest już w wieku odpowiednim do małżeństwa.

Dlaczego jej asystujesz?

- Ursula ma siedemnaście lat...

- Zamyślasz już *casarte*?

- Czy co zamyślam?

- Źle cię uczy *el castellano* moja córka, *hombre*. Pytam, czy zamierzasz już wybrać sobie *la novia*, założyć dom.

Sulpicjo i Cosimo, obaj na raz, uczynili gest taki, jakby się przed czymś wzbraniali. Rozmowa wchodziła na tory, jakich nie życzył sobie ani jezuita, ani, tym bardziej, mój brat.

- Mój dom... - rzekł Cosimo wskazując szerokim ruchem ręki wierzchołki drzew i chmury nad nimi - mój dom jest wszędzie, dokąd mogę dotrzeć pnąc się w górę...

- *No es esto*, to nie to - i książę Frederico Alonso potrząsnął głową. - Baronie, jeśli zechcesz przyjechać do Grenady, kiedy tam wrócimy, zobaczysz najbogatsze włości w całej Sierra. *Mejor que aqui*, lepsze niż tutaj.

Don Sulpicjo nie wytrzymał:

- Ależ, Wasza Wysokość, ten młodzieniec, to wolterianin... nie powinien zadawać się z pańską córką...

- *Oh, es joven*, młody jest, idee przychodzą i odchodzą, *que se case*, niech się ożeni, a wnet mu to przejdzie; przyjeźdź do Grenady, młodzieńcze, przyjeźdź.

- *Muchas gracias a usted...* Pomyślę nad tym... - i Cosimo, obracając w rękach swoją czapkę z kociej sierści, wycofał się wśród ukłonów.

Kiedy spotkał się znów z Ursulą, był bardzo zamyślony.

- Wiesz, Ursula, mówił ze mną twój ojciec... rozmawiał ze mną w taki sposób...

Ursula przelękała się.

- Nie chce, żebyśmy się widywali?

- Nie o to chodzi... Chciałby, żebym ja, kiedy już nie będziecie wygnańcami, pojechał z wami do Grenady...

- Ach, tak! To będzie cudownie!

- Ale, widzisz, ja cię kocham, ale zawsze przebywam na drzewach i zamierzam na nich pozostać...

- O, Cosrrie, tam u siebie mamy także piękne drzewa...

- Pewnie, ale żeby odbyć tę podróż z wami, musiałbym zejść, a skoro już raz bym zszedł...

- Nie martw się o to, Cosme. Na razie jesteśmy wygnańcami i może będziemy nimi przez całe życie.

I mój brat rzeczywiście nie zaprzętał sobie więcej głowy tą sprawą.

Ale przewidywania Ursuli nie sprawdziły się. Wkrótce potem don Frederico otrzymał list z pieczęciami króla hiszpańskiego. Wyrok banicji został z łaski Jego

Królewskiej Mości odwołany. Wygnani panowie mogli wracać do swoich domów i swoich dóbr. Na platanach zapanowała natychmiast radosna wrzawa. „Wracamy! Wracamy! Do Madrytu! Kadyksu! Sewilli!”.

Nowina obiegła natychmiast całe miasto. Mieszkańcy Olivabassa zbiegli się tłumnie z drabinami. Jedni z wygnańców schodzili na ziemię, witani entuzjastycznie przez ludność, inni pakowali rzeczy.

- Ale to nie koniec! - wykrzykiwał El Conde. - Usłyszą o nas Kortezy! I Korona! - a ponieważ nikt z towarzyszy wygnania nie zdradzał w owej chwili ochoty do słuchania go, zwłaszcza damy były pochłonięte troską o swoje suknie, które zdążyły już wyjść z mody, próbował wygłaszać mowy do miejscowej ludności: „Oto wracamy do Hiszpanii, i teraz zobaczcie! Porachujemy się! Ja i ten młodzieniec wymierzmy sprawiedliwość!”. To mówiąc wskazywał Cosima, który bardzo zmieszany potrząsał głową przecząco.

Don Frederico, zniesiony z drzewa na rękach, stanął na ziemi.

- *Baja, joven bizarro!* - zawołał do Cosima. - Dzielny młodzieńcze, schodź! Jedź z nami do Grenady!

Cosimo bronił się, skulony na gałęzi. A książę: „*Como no?* Będziesz mi jak syn!”.

- Koniec wygnania! - mówił El Conde. - Nareszcie możemy wprowadzić w czyn to, cośmy z dawna uplanowali! Po cóż miałbyś jeszcze zostawać na drzewach, baronie? Nie ma już powodu!

Cosimo rozłożył ręce.

- Wszedłem na drzewa wcześniej od was, panowie, i pozostanę tam po was!

- Chcesz się cofnąć! - wykrzyknął El Conde.

- Nie: trwać w oporze - odparł baron. Ursula, która zeszła jedna z pierwszych i razem z siostrami upychała w karocy pakunki, rzuciła się z powrotem w stronę drzewa.

- W takim razie zostaję z tobą! Zostaję z tobą! - I zaczęła spieszenie wchodzić na drabinę.

Pochwyciło ją cztery czy pięć osób, oderwało ją od drabiny, a drabinę zabrano spod drzewa.

- *Adios*, Ursula, bądź szczęśliwa! - zawołał Cosimo, kiedy siłą prowadzono ją do karety, która natychmiast ruszyła.

Rozległo się radosne szczekanie. Jamnik, który przez cały czas pobytu swego pana w Olivabassa jawnie okazywał niezadowolenie, potęgowane jeszcze przez nieustanną wojnę z kotami Hiszpanów, teraz nareszcie wydawał się znowu szczęśliwy. Zaczął uganiać się, ale najwidoczniej bez złości, za nielicznymi kotami, które zostały na drzewach, pewnie zapomniane, a teraz jeżyły sierść i fukały na niego ze złością.

Jedni konno, inni w karetach czy koczach, wygnańcy opuścili miasteczko. Ulica opustoszała. Na drzewach pozostał mój brat, sam jeden. Gdzieniedzie, zaczepione na gałęziach, wisiało tu pióro, ówdzie wstążka czy strzép haftu, kołysząc się na wietrze; tam znów zapomniana rękawiczka, parasolka oszyta koronką, wachlarz, wysoki but z ostrogą.

XIX

Było lato, pełne poświęty księżycowej, kumkania żab i poświętywania zięb, kiedy baron pojawił się z powrotem w Ombrosie. Wydawał się ogarnięty jakimś ptasim niepokojem: skakał z gałęzi na gałąź, a przy tym był wścibski, ponury, sam nie wiedział, czego chce.

Niebawem zaczęły chodzić słuchy, jakoby niejaka Checchina, dziewczyna z tamtej strony doliny, była jego kochanką. Mieszkała w samotnym domku z głuchą ciotką, a gałąź oliwki przytykała niemal do jej okna. Toteż próżniaki na rynku w Ombrosie wciąż roztrząsały zagadnienie: jest jego kochanką, czy nie jest.

- Sam ich widziałem: ona w oknie, on na drzewie. Zwieszał się z gałęzi niczym nietoperz, a ona się śmiała!

- A o stosownej godzinie on daje susa!

- Skądże: skoro sobie przysiągł, nigdy póki życia nie zejść z drzewa...
- Cóż, sam sobie ustanowił regułę, może ustanowić i wyjątki...
- Ba, kiedy raz zaczniesz się robić wyjątki...
- Ależ nie, mówię wam: to ona skacze z okna na drzewo!
- No i jakże sobie radzą? Musi im być bardzo niewygodnie...
- A ja powiadam, że nigdy się nawet nie tknęli. On się do niej zaleca, a może to ona go przywabia. Ale on z drzewa nie schodzi...

Tak, nie, on, ona, okno, skok, gałąź... nie było końca dyskusjom. Narzeczeni i mężowie pilnie teraz baczyli, czy ich ukochane lub żony nie podnoszą oczu na jakie bądź drzewo. Kobiety ze swej strony, ilekroć się spotkały, już szu, szu, szu... O kim to sobie szeptały? O nim oczywiście.

Checchina czy nie Checchina, dość że mój brat miał miłosnych przeżyć do woli i nie musiał po to schodzić z drzew. Spotkałem go kiedyś, jak pomykał z gałęzi na gałąź z przewieszonym przez ramię materacem, a czynił to w sposób tak samo naturalny, jak kiedy nosił strzelbę, sznury, siekierkę, worek, manierkę czy rozek z prochem.

Niejaka Dorotea, kobieta lekkich obyczajów, wyznała mi kiedyś, że spotkała się z nim z własnej inicjatywy i wcale nie dla zysku, lecz żeby „nabrać o nim jakiegoś pojęcia”.

- No i jakiegoż pojęcia nabrałaś?

- Ach! Byłam bardzo rada...

Inna znów, niejaka Zobeida, opowiadała mi, że przyśnił jej się kiedyś „człowiek drzewołaz” (tak go nazywała), a ów sen był tak szczegółowy i sensowny, że podejrzewam, iż przeżyła go na jawie.

Doprawdy, nie mam pojęcia, na czym to polegało, ale to pewne, że Cosimo wywierał na kobiety jakiś szczególny czar. Od czasu swego pobytu wśród Hiszpanów zaczął bardziej dbać o siebie, nie chodził już opatulony w skóry jak niedźwiedź. Nosił obcisłe spodnie i frak, na głowie cylinder, angielską modą, golił zarost i dbał o

uczesanie. Teraz można było z całą pewnością odróżnić po rodzaju ubrania, czy wybiera się na polowanie, czy na spotkanie z kobietą.

Faktem jest, że pewna dojrzała już dama z Ombrosy (nazwiska nie wymienię, gdyż żyją jeszcze jej córki i wnuki i mogłyby się poczuć obrażone, ale w owych czasach była to historia powszechnie znana) odbywała stale samotne przejażdżki kareta, ze starym stangretem na koźle, i zawsze kazała się wozić tam, gdzie gościec przebiegał przez las. W pewnym momencie zatrzymywała kareta.

- Giovita - mówiła do stangreta - w lesie jest mnóstwo grzybów. Weźcie no ten koszyk, zbierajcie pełen i wracajcie - i podawała mu spory wiklinowy kosz. Starowina zląził z kozła postępując, bo dokuczał mu reumatyzm, zarzucił koszyk na plecy i zapuszczał się w las, coraz dalej i dalej, rozgarniając przed sobą krzaki i paprocie, schylał się pod niskimi gałęziami buków, grzebał w suchych liściach, nie znajdując prawie nic oprócz psich grzybów i purchawek. Tymczasem dama zniknęła raptem z karety, jakby porwana do nieba, w koronach drzew zwisających ponad gościńcem. Więcej nic o tym nie wiadomo; tyle tylko, że ludzie przechodzący tamtędy często widywali stojącą w lesie pustą kareta. Po pewnym czasie, równie tajemniczo jak zniknęła, tak się i pojawiała owa dama na powrót w karecie i siedziała nieruchomo, patrząc w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem. Wracił Giovita, ubłocony, z odrobiną grzybów na dnie kosza, i kareta odjeżdżała.

Tego rodzaju historyjek opowiadano mnóstwo, a najwięcej w domu pewnych damulek genueńskich, urządzających, przyjęcia dla majątnych panów (ja również tam bywałem za kawalerskich czasów). Kiedyś cztery czy pięć tych pań powzięło chęć wybrania się do barona z wizytą. Po dziś dzień pewien stary dąb jest powszechnie zwany Dębem Pięciu Wróbliczek, ale tylko my starzy wiemy, skąd się ta nazwa wzięła. Opowiadał o tym niejaki Ge, handlujący suszonymi winogronami, człowiek, któremu można było wierzyć. Otóż w pewien piękny słoneczny dzień ów Ge udał się do lasu na polowanie. Znalazł się w pobliżu tego dębu i cóż zobaczył? Cosimo zabrał je, wszystkie

pięć, na drzewo, pousadzał na gałęziach tu i ówdzie, siedziały tak sobie, zażywając miłego ciepła, wszystkie całkiem nagie, każda tylko trzymała nad głową otwartą parasolkę, żeby się nie opalić na słońcu; a baron siedział sobie pośrodku i czytał im łacińskie wiersze - może to był Owidiusz, a może Lukrecjusz.

Takie to krążyły historyjki, a ile w nich było prawdy, trudno osądzić. W owym czasie Cosimo zachowywał w tych sprawach dyskrecję i pewną wstydlivość. Na starość za to opowiadał aż za dużo, ale przeważnie były to historie fantastyczne: nawet on sam nie zawsze umiał się w nich połapać. Weszło wówczas w zwyczaj, że ilekroć jakaś dziewczyna w naszych stronach zaczynała grubieć w pasie, a nie wiadano, kto jest sprawcą, ku ogólnemu zadowoleniu zwalano winę na Cosima. Pewna dziewczyna opowiedziała kiedyś, że podczas zrywania oliwek poczuła nagle, że unosi ją w górę dwoje ramion, długich jak u małpy... We właściwym czasie wydała na świat bliźnięta. Wkrótce Ombrosa pełna była prawdziwych czy fałszywych bękartów barona. Teraz podorastali już i niektórzy są rzeczywiście do niego podobni; ale mogło to również wynikać z zapatrzenia, bo na niejednej ciężarnej kobiecie widok Cosima, wielkimi susami przeskakującego z drzewa na drzewo, wywarł z pewnością silne wrażenie.

Ja zresztą w te historie, rozpowszechniane gwoli usprawiedliwienia różnych nieślubnych narodzin, na ogół nie wierzę. Nie wiem, czy Cosimo miał rzeczywiście aż tyle kobiet, ile się o tym mówiło, ale jedno jest pewne: że te, które naprawdę miały z nim do czynienia, wołały się tym nie chwalić.

A poza tym, gdyby miał aż tyle kobiet pod ręką, jakże mielibyśmy sobie tłumaczyć te księżycowe noce, kiedy Cosimo uwijał się jak kot po drzewach figowych, śliwach czy drzewach granatu, w sadach, które szerokim pierścieniem okalały domy Ombrosy; krążąc tak samotnie pośród gałęzi wydawał jakieś żalosne głosy, ni to westchnienia, ni ziewnięcia, ni jęki, które, jeśli nawet starał się nad nimi panować, czynić je czymś zwykłym i łatwym do zniesienia, wydobywały się z jego gardła podobniejsze do wycia lub miauczenia niż do ludzkiego głosu. Mieszkańcy Ombrosy

łatwo zresztą do tych dźwięków przywykli i nawet wyrwani ze snu nie odczuwali strachu. Obracali się po prostu na drugi bok, mówiąc do siebie: „To baron szuka sobie samiczki. Niechby już znalazł i dał nam spać spokojnie”.

Czasem jakiś starzec, jeden z tych, co cierpią na bezsenność i lubią wyjrzeć oknem, skoro posłyszczą jakiś hałas, dostrzegał cień Cosima, wplątany w cienie gałęzi figowych i wyraźnie rysujący się na ziemi oblanej księżycową poświatą.

- Nie może pan zasnąć tej nocy, signoria?

- Nie mogę. Kręcę się i kręcę, a sen nie przychodzi - mówił Cosimo, zupełnie jakby leżał sobie w łóżku, z twarzą zagłębioną w poduszkę, czekając, kiedy nareszcie zaciągną mu powieki, podczas gdy w rzeczywistości siedział gdzieś na gałęzi w pozie akrobaty. - Nie wiem, co to jest ze mną dzisiaj: może to ten upał tak działa na nerwy: chyba ma się na zmianę pogody, pan też to czuje?

- Czuję, oj, czuję... Ale ja jestem stary, signoria, a pana to krew ciągnie...

- Ano, ciągnąć to ona ciągnie...

- No cóż, a może by tak pociągnęła trochę w inne miejsce, panie baronie, boć tu i tak nic takiego nie ma, co by panu mogło przynieść ulgę: sami tylko biedni ludzie, co wstają o świcie, a teraz chcieliby spać...

Cosimo nie odpowiadał, po prostu wędrował sobie dalej, do innych sadów. Umiał zawsze trzymać się słusznych granic, a ludzie ze swej strony odnosili się do jego dziwnych obyczajów z dużą wyrozumiałością; po części dlatego, że mimo wszystko był on jednak baronem, a może trochę i dlatego, że był to baron tak bardzo różny od innych.

Czasem też te kocie odgłosy, dobywające się z jego piersi, natrafiały na inne okna i inne uszy, bardziej chętne do ich słuchania. Wystarczał drobny znak - nagle zapalona świeca, stłumiony śmiech, cichy szept kobiecy w mroku; słów nie dawało się rozróżnić, mógł to być po prostu żart, chęć zakpienia sobie z niego, udawanie, że się go przyzywa - a już ten dziwoląg, skaczący po gałęziach jak zięba, brał to na serio, dla niego to już była miłość.

Czasem jakaś śmielsza osóbką ukazywała się w oknie, jakby chciała zobaczyć, co się dzieje, ciepła jeszcze ze snu, z piersią odkrytą i rozpuszczonymi włosami, błyskając białymi zębami w uśmiechu rozchylonych czerwonych warg - i nawiązywał się dialog.

- Kto tam? Kot? A on:
- Człowiek, człowiek.
- Człowiek, co miauczy?
- Ech, wzdycham.
- Czemu? Czego ci brak?
- Czegoś, co ty masz.
- Cóż to takiego?
- Przyjdź tu, to ci powiem...

Nigdy nie spotkały go ze strony mężczyzn żadne despekty, żadna próba zemsty, co świadczy, według mnie, że nie był tak znów dalece niebezpieczny. Raz tylko został w jakiś tajemniczy sposób zraniony. Wiadomość o tym rozeszła się rankiem. Cyrulik z Ombrosy musiał wdrapać się na orzech, gdzie siedział Cosimo jęcząc. Nogę miał całą naszpikowaną śrutem, tym drobnym, na wróble: trzeba było wydłubywać każdą śrucinę szczypczykami. Bolało go to, ale wydobrzył prędko. Nikt nigdy nie dowiedział się, jak się to właściwie stało: on sam twierdził, że strzelba wypaliła mu sama, kiedy nie-uważnie zaczepił nią o gałąź.

Zaczął w tym czasie pisać „Projekt konstytucji idealnego państwa, założonego na drzewach”; opisywał tam wymyśloną Republikę Drzewną, zamieszkaną przez ludzi sprawiedliwych. Rozpoczął to w formie traktatu o prawach i rządzeniu, ale w trakcie pisania wrodzona skłonność do wymyślania zawiłych historii wzięła górę i wyszła z tego mieszanina najrozmaitszych przygód, pojedynków i historyjek erotycznych - te ostatnie włączone do rozdziału mówiącego o prawie małżeńskim. Książka ta miała mieć następujący epilog: autor, założywszy państwo doskonałe na wierzchołkach drzew, kiedy zdołał już nakłonić całą ludzkość do osiedlenia się w tym

państwie, gdzie będzie można rozpocząć nowe szczęśliwe życie, schodzi na opuszczoną bezludną ziemię. Tak być miało, ale dzieło Cosima pozostało nie dokończone. Streszczenie jego posłał mój brat Diderotowi, podpisane po prostu: Cosimo Rondo, czytelnik Encyklopedii. Diderot podziękował uprzejmym bilecikiem.

Unieruchomiony na orzechowym drzewie rekonwalescent powrócił ze świeżym zapalem do poważniejszych studiów.

O tym okresie niewiele mam do powiedzenia, gdyż przypada on na czas mojej pierwszej podróży po Europie. Ukończyłem wtedy właśnie dwadzieścia jeden lat i mogłem rozporządzać dziedzictwem wedle własnego uznania, gdyż potrzeby mojego brata były znikome, nie więcej też potrzebowała nasza matka, która w ostatnich czasach bardzo się, biedaczka, posunęła. Cosimo chciał scedować na mnie prawo użytkowania całego majątku, bylebym wypłacał mu pewną stałą sumę miesięcznie, płacił podatki i czuwał w pewnej mierze nad jego interesami. Pozostawało więc tylko objąć zarząd majątku, poszukać sobie żony i pędzić spokojne, uregulowane życie, które też, mimo wielkich wstrząsów i przemian, jakie nastąpiły na przełomie stuleci, rzeczywiście dane mi było przeżyć.

Przedtem jednak pozwoliłem sobie jeszcze na trochę podróży. Między innymi byłem w Paryżu, w sam czas, żeby przypatrzeć się tryumfowi Woltera, który przybył tam pierwszy raz po wielu latach na przedstawienie jednej ze swoich tragedii. Ale nie piszę przecież własnych pamiętników, moje życie niczym nie zasłużyło sobie na to, by je opisywać: chciałem tylko powiedzieć, że w czasie tej podróży raz po raz miałem sposobność przekonywać się, jak szeroko rozprzestrzeniona była fama człowieka-drzewołaza z Ombrosy, i to wśród przedstawicieli różnych obcych narodów. W pewnym almanachu natknąłem się nawet na rycinę, pod którą widniał podpis: *„L’homme sauvage d’Ombreuse (Rep. Genoise). Vit seulement sur les arbres”*. Przedstawiony był tam jako stwór cały owłosiony, z długą brodą i równie długim ogonem, zajadający szarańczę. Rycina ta umieszczona była w rozdziale „potwory”, pomiędzy hermafrodytą a syreną.

Wobec tego rodzaju wyobrażeń strzegłem się pilnie, aby nie zdradzić się przed kimkolwiek, że ów dziki jest moim bratem. Oznajmiłem to natomiast, i to głośno, kiedy w Paryżu zdarzyło mi się brać udział w przyjęciu wydanym na cześć Woltera. Stary filo-

zof siedział w fotelu otoczony tłumem pań, wesoly jak szczygieł, a kłujący jak jeź. Usłyszawszy, że pochodzę z Ombrosy, zwrócił się do mnie: „*C'est chez vous, mon cher chevalier, qu'H y a ce iameux philosophe qui vit sur les arbres comme un singe?*”.

Na co ja, wielce pochlebiony, nie mogłem się powstrzymać i oświadczyłem:

- *Cest mon iieie, monsieur, le baron de Rondeau...*

Wolter wydał się bardzo zaskoczony, może tym, że brat owego fenomena okazał się osobą najzupełniej normalną; zaczął też zadawać mi pytania w rodzaju: „*Mais c'est pour approcher du ciel que votre Irere reste la-haut?*”.

- Mój brat twierdzi - odpowiedziałem - że kto chce dobrze widzieć ziemię, musi patrzeć na nią z pewnej odległości.

Wolterowi moja odpowiedź bardzo się podobała.

- *Jadis, c'était seulement la Nature qui creait des phenomenes vivants* - orzekł na zakończenie - *maintenant c'est la Raison.* - I stary mędrzec znów zaczął słuchać paplaniny swoich ateistycznych dewotek.

Wkrótce potem musiałem przerwać podróż i wracać do Ombrosy wezwany niepokojącą wieścią z domu. Stan zdrowia naszej matki, z dawna cierpiącej na astmę, uległ nagłemu pogorszeniu i biedaczka nie opuszczała już łóżka.

Stanąwszy w bramie willi podniosłem oczy, pewien, że zobaczę Cosima. Był rzeczywiście na wysokiej gałęzi morwy, sięgającej do samego niemal okna pokoju naszej matki. „Cosimo!” - zawołałem przyciszonym głosem. Odpowiedział wymownym gestem, mającym oznaczać, że mama czuje się nieco lepiej, stan jest jednak poważny i żebym wszedł, ale z zachowaniem ostrożności.

Pokój pogrążony był w półmroku. W łóżku oparta o cały stos poduszek, które utrzymywały ją w pozycji prawie siedzącej, mama wydała mi się wyższa niż kiedykolwiek przedtem. Zostałem przy niej naszą nieliczną służbę żeńską. Battista nie przyjechała jeszcze, ponieważ hrabiego, jej męża, który miał jej towarzyszyć, zatrzymało winobranie. Od półmroku pokoju jasno odcinało się otwarte okno, przez które widać

było Cosima w gałęziach morwy.

Nachyliłem się nad ręką matki, żeby ją ucałować. Chora poznała mnie od razu i położyła mi rękę na głowie. „O, przyjechałeś, Biagio...” Głos jej był bardzo cichy; chwilami, kiedy astma mocniej uciskała jej pierś, ledwie dosłyszalny, ale mówiła płynnie i z sensem. Uderzyło mnie jedno: zwracała się, bez różnicy, do mnie lub do Cosima, jak gdyby i on także siedział u jej wezgłowia. A Cosimo w równie naturalny sposób odpowiadał jej z drzewa.

- Jak dawno brałam lekarstwo, Cosimo?

- Ach, dopiero przed chwilą, mamó. Trzeba zaczekać, teraz nie przyniosłoby ulgi.

W pewnej chwili odezwała się: „Cosimo, daj mi cząstkę pomarańczy” - co mnie bardzo zaskoczyło. Ale jeszcze bardziej byłem zdumiony widząc, jak Cosimo wsuwa przez okno do pokoju coś w rodzaju żeglarskiego bosaka, bierze nim cząstkę pomarańczy ze stolika i podaje matce do ręki.

Zauważyłem, że we wszystkich takich drobnych rzeczach najchętniej zwracała się do niego.

- Cosimo, podaj mi szal.

I znowu on bosakiem przegarniał rzeczy rzucone na fotel, wyciągał szal i podawał jej.

- Proszę, mamó.

- Dziękuję, mój synu.

Mówiła do niego zawsze tak, jakby znajdował się o krok od niej, zauważyłem jednak, że nigdy nie prosiła go o coś, czego nie mógłby zrobić ze swego miejsca na drzewie. W takich wypadkach zwracała się do mnie albo do którejś z kobiet.

Nocą często mama nie mogła zasnąć. Cosimo czuwał nad nią przez okno, z latarką zawieszoną na gałęzi, żeby mogła go widzieć nawet w ciemności.

Rankami astma dolegała najbardziej. Jedyne, co można było zrobić, to starać się rozerwać nieco chorą. Cosimo wygrywał jej na fujarce melodyjki albo naśladował głosy

ptaków, albo łapał motyle i wpuszczał je do pokoju, albo zawieszał w oknie girlandy glicynii.

W pewien słoneczny dzień Cosimo siedział na drzewie z miseczką mydlanej wody, puszczał bańki mydlane i oddechem zapędzał je do pokoju, w kierunku łóżka chorej. Mama przyglądała się tęczowym barwom unoszących się w powietrzu baniek i mówiła: „Ach, cóż to za zabawy urządzenie!” - jak wtedy, kiedy byliśmy mali, a ona ganiła zawsze nasze wszelkie zabawy, uważając je za płocne i zbyt dziecinne. Ale teraz, może po raz pierwszy w życiu, znajdowała w zabawie przyjemność. Niektóre bańki przepływały tuż nad jej twarzą, a ona dmuchała na nie uśmiechając się, jeżeli bańka od jej dmuchnięcia pękła. Jedna bańka osiadła na jej wargach i trwała tam, nietknięta. Nachyliliśmy się w stronę chorej. Cosimo upuścił miseczkę z wodą. Matka nie żyła.

Po chwilach żałoby przychodzą prędzej czy później wydarzenia radosne; takie jest prawo życia. Po upływie roku od śmierci naszej matki zaręczyłem się z córką jednej z rodzin szlacheckich z naszych stron. Niemało trzeba było wysiłku, żeby moja narzeczona pogodziła się z myślą, że ma zamieszkać ze mną w Ombrosie: bała się mego brata. Sama myśl o tym, że jest ktoś, kto czai się w koronach drzew, śledzi przez okna wszystko, co się dzieje w domu, i pojawia się, kiedy najmniej można się go spodziewać, napęłniała ją przerażeniem, zwłaszcza że Cosima nigdy nie widziała i wyobrażała go sobie jako coś w rodzaju dzikiego Indianina. Chcąc ją od tego lęku uwolnić urządziłem obiad na świeżym powietrzu, pod drzewami, i Cosima również zaprosiłem. Cosimo siedział nad nami, na gałęzi buka, z talerzem na małym stoliczku, i przyznać trzeba, że choć nie nawykły do jedzenia w towarzystwie, zachowywał się bardzo dobrze. Moja narzeczona trochę się uspokoiła; przekonała się, że pominąwszy przebywanie na drzewach Cosimo niczym nie różni się od innych ludzi; pewna instynktowna nieufność pozostała jej jednak na zawsze.

Kiedy po ślubie zamieszkaliśmy razem w naszej willi w Ombrosie, unikała, jak tylko się dało, nie tylko rozmowy ze szwagrem, ale nawet jego widoku, mimo że on,

biedaczek, raz po raz przynosił jej bukiety kwiatów i cenne skórki zwierzęce. A kiedy zaczęły przychodzić na świat nasze dzieci, wbiła sobie w głowę, że bliskość takiego stryja może wywierać niepożądany wpływ na ich wychowanie, i nie zaznała spokoju, póki nie przywróciliśmy do stanu używalności zamku na naszych dobrach Rondo, od dawna nie zamieszkanego, i nie zaczęliśmy spędzać tam więcej czasu niż w Ombrosie, by uchronić nasze dzieci od zgubnego przykładu.

Cosimo także zaczął zdawać sobie sprawę z przemijania czasu; znać je było najbardziej po jamniku, który się starzał, nie miał już chęci przyłączać się do sfory ogarów goniących lisa, ani nie próbował absurdalnych zalecanek do suk brytanów i owczarków. Przeważnie warował, przywarty do ziemi, jakby uważał, że dla tak małego odstępu, jaki dzielił jego brzuch od ziemi, nie warto wstawać na krótkie łapki. Leżąc jak długi, od wyciągniętego prościutko ogonka aż po koniec pyszczka, u stóp drzewa, na którym znajdował się akurat Cosimo, podnosił czasem znużony wzrok na swego pana i ledwo-ledwo kiwał ogonkiem. Cosimo smutniał: poczucie mijania czasu łączyło się u niego z niezadowoleniem z własnego życia, wypełnionego przenoszeniem się z drzewa na drzewo, w górę i w dół, bez końca. Nic już nie dawało mu pełni zadowolenia - ani łowy, ani przelotne miłostki, ani książki. Sam nie wiedział, czego chce: ogarnięty szaleństwem wspinał się na najwyższe, najkruchsze czuby drzew, jak gdyby szukał jeszcze innych drzew, rosnących na szczytach tamtych, by wspinać się i tam także, coraz wyżej.

Pewnego dnia Ottimo Massimo był dziwnie jakoś niespokojny. Zdawał się wachać powiewy wiosennego wiatru. Unosił pyszczek w górę, węszył, opuszczał z powrotem w dół. Dwa czy trzy razy podniósł się, pomyszkował trochę dokoła i ułożył się na nowo pod drzewem. Ale raptem zerwał się i ruszył truchcikiem przed siebie. Dreptał powoli, raz po raz przystawał, żeby zaczerpnąć tchu. Cosimo posuwał się górą w ślad za nim.

Jamnik pobiegł dróżką przez las. Wydawało się, że dąży do jakiegoś jasno wytkniętego celu, bo choć od czasu do czasu przystawał, podlewał jakiś krzaczek i

odpoczywał chwilę z wywieszonym na zewnątrz ozorkiem, spoglądając w górę na swego pana, to wnet otrząsał się i ruszał w dalszą drogę, nie okazując ani trochę wahania. Prowadził tak Cosima w okolice, w których nigdy nie był, okolice wręcz nieznane, gdyż były to tereny łowieckie diuka Tolemaico. Diuk Tolemaico był zgrzybiałym starcem i nie polował już od Bóg wie ilu lat, ale do jego lasów żaden kłusownik nie odważał się nawet zajrzeć, gdyż straż leśna diuka była liczna i czujna, i Cosimo, który już kiedyś miał z nią do czynienia, wolał się trzymać od tych terenów z daleka. Teraz jamnik i jego pan zapuszczali się coraz głębiej na zakazany teren, ale ani jeden, ani drugi nie myśleli tropić cennej książęcej zwierzyny. Piesek biegł truchcikiem w stronę, z której dochodził go jakiś tajemny zew, a barona gnało niecierpliwe zaciekawienie, dokąd to tak dąży jego pies.

Wreszcie jamnik dobiegł do miejsca, gdzie las się kończył, a dalej widniała rozległa łąka. Na dwóch wysokich słupach kamienne lwy dzierżyły w łapach tarcze herbowe. Tutaj może miał się zaczynać park czy ogród, jakaś bardziej prywatna część dóbr rodziny Tolemaico: ale nie było nic więcej, tylko te kamienne lwy, a dalej znowu łąka, rozległa łąka o niskiej zielonej trawie. Daleko, daleko kończyła się ciemną ścianą dębów.

Niebo w tamtej stronie przesłaniała lekka powłoka chmur. Nie śpiewał tam ani jeden ptak.

Dla Cosima widok tej łąki był niemal przerażający. Jemu, który pędził życie wśród bujnej roślinności Ombrosy i przywykł do myśli, że wszędzie potrafi się swoimi drogami przedostać, dość było zobaczyć przed sobą wolną od drzew przestrzeń, pustą i nagą pod ogromnym niebem, żeby doznać zawrotu głowy.

Ottimo Massimo wbiegł na łąkę i pędził, jakby znowu poczuł się młody. Z jesionu na skraju lasu Cosimo gwizdał i wołał: „Wracaj, tu, do nogi, Ottimo Massimo! Dokąd biegiesz!?” - ale pies wcale go nie słuchał, nawet nie odwrócił głowy: pędził i pędził, po chwili widać już było tylko mały i ciemny przecinek - jego ogonek - aż

wreszcie zniknął zupełnie z oczu.

Cosimo na swoim jesionie bezradnie gryzł palce. Do samotnych wypraw i długotrwałych nieobecności jamnika od dawna był przyzwyczajony, ale teraz Ottimo Massimo zniknął na tej niedostępnej łące, jego ucieczka musiała mieć związek z objawionym przed chwilą niepokojem i Cosimo doznawał niejasnego wrażenia jakiegoś oczekiwania czegoś, co się działo tam, po drugiej stronie łąki.

Myśli te wirowały w głowie Cosima, kiedy usłyszał pod drzewem odgłos kroków. Przechodził jeden ze strażników lasu, z rękami w kieszeniach, pogwizdując. Prawdę mówiąc wyglądał dość niedbale i nieszkodliwie, zupełnie inaczej, niżby przystało na jednego z tych groźnych stróżów książęcej zwierzyny, ale jego ubiór wskazywał na niewątpliwą przynależność do służby leśnej, toteż Cosimo przypłaszczył się jak mógł do pnia. Zaraz jednak wzięła w nim górę troska o psa, zagadnął więc strażnika:

- Hej, sierżancie, nie widzieliście tu gdzieś jamnika?

Strażnik zadarł głowę do góry.

- A, to pan baron! Myśliwy, co fruwa, z psem, co się czołga! Nie, nie widziałem pańskiego jamnika. A co pan baron dziś ładnego upolował?

Cosimo poznał jednego z najzacieklejszych swoich przeciwników i powiedział:

- Ale gdzież tam, pies mi uciekł i musiałem gonić go aż tutaj... Strzelbę mam nawet nie nabiłą...

Strażnik roześmiał się. -

Och, może ją pan nabić i strzelać, ile dusza zapragnie! Teraz!

- Co, teraz?

- Teraz, kiedy książę pan umarł, kto by się tam troszczył o zwierzynę!

- A, więc umarł. Nie wiedziałem.

- Umarł i pochowany trzy miesiące temu. A teraz spierają się spadkobiercy z pierwszego i drugiego małżeństwa z nową wdówką.

- To miał jeszcze trzecią żonę?

- Ożenił się z nią po osiemdziesiątce, rok przed śmiercią; panna miała dwadzieścia jeden lat, albo i mniej, wariatwo wszystko to razem, powiadam panu, młoda żonka ani jednego dnia z nim nie przebyła, a teraz ogląda swoje posiadłości, jedną po drugiej, i żadna jej się nie podoba.

- Jak to: nie podoba się?

- Ano tak: zjeżdża do któregoś pałacu czy wiejskiej posiadłości, zjeżdża z całym swoim dworem, bo zawsze ma przy sobie chmarę darmozjadów, po trzech dniach powiada, że wszystko jest brzydkie, smutne, i jedzie gdzie indziej. Wtedy wyskakuje jak spod ziemi reszta spadkobierców, rzucają się na tę posiadłość, każdy krzyczy o swoich prawach. A ona na to: „Ależ dobrze, bierzcie to sobie!”. Teraz zjechała tutaj, do myśliwskiego pawilonu, ale jak długo tu zostanie? Ja tam myślę, że niedługo.

- Gdzież jest ten myśliwski pawilon?

- Za tą łąką, za dębami.

- Mój pies tam właśnie pobiegł...

- Pewnie poszedł poszukać sobie kości. Proszę mi wybaczyć, ale tak mi się widzi, że vossignoria trzyma go trochę o suchym pysku! - i strażnik wybuchnął śmiechem.

Cosimo nie odpowiedział. Patrzył na nieprzebytą łąkę, czekał na swego psa.

Do wieczora nie „wrócił. Nazajutrz Cosimo był znowu na jesionie od rana, wpatrując się w łąkę, jakby ten lęk, który w nim wzbudzała, stał mu się konieczny do życia.

Pod wieczór jamnik pojawił się - mały ciemny punkcik, który tylko bystry wzrok Cosima mógł dostrzec na ogromnej łące. Ale z każdą chwilą stawał się bardziej widoczny. „Ottimo Massimo! Chodź tu! Gdzie byłeś” Pies zatrzymał się, popatrzył na swego pana, pomerdał ogonkiem, zaszczekał, jakby chciał zachęcić Cosima do pójścia z nim razem, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z przestrzeni, której jego pan nie mógł przebyć. Odwracał się, robił parę niezdecydowanych kroczków, odwracał się znowu.

„Ottimo Massimo! Chodź tu, piesku!” Ale jamnik już biegł przez łąkę, już zniknął w oddali.

Trochę później przechodziło tamtędy dwóch ze straży leśnej.

- Wciąż pan czeka na swego psa, signoria! Ależ ja go widziałem w pawilonie, w dobrych rękach...

- Jak to?

- No jakże? Margrabina, chciałem powiedzieć księżna wdowa (nazywamy ją margrabina, bo margrabianką była z domu) tak go pieściła, jakby go miała od szczenięcia. Ten pies to pieczeniarsz, za przeproszeniem pańskim, signoria. Teraz znalazł sobie miękkie gniazdko, to i został...

Odeszli śmiejąc się złośliwie.

Jamnik nie wracał. Cosimo spędzał całe dni na jesionie, wpatrując się w łąkę, jakby mógł z niej wyczytać coś, o czym myśl od dawna nie dawała mu spokoju: myśl o pustce, której niczym się nie da wypełnić, o czekaniu, które może nie skończyć się nawet ze śmiercią.

Pewnego dnia Cosimo siedział jak zwykle na jesionie i patrzył. Rozbłysło nagle słońce, promień jego padł na łąkę, zmieniając jej barwę z zieleni groszkowej w szmaragdową. W ciemnej ścianie dębowego lasu coś się poruszyło i wypadł z niej koń w galopie. Koń niósł na sobie jeźdźca w czerni, w długim płaszczu. Ach, nie: to była suknia, a jeździec był amazonką, jasnowłosą amazonką, która pędziła co koń wyskoczy.

Cosimowi mocno zabiło serce. Miał nadzieję, że amazonka zbliży się na tyle,- aby mógł przyjrzeć się jej twarzy, i że ta twarz okaże się bardzo piękna. Ale poza tą jedną nadzieją - że się zbliży - i tą drugą - że jest piękna - kryła się jeszcze trzecia, utajona nadzieja, trzecia gałąź splatająca się ciasno z tamtymi: pragnienie, aby w tej coraz bardziej olśniewającej piękności odnaleźć pewne wrażenie, doznane niegdyś i prawie zapomniane, wrażenie, z którego w pamięci pozostał zaledwie mglisty zarys, cień barwy, a które chciałoby się wydobyć na nowo na powierzchnię, odnaleźć w czymś teraz istniejącym.

W tym stanie ducha Cosimo doczekać się nie mógł chwili, kiedy ona znajdzie się po tej stronie łąki, po której on się znajdował i gdzie wznosiły się słupy z lwami; ale oczekiwanie stawało się z każdą chwilą bardziej żałosne, gdyż Cosimo spostrzegł, że amazonka nie przecina łąki wzdłuż linii prostej, w kierunku lwów, ale na ukos, i lada chwila zniknąć może znowu w lesie.

Już prawie stracił ją z oczu, kiedy zatoczyła nagle koniem i teraz oto pędziła przez łąkę znowu na ukos, ale w innym kierunku, nieco bliżej wprawdzie, ale i tak mogła za chwilę zniknąć w lesie po drugiej stronie łąki.

W tejże chwili Cosimo zobaczył ku swemu niezadowoleniu, że z lasu wypadło w galopie dwóch jeźdźców na kasztanowatych koniach; ale postarał się odsunąć od siebie tę myśl, mówiąc sobie, że ci dwaj wcale się nie liczą, dość spojrzeć, jak miotają się bezładnie tu i tam w ślad za amazonką, która najwidoczniej nic sobie z nich nie robi, a może

nawet niemiła jej jest ich obecność.

Bo oto, nim zniknęła w lesie po drugiej stronie łąki, znów zatoczyła koniem i zawróciła, tym razem jednak nie przybliżając się, lecz oddalając od Cosima... Ach, nie, tym razem koń okręcił się dokoła i pogalopował w odwrotnym kierunku; zdawało się, że był to manewr zamierzony specjalnie po to, by zdezorientować obu natrętów, którzy nadal galopowali prosto przed siebie, nie spostrzegłszy wcale, że ona pędzi już w przeciwną stronę.

Teraz wszystko szło naprawdę po myśli Cosima: amazonka galopowała w pełnym słońcu, coraz piękniejsza i coraz bardziej podobna do tego, co on pragnął zobaczyć; jedyną rzeczą niepokojącą było to ciągle zawracanie w coraz innym kierunku, nie pozwalające przewidzieć, jakie są jej prawdziwe intencje. Nie rozumieli ich także owi dwaj jeźdźcy, usiłowali podążać za amazonką w jej zawiłych ewolucjach, robiąc wiele drogi niepotrzebnie, zawsze jednak pełni dobrej woli i gotowości.

Prędzej, niż mógł się Cosimo spodziewać, kobieta znalazła się na skraju łąki po jego stronie, przemknęła między dwoma słupami, na których lwy zdawały się oddawać jej honory, odwróciła się ku łące i ku wszystkiemu, co się na niej znajdowało, z gestem jak gdyby pożegnalnym, i przejechała tuż pod jesionem, tak że Cosimo doskonale widział jej twarz i całą postać wyprostowaną na siodle - była to twarz dumnej kobiety i dziewczęcia zarazem, czoło wydawało się szczęśliwe, że wznosi się nad tymi oczyma, oczy szczęśliwe, że są częścią tej twarzy, nos, usta, podbródek i szyja, każdy szczegół zdawał się radować, że stanowi część jej osoby. A wszystko to razem przywodziło na myśl dziewczynkę, którą dwunastoletni Cosimo ujrzał na huśtawce w pierwszym dniu swego życia na drzewach, dziewczynkę, która zwała się Sofonisba Viola Violante d'Ondariva.

Odkrycie to, a raczej wypowiedzenie przed samym sobą tego, co od pierwszej chwili nieświadomie wyczuwał, wprowadziło Cosima w stan uniesienia. Chciał coś zawołać, chciał, żeby spojrzała w górę i zobaczyła go, ale z krtani jego wydobył się tylko

głos bekasa i ona nie odwróciła głowy.

Teraz biały koń galopował przez gaj kasztanowy, kopyta uderzały o rozsypane po ziemi owoce w kolczastych skorupach, które pękały z trzaskiem ukazując lśniące, gładkie wnętrza. Amazonka zawracała koniem to w jedną, to w drugą stronę i kiedy Cosimpwi wydawała się daleka i niedosiężna, nagle przeskakując z drzewa na drzewo odkrywał ją migającą gdzieś pomiędzy pniami; i to, że w taki właśnie sposób jawiła się jego oczom, rozdmuchiwało w żywy płomień owo wspomnienie żarzące się w duszy Cosima. Strasznie chciał się odezwać, dać jej jakiś znak swojej obecności, ale jedyny głos, jaki mógł z siebie wydobyć, był głosem szarej kuropatwy, na który ona nie zwracała wcale uwagi.

Dwaj jeźdźcy wydawali się coraz bardziej zdezorientowani. Zwracali się w coraz innym kierunku, ale nigdy w tym właściwym; zaplątywali się w cierniowe zarośla, zapędzali w bagna, podczas gdy ona galopowała bez przeszkód i wahań, pewna siebie i nieuchwytna. Raz po raz dawała swoim towarzyszom jakieś znaki czy rozkazy, to wznosząc w górę ramię ze szpicrutą, to zrywając w pędzie strąk świętojańskiego drzewa i rzucając go za siebie, jakby wskazywała drogę. Natychmiast rzucali się we wskazanym kierunku, galopując przez łąki i przesadzając rowy, ale cóż: ona była już gdzie indziej, wcale się na nich nie oglądając.

„To ona! Ona!” - myślał Cosimo rozplamieniony nadzieją; chciał wykrzyknąć głośno swoje imię, ale z ust wychodził mu tylko przeciągły, żalony zew bekasa.

Zauważył, że wszystkie te kluczenia i zwodzenia trzymają się jednak pewnej linii, która - choć falista i nieregularna - nie była jednak pozbawiona pewnego zamierzonego kierunku. I odgadując, jaki to był kierunek, jaka intencja, a zarazem widząc zupełną niemożliwość podążania w ślad za amazonką, Cosimo powiedział sobie: „Udam się w takie miejsce, gdzie, jeżeli to jest ona, zjawi się na pewno prędzej czy później. Bo skoro jest tutaj, to nie po co innego, lecz po to, by do tego miejsca powrócić”. I powędrował, skacząc z drzewa na drzewo, do starego opuszczonego parku Ondarivów.

W jego cieniu, jego powietrzu pełnym aromatów, w tym ogrodzie, gdzie liście i kora drzew miały inną barwę i inne były w dotknięciu niż gdzie indziej, opadły go wspomnienia dzieciństwa, tak że niemal zapomniał o amazonce, a jeżeli nawet nie zapomniał, to mówił sobie, że w końcu mogła to nie być wcale ona, a tylko jego oczekiwanie, jego nadzieja były tak dalece prawdziwe, że zastąpiły niemal jej rzeczywistą obecność.

Nagle posłyszał jakiś dźwięk: to stukały na żwirze kopyta białego konia. Kroczył przez ogród, jakby amazonka chciała przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie, rozpoznać każdy dawno nie widziany szczegół. Po tamtych dwóch jeźdźcach nie było już ni znaku: widocznie udało jej się wreszcie zmylić pogonie.

Zobaczył ją: snuła się po ogrodzie, przystając to przy sadzawce, to przy pawiloniku, to przy amforach. Przyglądała się drzewom, które ogromnie się przez te lata rozrosły, luźno zwisającym w powietrzu korzeniom, magnoliom tworzącym teraz istny las. Ale jego, Cosima, nie widziała, choć starał się ją przywołać to pohukiwaniem dudka, to trylem świergotka, rozmaitymi głosami, które gubiły się w głośnym chórze ptasim rozbrzmiewającym w całym parku.

Nie siedziała już na koniu, szła, prowadząc za uzdę wierzchowca. Przed drzwiami willi puściła konia i weszła do sieni, wołając głośno: „Ortensia! Gaetano! Tarquinio! Trzeba to pomalować na biało, odlakierować żaluzje, tam pozawieszać arrasy! Tutaj chcę mieć stół, tam konsolkę, pośrodku szpinet, a te obrazy wszystkie trzeba będzie pozawieszać inaczej!”. Teraz dopiero Cosimo spostrzegł, że dom, który jego roztargnionemu spojrzeniu wydał się zamknięty i nie zamieszkały jak zawsze, był, przeciwnie, na wszystkie strony otwarty, pełen krzątających się ludzi; czyszczono wszystko, porządkowano, wietrzono, przestawiano meble, trzepano dywany. A więc Viola wróciła na dobre, chciała osiedlić się w Ombrosie, na nowo obejmowała w posiadanie willę, którą opuściła dzieckiem! Serce Cosima biło radośnie, ale radość ta miała też coś z lęku: jej powrót i to, że miałby ją widywać, taką nieobliczalną i dumną, mogło

sprawić, że Cosimo nie będzie jej już miał nawet we wspomnieniu, nie odnajdzie jej w zapachu liści i w barwie światła przenikającego przez zieleni; mogło to oznaczać, że będzie zmuszony uciekać przed nią, a tym samym uciekać od zachowanego w pamięci obrazu Violi-dziewczynki.

Tak więc z biciem serca na przemian radosnym i trwożnym Cosimo patrzył, jak ona krząta się otoczona służbą, wydając dyspozycje co do przenoszenia kanap, klawicymbałów, serwantek, to znów wychodzi szybkim krokiem do ogrodu i dosiada konia pośród gromady czekających na rozkazy ludzi, tłumaczy ogrodnikom, czym i jak mają obsadzić zaniedbane rabaty, każe wysypywać alejki świeżym żwirem, na miejsce dawnego, splukanego przez deszcze, objaśnia, jak rozmieścić wiklinowe fotele, zawiesić huśtawkę...

Okrągłym ruchem ręki wskazała konar - na którym wisiała niegdyś i gdzie miała być znowu zawieszona huśtawka - dysponując szczegółowo, jak długie mają być sznury, jak szeroki rozbieg; mówiąc to podniosła oczy na drzewo magnoliowe, na którym przed laty zobaczyła po raz pierwszy Cosima. I na tym samym drzewie magnoliowym ujrzała go teraz.

Zaskoczyło ją to. Bardzo. Trudno zaprzeczyć. Oczywiście, opanowała się szybko, przybrała, dawnym swoim zwyczajem, wyraz obojętnej pogardy, niemniej była zdumiona, śmiały jej się oczy i usta ukazując zęby takie same jak wówczas, kiedy była dzieckiem.

- To ty! - powiedziała siląc się na ton, jakim mówi się o rzeczach zwyczajnych i naturalnych, nie mogąc jednak ukryć żywego zaciekawienia: - Ach, więc jesteś tu od tamtej pory i nigdy nie zszedłeś na ziemię?

Cosimo z pewnym wysiłkiem zmienił wróbli świergot, który już-już miał się wydobyć z jego ust, w słowa: „Tak, to ja, Viola; pamiętasz?”.

- I nigdy, nigdy nie stąpnąłeś na ziemię?

- Nigdy.

Na to ona, jak gdyby już za daleko poszła w ustępstwach:

- No widzisz, udało ci się. Nie było to wcale takie trudne.

- Czekałem na twój powrót...

- Doskonale. Hej, tam, gdzie wy niesiecie tę kotarę! Zostawcie wszystko, muszę to sama obejrzeć. - Podniosła znowu oczy na drzewo magnoliowe. Cosimo był tego dnia w swoim myśliwskim rynsztunku: cały kosmaty, w kociej czapie, ze strzelbą. - Wyglądasz jak Robinson!

- Czytałaś to? - rzekł szybko, chcąc okazać, że i on jest czytany.

Ale Viola odwróciła się już:

- Gaetano! Ampelio! Suche liście! Pełno tu wszędzie suchych liści! - A do Cosima:

- Za godzinę, w głębi parku. Czekaj na mnie. - I odjechała konno, wydawać dalsze rozkazy.

Cosimo rzucił się w gęstwinię: byłby chciał, żeby była jeszcze tysiąc razy gęstsza, żeby mógł zatonać w powodzi liści, gałęzi, igieł i pnączy, i tak dopiero, zagłębiony w zielonej samotności, mógłby może zdać sobie sprawę, czy jest szczęśliwy, czy też szaleje z trwogi.

Ściskając kolanami gałąź wielkiego drzewa w najodleglejszym zakątku parku, niecierpliwie sprawdzał godzinę na ogromnej cebuli, należącej niegdyś do macierzystego dziadka, generała von Kurtewitz, i mówił sobie: nie przyjdzie. Ale donna Viola nadjechała konno, niemal punktualnie. Zatrzymała konia pod drzewem, nie spojrzawszy nawet w górę; nie miała już na sobie kapelusza ani amazonki, tylko białą ozdobioną haftem bluzkę na czarnej, zakonnej niemal spódnicy. Uniosła się w strzemionach i wyciągnęła rękę do Cosima, który pomógł jej stanąć na siodle; wciąż nie patrząc w górę chwyciła się gałęzi, wspięła się szybko na nią, rozejrzała za jakimś dogodnym rozwidleniem, usiadła. Cosimo przykucnął u jej stóp i nie potrafił zacząć rozmowy inaczej niż zapytaniem: „Wróciłaś?”.

Viola popatrzyła na niego drwiąco. Była jasnowłosa jak dawniej.

- Skąd wiesz? - odpowiedziała pytaniem.

Nie zrozumiał żartu.

- Widziałem cię na łące - odpowiedział - tam, w zwierzyńcu diuka...

- Zwierzyniec jest mój. Bodajby zarósł cały pokrzywą! Wiesz wszystko? O mnie, oczywiście?

- Nie... Dowiedziałem się teraz dopiero, że jesteś wdową...

- A tak, jestem wdową - trzepnęła dłonią w swoją czarną spódnicę, szeroko ją rozpościerając, i zaczęła mówić bardzo szybko: - Nigdy nic nie wiesz. Łazisz całymi dniami po drzewach, wściubiasz nos w cudze sprawy, a potem i tak nic nie wiesz. Poślubiłam starego Tolemaico, bo mnie do tego zmusiła rodzina, tak, zmusili mnie. Mówili, że jestem kokietka i że powinnam koniecznie mieć męża. Przez rok byłam diuszesą Tolemaico - najnudniejszy rok w moim życiu, choć ze starym nie zostałam dłużej niż tydzień. Nigdy więcej noga moja nie postanie w żadnym z tych ich zamków, tych ruder pełnych myszy, niechby się w nich węże zagnieździły! Od tej pory będę żyła tu, gdzie przebywałam jako dziecko. To znaczy, rozumie się, że będę tu mieszkała, dopóki mi się tak będzie podobało, a potem sobie odjadę; jestem przecież wdową i mogę nareszcie robić to, na co mam ochotę. Prawdę mówiąc, zawsze robiłam to, na co miałam ochotę: nawet za tego Tolemaico wyszłam, bo chciałam; nieprawda, że mnie ktoś przymuszał do tego właśnie, chcieli tylko, żebym wyszła za męża, koniecznie, a ja wybrałam ze wszystkich pretendentów najbardziej zgrzybiałego. „W ten sposób zostanę rychło wdową” - powiedziałam, no i rzeczywiście nią zostałam.

Ta lawina wiadomości i pewnych siebie twierdzeń zupełnie oszołomiła Cosima. Viola wydawała mu się dalsza niż kiedykolwiek: kokietka, wdowa i diuszesą, stanowiła część świata obcego, nieosiągalnego. Wszystkim, co zdołał z siebie wydobyć, było pytanie: - I kogóż to tak kokietowałaś?

A ona:

- Otóż to. Zazdrosny. Strzeż się, na zazdrość nigdy ci nie pozwolę.

Cosimo poderwał się gwałtownie, właśnie jak zazdrośnik sprowokowany do sprzeczki, ale zaraz się opamiętał. „Jakże to? - pomyślał. - Zazdrosny? Czyżby dopuszczała w ogóle taką myśl, że ja mógłbym być o nią zazdrosny? Dlaczego mówi: «Nigdy ci nie pozwolę»? To tak, jakby myślała, że my...”

Zaczerwieniony, wzruszony, chciał jej coś mówić, o coś pytać, usłyszeć jej odpowiedź... ale zamiast tego ona rzekła sucho:

- Teraz ty powiedz: co robiłeś?

- Och, tyle różnych rzeczy - zaczął - polowałem, nawet na dziki, ale głównie na lisy, zające, łasice, no i naturalnie drozdy i szpaki; no, i na piratów: przyплыnęli tureccy piraci, była wielka bitwa, zabili mojego stryja; no i czytałem masę książek, za siebie i za pewnego mego przyjaciela, bandytę, którego powiesili; przeczytałem całą Encyklopedię Diderota i napisałem do niego, a on mi odpisał z Paryża; robiłem jeszcze różne rzeczy, przycinałem drzewa, ratowałem lasy przed pożarem...

- ...I będziesz mnie zawsze kochał, bezwzględnie, ponad wszystko, i wszystko dla mnie uczynisz?

- Tak... - powiedział Cosimo bardzo zmieszany.

- Jesteś człowiekiem, który pędzi życie na drzewach tylko dla mnie, po to żeby nauczyć się mnie kochać...

- Tak... tak...

- Pocałuj mnie.

Przycisnął ją do pnia, ucałował. Podniósł oczy i nagle dostrzegł jej niezwykłą urodę, jak gdyby nigdy jej przedtem nie widział.

- ' Ach, jaka jesteś piękna...

- Dla ciebie - i rozpięła guziki białej bluzki. Piersi jej były młodzieńcze, z różowymi koniuszkami, zaledwie Cosimo zdążył musnąć je wargami, Viola wymknęła się i jęła wspinać z gałęzi na gałąź lekko jak na skrzydłach. On wspinał się za nią, jej spódnica trzepotała mu po twarzy.

- Ach, dokądże mnie prowadzisz? - mówiła Viola, jakby to on wiódł ją za sobą, a nie ona jego.

- Tędy. - Teraz Cosimo zaczął ją prowadzić, a przy każdym przejściu z gałęzi na gałąź brał ją za rękę albo otaczał ramieniem i pokazywał każdy następny krok.

- Tędy.

Wędrowali po oliwkach rosnących na stromym zboczu; z wierzchołka jednej z nich ujrzeni mprze, dotąd widoczne tylko w drobnych ułamkach pomiędzy listowiem, jakby potłuczone; teraz ukazało się spokojne, przejrzyste i ogromne jak niebo. Widnokrąg rozwierał się przed nimi rozległy i wysoki, błękit był gładki i czysty, bez jednego żagla; zdawało się, że można by policzyć ledwie zaznaczone zmarszczki fal. Tylko leciutki jak westchnienie ślad fali przebiegał po kamykach wybrzeża.

Z oczyma pełnymi światła, na pół oślepieni, Cosimo i Viola zagłębili się na powrót w ciemnozielony cień drzew.

- Tędy.

Na wysokim orzechu było u nasady gałęzi wgłębienie w kształcie muszli, dawny ślad siekiery, i tam urządził Cosimo jedno ze swoich schronień. Leżała tam rozciągnięta skóra dzika, obok mieściła się flaszka, parę jakichś narzędzi, miseczka.

Viola położyła się na skórze dzika.

- Przyprawdzałeś tu inne kobiety? Zawahał się. A ona:

- Jeżeliś tego nie robił, jesteś mężczyzną do niczego.

- Owszem... Zdarzało się. Wymierzyła mu policzek otwartą dłonią.

- To tak na mnie czekałeś?

Cosimo przesunął dłonią po czerwonej plamie na policzku nie wiedząc, co powiedzieć. Ale ona już się rozpogodziła.

- Jakie one były? Powiedz: jakie były? -- Nie takie jak ty, Viola, nie takie jak ty...

- A cóż ty o tym wiesz, jaka ja jestem, no, cóż ty o tym wiesz?

Stała się łagodna i uległa, a Cosimo nie mógł się nadziwić tym nagłym

przemianom. Przysunął się do niej bliżej. Była jak złoto, jak miód.

- Powiedz...

- Powiedz...

Poznali się. On poznał ją i siebie, bo tak naprawdę nic o sobie dotychczas **nie** wiedział. A ona poznała jego i siebie, bo choć samą siebie znała od dawna, to przecież nigdy nie miała pojęcia, że może być taka.

Pierwszą swą pielgrzymkę odbyli na owo drzewo, które nosiło głęboko dużymi literami wyryty w korze napis, tak już stary i zniekształcony, że nie wydawał się dziełem ręki ludzkiej: Cosimo, Viola i - niżej - Ottimo Massimo.

- Tutaj? Kto to zrobił? Kiedy?

- Ja, wtedy.

Viola była wzruszona.

- A to co znaczy? - zapytała wskazując słowa: Ottimo Massimo.

- To mój pies. A raczej twój. Jamnik.

- Turcaret?

- Ottimo Massimo, tak go nazwałem.

- Turcaret! Jakże się spłakałam, kiedy po odjeździe spostrzegłam, że nie wpakowano go do karety... Och, to, że ciebie już nie zobaczę, nic mnie nie obeszło, ale że utracę mojego jamnika!

- Gdyby nie on, nigdy bym cię nie odnalazł. To on wyczuł węchem, że jesteś blisko, i poty nie zaznał spokoju, póki nie poszedł cię szukać.

- Od razu go poznałam, kiedy zobaczyłam, jak przybiegł do pawilonu okropnie zdyszany... Ktoś powiedział: „A ten skąd się tu bierze?”. Nachyliłam się, żeby mu się przyjrzeć - obejrzałam maść, każdą plamkę. „Ależ to Turcaret! Jamnik, którego miałam tu, w Ombrosie, jako mała dziewczynka!”

Cosimo śmiał się. Ale ona nagle zmarszczyła nosek.

- Ottimo Massimo! Co za imię! Gdzieżeś wyłowił takie brzydkie imię? - Cosimo spochmurniał.

Natomiast szczęście jamnika nie miało granic. Jego stare serce, dzielone między dwoje panów, zyskało nareszcie spokój, po tylu dniach nieustannych wysiłków, jakie czynił, żeby przywabić margrabinę na skraj lasu, do jesionu, na którym czatował Cosi-

mo. To ciągnął ją za suknię, to uciekał, unosząc coś w pyszczku, pędził w stronę łąki w nadziei, że pogoni za nim. A ona: „Czegóż ty chcesz? Dokąd mnie ciagniesz? Turcaret! Przestań! Ach, jakiego niegrzecznego psa sobie znalazłam!” Ale widok pieska wydobyl z dna jej pamieci wspomnienia dzieciństwa, tęsknotę za Ombrosą. I zaraz zaczęła myśleć o przeniesieniu się z książęcego pawilonu do starej willi w egzotycznym ogrodzie.

Wróciła więc, Viola wróciła. Dla Cosima rozpoczął się najpiękniejszy okres jego życia. A i dla niej także. Uganiała się po leśnych drogach na swoim siwku, a gdy tylko dostrzegła barona gdzieś między gałęziami a niebem, unosiła się na siodle i wspinała na pnie i konary; wkrótce też nabrała takiej wprawy, że dorównała niemal jemu i nie było drzewa, na którym nie potrafiłaby go dosięgnąć.

- Och, Viola, już nie wiem, już nie wiem, dokąd mógłbym się wspiąć...

- Do mnie - mówiła Viola miękko, a on był jak oszalały.

Miłość była dla niej jakimś bohaterskim zmaganiem. Rozkosz łączyła się z próbami odwagi, wielkoduszności, determinacji i oddania, z najwyższym napięciem wszelkich sił ducha. Ich światem były drzewa - te o najbardziej powikłanych koronach, krzywe, niedostępne.

- Tam! - wykrzykiwała wskazując jakieś niedosiężne rozwidlenie gałęzi i jednocześnie rzucali się ku niemu; rozpoczynał się między nimi wyścig; zawody w akrobacji, kończące się zawsze nowym namiętym uściskiem. Kochali się zawieszani w pustce, uczepieni gałęzi, ona zdawała się na niego zlatywać jak na skrzydłach.

Zaciekłość miłosna Violi spotykała się z zaciekłością Cosima, a czasem się z nią zderzała. Cosimowi obce były zwlekania, miękkość, wszelka wyrafinowana perwersja: odpychało go wszystko, co nie było miłością naturalną. W owym czasie cnoty republikańskie były w powietrzu: nadchodziła epoka surowych zasad, a jednocześnie i rozwiązłości. Cosimo, nienasycony kochanek, był zarazem stoikiem, ascetą, purytaninem. Nieustannie goniąc za szczęściem miłosnym był jednak zawsze wrogiem

rozkoszy. Nieufnością napępniały go pocałunki, delikatne pieszczoty, miłosne słowa - wszystko, co przesłaniało prostotę natury bądź też dążyło do jej zastąpienia. Dopiero Viola odkryła mu pełnię miłosnego szczęścia. Z nią też nigdy nie odczuwał smutku po akcie miłosnym, o czym tak wiele prawią teolodzy. Napisał nawet na ten temat list filozoficzny do Jana Jakuba Rousseau, który nie odpowiedział - być może list ten zamaścił jego spokój.

Ale Viola była też kobietą wyrefinowaną, kapryśną, zepsutą, z krwi i ducha katoliczką. Miłość Cosima zaspokajała jej zmysły, ale nie fantazję. Stąd gwałtowne starcia, posępne urazy. Nigdy jednak nie trwały długo, tak urozmaicone było ich życie i otaczający ich świat.

Kiedy byli znużeni, szukali sobie schronienia w najgęstszych koronach drzew: lubili hamaki, w których ciała ich leżały zacisznie jak w zwiniętym liściu, wiszące namioty z rozwiewających się na wietrze zasłon, miękkie gniazdko wyścielone puchem. W tej dziedzinie przejawiał się niepospolity geniusz donny Violi: gdziekolwiek się znalazła, umiała stworzyć dokoła siebie zbytek i jakiś skomplikowany komfort; skomplikowany na oko, ale który ona osiągała ze zdumiewającą łatwością, gdyż taka już była, że czegokolwiek zapragnęła, musiała to widzieć natychmiast urzeczywistnione, za wszelką cenę.

W tych ich podniebnych alkowach chętnie przysiadaly rozśpiewane gile, pomiędzy zasłony wlatywały motyle w miłosnej gonitwie. W letnie popołudnia, kiedy dwoje kochanków ogarniał sen, przybiegała nieraz wiewiórka szukając czegoś do gryzienia i głaskała ich twarze przejrzystą kitką albo chwytala w zęby palce ich stóp. Zasuwali wtedy szczelniej zasłony; ale cała rodzina popielic tak długo piłowała ząbkami sufit ich altanki, aż pospadała im na głowy.

Dla nich był to czas wzajemnego odkrywania się, opowiadania sobie o swoim życiu, wypytywania.

- Czuleś się samotny?

- Brak mi było ciebie.

- Ale wobec całej reszty świata?

- Nie. Dlaczego? Miałem zawsze do czynienia z ludźmi: zrywałem owoce, przycinałem drzewa, studiowałem filozofię z preceptorem, biłem się z piratami. Czy nie tak samo jest ze wszystkimi?

- Ty jeden jesteś taki, dlatego cię kocham.

Ale Cosimo wciąż jeszcze nie potrafił dobrze zrozumieć, co Viola w nim akceptuje, a czego nie. Czasem najmniejszy drobiazg wystarczał - jakieś słowo czy ton głosu -

żeby wywołać wybuch gniewu margrabiny. Mówił na przykład: - Z Gianem z Puszczy czytałem powieści, z cavaliere robiłem projekty hydrauliczne...

- A ze mną?

- Z tobą się kochamy. Tak samo jak przycinałem drzewa, zrywałem owoce...

Milczała, nieruchoma. Zaraz więc Cosimo spostrzegł się, że rozpętał w niej gniew: oczy jej stawały się zimne jak lód.

- Dlaczego, o co chodzi, Viola, co ja takiego powiedziałem?

Ale ona była daleka, nie widziała go i nie słyszała, o sto mil od niego, z marmurową twarzą.

- Ależ, Viola, posłuchaj, dlaczego... Viola podnosiła się i zwinnie, bez jego pomocy, zaczynała schodzić z drzewa.

Cosimo nie pojmował wcale, jaki popełnił błąd, nie zdążył jeszcze o tym pomyśleć, a może wolał nie myśleć, nie rozumieć, by z większym przekonaniem móc głosić swoją niewinność: „Ależ nie, źle mnie zrozumiałaś, Viola, posłuchaj...”

Zsuwał się za nią na najniższy konar.

- Viola, nie odchodź, nie w ten sposób, Viola...

A ona mówiła coś, ale zwracając się tylko do swego konia, odwiązując wodze od drzewa. Wskakiwała na siodło i odjeżdżała.

Cosimo wpadał w rozpacz, miotał się z drzewa na drzewo. „Nie, Viola, nie! Powiedz, Viola!”

Ona jednak była już daleko. Usiłował dogonić ją skacząc z drzewa na drzewo, wołał:

„Błagam cię, Viola, kocham cię! - ale nie mógł już nigdzie jej dostrzec. Rzucał się na niepewne gałęzie ryzykownymi susami. - Viola! Viola!”

Kiedy był już pewien, że ją utracił, kiedy nie mógł powstrzymać łkania, naraz pojawiała się znowu, jechała spokojnym truchtem, nie patrząc wcale w górę.

- Popatrz, popatrz, Viola, zobacz, co robię! - i walił o pień drzewa gołą głową (miał ją, prawdę mówiąc, wyjątkowo twardą).

Nawet nie spojrzała. I znowu była już daleko.

Cosimo czekał teraz, aż wróci, przygalopuje zygzakiem przez las.

- Viola! Jestem w rozpacz! - I rzucał się w pustkę głową na dół, nogami uczepiony konara, bijąc się pięściami po głowie i twarzy. Albo też zaczynał z niszczycielską furią szarpać gałęzie, i wkrótce okryty bujną zielenią wiąz stał nagi i okaleczony, огоłony z liści jak po gradowej burzy.

Nigdy jednak nie groził, że się zabije, nie groził w ogóle niczym; takie uczuciowe szantaże nie leżały w jego naturze. Jeżeli rzeczywiście chciał coś zrobić - robił to, i dopiero wtedy o tym oznajmiał, nie wcześniej.

W pewnej chwili gniew donny Violi, równie nagle jak ją był opanował, tak też ją ni stąd, ni zowąd opuszczał. Ze wszystkich szaleństw Cosima, które, zdawało się, wcale jej nie obeszły, nagle któreś wzbudzało w niej falę współczucia i miłości. „Nie, Cosimo drogi, zaczekaj na mnie!” - i zeskakiwała z siodła, wspinała się na drzewo z pośpiechem, a w górze czekały już jego ramiona, gotowe podtrzymać ją i unieść.

Nawrót miłości był równie gwałtowny jak poprzedzająca go sprzeczka. Jedno i drugie mieszało się właściwie z sobą i Cosimo nic już nie rozumiał.

- Czemu mi sprawiasz ból?

- Bo cię kocham. Teraz on wpadał w złość.
- Nie, nie kochasz mnie! Kto kocha, pragnie dawać szczęście, nie ból.
- Kto kocha, chce miłości, tylko miłości, nawet za cenę cierpienia.
- A więc umyślnie sprawiasz mi cierpienie?
- Tak, żeby się przekonać, czy mnie kochasz.

Filozofia Cosima wzbraniała mu iść aż tak daleko.

- Cierpienie jest negatywnym stanem duszy.
- Miłość jest wszystkim.
- Z cierpieniem trzeba walczyć.
- Miłość nie wzbrania się przed niczym.
- Są rzeczy, na które nigdy się nie zgodzę.
- Owszem, zgadzasz się: bo przecież mnie kochasz i cierpisz.

Równie gwałtowne i hałaśliwe jak wybuchy rozpaczny Cosima były jego wybuchy radości. Chwilami uczucie szczęścia dochodziło w nim do tego punktu, kiedy musiał oderwać się od ukochanej i śmigać z drzewa na drzewo wielkimi susami, radosnym krzykiem głosząc uroki swojej pani.

- *Yo quiero the most wonderful puellam de todo el mundo!* Kocham najcudowniejszą dziewczynę na świecie!

Przesiadujący na ławkach w Ombrosie starzy marynarze i rozmaici nic nie mający do roboty ludzie rychło przywykli do jego nagłych pojawień się i znikania. Ni stąd, ni zowąd widziało się go skaczącego z dębu na dąb, deklamującego potężnym głosem:

- *Zu dii, zu dii, gunaiika Vo ceicando ii mio ben, En Ja isla de Jamaica Du soii jusqu'au malin!* -

albo:

- *li y a un pic where the grass grows loda de oio Take me away, lake me away, che io ci moiol*

i znikał.

Jego znajomość staro- i nowożytnych języków, choć niezbyt gruntowna, pozwalała mu na takie głośne manifestowanie swoich uczuć, a im głębsze przeżywał wzruszenia, tym mniej rozumiała stawała się jego mowa. Długo pamiętano dzień, kiedy ludność Ombrosy czciła swego świętego patrona; wszyscy zgromadzili się na rynku, były chorągwie, festony i „słup szczęścia”. Baron ukazał się nagle na pobliskim platanie, jednym z tych imponujących skoków, do jakich tylko taki świetny akrobata jak on był zdolny, przerzucił się z drzewa na słup, wspiął się na wierzchołek, wykrzyknął: „*Que viva die schone Venus posteriori* „Niech żyją piękne pośladki Wenus!” - zsunął się po namydlonym słupie prawie na sam dół, wspiął się znowu, porwał z kosza dla zwycięzcy różową, krągłą głowę sera, nowym susem przefrunął na platan i umknął, pozostawiając widzów oniemiałych ze zdumienia.

Nic tak nie uszczęśliwiała margrabiny jak tego rodzaju radosne wybuchy; wywoływały one u niej równie gwałtowne i zaborcze wybuchy miłości. Ludzie, kiedy widzieli, jak pędzi galopem z twarzą wtuloną w białą grzywę wierzchowca, domyślali się natychmiast, że jedzie na spotkanie z baronem. Także i w tych szalonych gonitwach konno wyrażał się jej zapal miłosny, ale tu już Cosimo nie mógł za nią podążać; jej namiętność do konnej jazdy, choć budziła w nim podziw, była jednak zarazem głęboko utajoną przyczyną zazdrości; bo widział, że Viola włada światem rozleglejszym niż jego świat, i rozumiał, że nigdy nie będzie mógł mieć jej wyłącznie dla siebie, zamknąć ją w granicach swego królestwa. Margrabina, ze swej strony, cierpiała może nad tym, że nie może być jednocześnie kochankami amazonką; ogarniało ją chwilami niejasne pragnienie, żeby swą miłość do Cosima przeżywać także na koniu, wspinanie się na drzewa już jej nie wystarczało, chciałaby pędzić po nich galopem na grzbiecie swego konia.

Rzeczywiście jej koń, tak wciąż uganiając po nierównościach gruntu, wspinając się stromo w górę i zsuwając w dół, stał się zwinny jak kozioł górski i Viola zachęcała go do wbiegania z rozpędu na niektóre drzewa, na przykład na stare, pochylone pnie

oliwek. Czasem udało się koniowi wbiec aż do pierwszych gałęzi, a wtedy ona uwiązywała go już nie na ziemi, lecz na oliwce. Zsiadała z konia i zostawiała go szczypiącego liście i drobne gałązki.

Kiedyś pewien znany plotkarz przechodząc przez sad oliwny spojrział w górę i zobaczył na drzewie barona z margrabiną w miłosnym uścisku. Nie omieszkał oczywiście opowiadać o tym na prawo i lewo, dodając: „I był tam z nimi, na drzewie, także biały koń!”. Ale wszyscy brali go za łgarza i nikt nie uwierzył. Jeszcze i tym razem sekret kochanków został ocalony.

XXIII

To, co przedtem opowiedziałem, dowodzi, że ombrosanie, którzy w swoim czasie nie szczędzili plotek na temat miłosnych przygód mego brata, teraz, wobec tej burzy namiętności, jaka rozpętała się, rzec można, nad ich głowami, zachowywali postawę powściągliwą i pełną respektu, jaka przystoi w obliczu czegoś, co nas przerasta. Nie znaczy to, by postępowanie margrabiny nie spotykało się z przyganą; ale przygana ta dotyczyła raczej zewnętrznych pozorów, jak owo uganianie konno na złamanie karku („Dokądże ona pędzi jak szalona?” - mówiono wiedząc przecież doskonale, że jedzie spotkać się z Cosimem) czy też to wszystko, co windowała na wierzchołki drzew. Na ogół ludzie łatwo przywykli do tych dziwactw, skłonni' traktować to jak jeszcze jedną jaśniepańską fantazję, przechodzącą w modę („Wszyscy teraz wynoszą się na drzewa: kobiety i mężczyźni. Co też jeszcze wymyślą nowego?”); nadchodził bowiem nowy duch czasu, może bardziej tolerancyjny, ale na pewno też bardziej obłudny.

Na dębie na rynku w Ombrosie rzadko kiedy widywano teraz barona; jeżeli się tam pokazał, był to znak, że Viola wyjechała. Bo teraz całymi miesiącami przebywała gdzieś daleko, doglądając swoich rozlicznych dóbr, rozrzuconych po całej niemal Europie. Tak się jednak działo, że jej wyjazdy przypadają zawsze na momenty, kiedy we wzajemnych stosunkach kochanków następowały jakieś wstrząsy - kiedy margrabina czuła urazę do Cosima, że nie pojmuje miłości tak, jak ona chciała, żeby ją pojmował. Właściwie Viola nie odjeżdżała nigdy obrażona; zawsze dochodziło przedtem do jakiegoś pojednania, on jednak podejrzewał, iż zdecydowała się na ten wyjazd dlatego, iż się nim znużyła, a on nie potrafi jej zatrzymać; może ona chce się już od niego uwolnić, może wyjazd, okres rozłąki, sposobność do przemyślenia tych spraw - może wszystko to odwiedzie ją od powrotu? Żył więc w niepokoju i tęsknocie. Próbował powrócić do swego dawnego życia i dawnych przyzwyczajzeń, polować i łowić ryby, pomagać w pracy na roli, podjąć na nowo swoje studia oraz pogawędki na rynku, jakby

nigdy nic innego nie robił (trwał w nim dumny młodzieńczy upór, nie dopuszczający myśli, że mógł poddać się jakimkolwiek cudzym wpływom), i wmawiał w siebie, że ta miłość stała się dla niego źródłem radości i dumy; ale jednocześnie spostrzegał się, że te wszystkie rzeczy przestały go obchodzić, że życie bez Violi utraciło cały smak, a myśl uparcie ucieka ku niej, ku Violi. Im silniej się starał - skoro już wydobył się z zamętu, jaki tworzyła jej obecność - opanować swoje namiętności i podporządkować je prawom rozsądku, tym silniej odczuwał pustkę, którą ona po sobie zostawiła, i gorączkowy niepokój oczekiwania. W gruncie rzeczy miłość jego była więc właśnie taka, jaką ją Viola mieć pragnęła, a nie taka, jaką on się szczyił. Zwycięstwo pozostawało po stronie kobiety, nawet jeżeli była daleko; a Cosimo, wbrew swojej woli, ostatecznie cieszył się z tego.

Nagle i niespodziewanie margrabina wracała. Na drzewach rozpoczynała się nowa pora miłości, ale i zazdrości także. Gdzie Viola była? Co robiła? Cosimo pragnął to wiedzieć, ale jednocześnie lękał się sposobu, w jaki ona odpowiadała na jego pytania - samymi wymijającymi napomknieniami, a w każdym takim napomknieniu było coś, co pobudzało podejrzliwość Cosima; z jednej strony rozumiał, że ona robi to umyślnie, żeby go dręczyć, z drugiej jednak wszystko to mogło być prawdą; w tym stanie duchowej rozterki to usiłował ukrywać swoją zazdrość, to znów pofzwał jej wybuchać z całą gwałtownością; a Viola odpowiadała na to coraz inaczej i nigdy nie można było przewidzieć jak. Czasami wydawało mu się, że jest z nim silniej niż kiedykolwiek związana, a czasem nie udawało mu się w niej rozniecić ani odrobiny żaru.

O tym, jak wyglądało naprawdę życie margrabiny podczas jej licznych podróży, my w Ombrosie nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, jako że stolice europejskie i ich plotki były od nas bardzo daleko. Ale w tym czasie odbyłem moją drugą podróż do Paryża w związku z pewnymi kontraktami (chodziło o dostawę cytryn; ostatnio u nas wielu szlachty brało się do handlu, a ja byłem jednym z pierwszych).

Pewnego wieczora w jednym z najświetniejszych paryskich salonów spotkałem

donnę Violę. Jej koafiura i toaleta były tak wymyślne i olśniewające, że jeżeli ją mimo to natychmiast poznałem, a nawet zadrzałem na jej widok, to dlatego właśnie, że była ona kobietą, której niepodobna było pomylić z jakąkolwiek inną. Odpowiedziała na mój ukłon obojętnie, ale wkrótce potem znalazła sposobność rzucenia mi na stronie, od niechcenia i nie czekając na odpowiedź, paru szybkich pytań: „Miał pan jakie wieści o swoim bracie? Wraca pan niebawem do Ombrosy? Proszę mu to dać na znak pamięci ode mnie.” To mówiąc wydobyla z za stanika jedwabną chusteczkę i wcisnęła mi ją do ręki. I wnet dała się znów otoczyć wielbicielom, których całą gromadę wszędzie za sobą prowadziła.

- Pan zna margrabinę? - zapytał mnie po cichu jeden z moich paryskich przyjaciół.

- Tylko przelotnie - odparłem i była to prawda: w czasie swoich pobytów w Ombrosie donna Viola, opętana leśnym szaleństwem Cosima, nie troszczyła się ani trochę o podtrzymywanie stosunków z sąsiadami.

- Nieczęsto taka uroda chodzi w parze z taką niespokojną naturą - mówił tamten.
- Plotkarze przypisują jej w Paryżu coraz to nowych kochanków; prowadzi z nimi podobno taką zwodniczą grę, że żaden nigdy nie śmie uważać ją za swoją, a siebie za uprzywilejowanego. Ale od czasu do czasu znika nagle na całe miesiące, mówią, że zamyka się w klasztorze, umartwia się i pokutuje za grzechy.

Z trudem powstrzymałem wybuch śmiechu słysząc, że okresy spędzane przez margrabinę na drzewach Ombrosy paryżanie tłumaczą sobie jako okresy pokuty. Równocześnie jednak zasłyszane plotki zaniepokoiły mnie; przewidywałem, że dla mojego brata nastąpią smutne czasy.

Chcąc mu oszczędzić zbyt ciężkich wstrząsów postanowiłem go częściowo przygotować, toteż zaraz po powrocie do Ombrosy poszedłem go szukać. Wypytywałem mnie szczegółowo o podróż, o nowiny z Francji, ale nic z tego, co mu mogłem opowiedzieć w materii polityki czy literatury, nie było dla niego nowością.

Na koniec wydobylem z kieszeni chusteczkę donny Violi.

- W jednym z paryskich salonów spotkałem pewną damę, która cię zna; dała mi to, żebym ci wręczył razem z pozdrowieniem od niej.

Cosimo spuścił na dół koszyk na sznurze, wciągnął chusteczkę na drzewo i przyłożył ją do twarzy, jakby chciał wdychać jej zapach.

- Ach, widziałeś ją? Jaka była? Powiedz: jaka była?

- Piękna i olśniewająca - odpowiedziałem powoli - ale mówią, że wielu nozdrzom dane jest wdychać ten aromat...

Szybkim ruchem ukrył chusteczkę na piersi, jakby się bał, że mu ją ktoś zechce wydrzeć. A potem zwrócił ku mnie czerwoną z gniewu twarz:

- A ty nie miałeś szpady, żeby wepchnąć te kłamstwa z powrotem w gardło temu, od kogo je usłyszałeś?

Zmuszony byłem wyznać, że mi to nawet przez myśl nie przeszło.

Milczał przez chwilę. Potem potrząsnął głową.

- Wszystko to kłamstwa. Ja jeden wiem, że ona jest tylko moja. - I przeskoczył na inne drzewo, potem na jeszcze dalsze, bez pożegnania. Był to jego znany mi od dawna sposób odsuwania od siebie wszystkiego, co by go mogło zmusić do wyjścia poza granice jego świata.

Od tej pory widywało się go zawsze tylko smutnego, miotającego się tu i ówdzie, nie zajętego niczym. Jeżeli czasem zdarzyło mi się usłyszeć, jak gwizdże z kosami w zawody, to jego gwizdanie brzmiało coraz posępniej, coraz bardziej nerwowo.

Margrabina przyjechała. Jak zawsze, zazdrość Cosima sprawiła jej przyjemność: trochę ją podsycala, częściowo obróciła w żart. Powróciły piękne dni miłości, mój brat był znowu szczęśliwy.

Ale teraz margrabina nie pomijała żadnej okazji, żeby wytknąć Cosimowi jego ciasne jakoby pojęcie o miłości.

- O co ci chodzi? Że jestem zazdrosny?

- Że jesteś zazdrosny, to dobrze. Ale ty chciałbyś podporządkować zazdrość rozumowi.

- Pewno: w ten sposób czynię ją bardziej skuteczną.

- Za dużo rezonujesz. Po co tyle rozprawiać o miłości?

- Żeby cię kochać jeszcze więcej. Każda rzecz, którą się czyni w zgodzie z rozumem, nabiera przez to więcej mocy.

- Żyjesz na drzewach, a rozumujesz jak notariusz chory na podagrę.

- Najzuchwalszych czynów dokonują ludzie prostego ducha.

I tak zasypywał ją maksymami, dopóki nie odjechała zagniewana. On wówczas pędził za nią zrozpaczony, rwąc włosy z głowy.

W tym czasie angielski okręt admirałski zarzucił kotwicę na redzie Ombrosy. Admirał wydał przyjęcie dla miejscowych notablów i dla oficerów innych, przebywających właśnie w naszym porcie okrętów. Margrabina była tam również i począwszy od tego wieczoru Cosimo przeżywał wszystkie udręki zazdrości. Dwóch oficerów z dwóch różnych okrętów zakochało się z miejsca w donnie Violi i zaczęło się ich obu widywać wciąż na lądzie, zalecających się do pięknej pani i prześcigających się nawzajem w okazywaniu jej swego uwielbienia. Jeden z nich służył w randze porucznika na angielskim okręcie admirałskim. Drugi był także porucznikiem, ale floty neapolitańskiej. Obaj wynajęli sobie gniade wierzchowce i przejeżdżali tam i na powrót przed tarasem margrabiny, a ilekroć się spotykali, neapolitańczyk obrzucał Anglika spojrzeniem, które powinno było obrócić go w popiół, podczas gdy spod na pół opuszczonych powiek Anglika bił wzrok twardy i ostry jak pchnięcie szpada.

A donna Viola? Czyż ta kokietka nie spędza całych dni w domu, nie ukazuje się w oknie w zalotnej matince, jak gdyby była świeżutką wdówką, która dopiero co zrzuciła żałobne welony? Cosimo nie widywał jej już na drzewach, nie słyszał tętentu mknącego w galopie białego konia i przyprawiało go to o istne szaleństwo; w końcu i on także zaczął czatować przed tarasem ukochanej, śledząc zarówno ją samą, jak obu

poruczników marynarki.

Zastanawiał się, jakiego by tu figła spletać obu rywalom, by skłonić ich do niezwłocznego powrotu na okręty; ale kiedy widział, że Viola równie łaskawie przyjmuje hołdy jednego, jak i drugiego, zaczął krzepić się nadzieją, że ona tylko bawi się kosztem ich obu, a może i jego, Cosima, na dodatek. Nie stąpiło to jednak jego czujności; gotów był wkroczyć na pierwszą oznakę z jej strony, że któregoś z wielbicieli przedkłada nad tego drugiego.

Pewnego ranka przed pałacem przejeżdża Anglik. Viola jest w oknie. Wymieniają uśmiechy. Margrabina nieznacznie upuszcza liścik. Oficer chwyta go w locie, czyta, rumieni się i skłoniwszy się odjeżdża. A więc wyznaczyła mu spotkanie! Anglik okazał się tym szczęśliwym! Cosimo przysiągł sobie, że nie da mu spokojnie doczekać wieczora. Tymczasem nadjeżdża neapolitańczyk. Viola rzuca liścik także i jemu. Oficer czyta go, podnosi do ust i całuje. Czyżby uważał się za wybrańca? Cóż więc z tamtym drugim? Którego z nich powinien Cosimo zwalczać? Niewątpliwie jednemu z nich donna Viola naznaczyła spotkanie; z drugiego zatem po prostu zażartowała sobie, swoim zwyczajem. A może zażartowała sobie z obydwu?

Co się tyczy miejsca spotkania, to podejrzania Cosima szły w kierunku pewnego pawiloniku w głębi parku. Na krótko przedtem margrabina kazała go wyporządzić i umeblować i Cosima gryzła zazdrość, bo minęły już czasy, kiedy to ona wciągała na wierzchołki drzew kotary i poduszki; teraz troszczyła się o miejsca, w których on nigdy nie miał się znaleźć. „Przypilnuję tego pawilonu” - powiedział sobie Cosimo. - Jeżeli umówiła się z którymś z poruczników, to jedynie tam.” - I zaczął się w gęstwinie indyjskiego kasztanowca.

Tuż przed zachodem słońca słychać tętent galopu. Ukazuje się neapolitańczyk. „Teraz go sprowokuję!” - myśli Cosimo i wystrzela mu z katapulty prosto w kark kulkę wiewiórczego łajna. Oficer wzdryga się, rozgląda się dokoła. Cosimo wysuwa głowę z gęstwiny i widzi za żywopłotem porucznika angielskiego, który właśnie zsiada z konia i

uwiązuje wodze do słupka. „A więc to on; tamten przejeżdżał tędy tylko przypadkowo.” I posyła wiewiórczy nabój prosto w nos przybysza.

- *Who's there?* - pyta Anglik i przelazszy przez żywopłot spotyka się twarzą w twarz z neapolitańskim kolegą, który także zsiadł z konia i także pyta: - Kto tam?

- *I beg your pardon, sir* - mówi Anglik - przepraszam, ale muszę prosić pana, byś zechciał niezwłocznie opuścić to miejsce!

- Skoro tu jestem, znaczy, że mam pełne prawo po temu - odpowiada neapolitańczyk - i to ja wzywam waćpana, by się stąd usunął!

- Żadne prawo nie może się równać z moim - Anglik na to. - Przykro mi, *I'm sorry*, ale nie radzę panu tu pozostać.

- To sprawa honoru - rzecze drugi. - Niechaj o tym świadczy moje nazwisko: Salvatore di San Cataldo di Santa Maria Capua Vetere, porucznik marynarki Obojga Sycylii!

- Sir Osbert Castlefight, trzeci tego imienia! - przedstawia się Anglik. - Kwestią mego honoru jest zmusić pana, byś ustąpił z pola.

- Nie pierwej, niż przepędzę stąd pana tą oto szpadą! - i dobywa broń z pochwy.

- Zechciej rozpocząć walkę - mówi Anglik stając w pozycji.

Biją się.

- Tego tylko pragnąłem, kolego, i nie od dziś! - mówi neapolitańczyk zadając mistrzowskie pchnięcie.

A sir Osbert parując cios:

- Od dawna miałem na oku pańskie machinacje, poruczniku, czekając na tę chwilę!

Równi sobie siłami, dwaj porucznicy marynarki wiodą walkę wedle wszelkich reguł. W chwili kiedy zaciekłość obu doszła do szczytu, w progu pawilonu ukazuje się donna Viola.

- Stójcie, w imię Boga!

- Margrabino, ten człowiek... - zaczęli jednym głosem obaj porucznicy opuszczając szpady i wskazując jeden na drugiego.

A donna Viola na to:

- Drodzy przyjaciele! Odłóżcie tę broń, proszę was o to! Czy przystoi wam tak straszyć kobietę? Ceniłam zawsze ten pawilon, jako najcichsze, najspokojniejsze miejsce w moim parku, i oto zaledwie się zdrzemnęłam, budzi mnie szczęk waszego oręża!

- Ależ, milady - mówi Anglik - czyż nie zostałem tu przez panią zaproszony?

- Przecież oczekiwała tu pani na mnie, signora... - wtrąca się neapolitańczyk.

Z ust donny Violi dobywa się śmiech lekki jak szelest ptasich skrzydełek. „Ależ tak, tak, zaprosiłam tu pana... czy może pana... Ach, cóż to się dzieje z moją głową! ...Na cóż więc czekacie? Wchodźcie, panowie, siadajcie, proszę...”

- Milady, sądziłem, że chodzi tu o zaproszenie mnie samego, tylko mnie. Łudziłem się. Pani pozwoli, że ją pożegnam.

- To samo chciałem rzec i ja, signora; i odejść.

Margrabina śmiała się.

- Ach, moi przyjaciele... moi mili przyjaciele... Taka jestem roztrzepana... Zdawało mi się, że zaprosiłam sir Osberta na jedną godzinę, a don Salvatora na inną... Nie, nie, przepraszam... na tę samą godzinę tylko w inne miejsce... Och, nie, jakżeby to było możliwe, doprawdy!... Ale teraz, skoro jesteście tu obaj, czemuż nie mielibyśmy usiąść i miło sobie porozmawiać?

Dwaj porucznicy spojrzeli po sobie, potem zwrócili wzrok na nią.

- Czy mamy tak to rozumieć, pani margrabino, że okazywała nam pani swą łaskawość po to, by sobie zadrwić z nas obu?

- Ależ dlaczego, drodzy przyjaciele? Przeciwnie, przeciwnie... Wasza wytrwała uprzejmość nie mogła pozostawić mnie obojętną... Jesteście mi obaj mili... I w tym cała bieda; gdyby mój wybór padł na wykwintnego sir Osberta, musiałabym utracić pana, namiętny don Salvatore... A znowu gdybym wybrała ognistego porucznika di San

Cataldo, musiałabym wyrzec się pana, sir! Och, czemuż... czemuż...

- Czemuż co? - zapytali jednym głosem obaj oficerowie.

Donna Viola pochylila głowę zażenowana: - Czemuż nie mogę należeć do was obu naraz?...

W koronie kasztanowca rozległ się gwałtowny szelest. Cosimo nie był w stanie dłużej panować nad sobą.

Ale dwaj porucznicy byli zbyt wzburzeni, żeby cokolwiek słyszeć. Obaj jednocześnie cofnęli się o krok.

- Co to to nie, signora. Margrabina uniosła twarz rozjaśnioną najpromienniejszym ze swoich uśmiechów.

- A więc będę należała do tego z was, który pierwszy, w dowód miłości, oświadczy gotowość podzielenia mnie z rywalem!

- Signora... - Milady...

I obaj porucznicy, złożwszy Violi chłodny ukłon pożegnalny, zwrócili się twarzami

'do siebie, wyciągnęli do siebie prawice, uścisnęli je.

- *I was sure you were a gentleman, signor Cataldo* - rzekł Anglik.

- Ani ja nie wątpię w pański honor, mister Osberto - odparł neapolitańczyk.

Odwrócili się tyłem do margrabiny i ruszyli ku swoim koniom.

- Przyjaciele moi... Po cóż taka obraza? Ach, głuptasy... - mówiła margrabina, ale obaj oficerowie kładli już nogę w strzemię.

Na tę chwilę Cosimo czekał od dawna, zawczasu rozkoszując się słodkim smakiem zemsty, którą zgotował rywalom: zaraz spotkać miała ich obu nader bolesna niespodzianka. Tylko że teraz, na widok ich męskiej postawy i nauczki, jaką dali margrabinie, Cosimo poczuł się raptem całkowicie z nimi pogodzony. Za późno! Teraz już narzędzia straszliwej zemsty nie można było usunąć. Sekunda wystarczyła, by Cosimo powziął wspaniałomyślną decyzję:

- Stać! - krzyknął z wysokości drzewa. - Nie wsiadać!

Obaj oficerowie żywo podnieśli głowy.

- *What are you doing up there*, co pan tam robi? Jak pan śmie? *Come down*, proszę zejść!

Rozległ się śmiech donny Violi, jeden z tych śmiechów brzmiących jak szelest skrzydełek.

Byłem pewny, że pan jest dżentelmenem, panie Cataldo.

Tamci dwaj zaniepokoiли się. Był więc ktoś trzeci, kto najwidoczniej asystował przy całej tej scenie. Sytuacja coraz bardziej się gmatwała.

- *In any way*, cokolwiek się zdarzy - powiedzieli sobie - my dwaj pozostajemy solidarni!

- Na nasz honor!

- Żaden z nas dwóch nie zgodzi się dzielić milady z nikim!

- Nigdy w życiu!

- Gdyby jednak któryś z nas zdecydował się przystać...

- W takim razie, zawsze solidarni! Przystaniemy obaj!

- Zgoda! A teraz w drogę!

Słyszając ten dialog Cosimo gryzł palce z wściekłości i nie mógł sobie darować, że przed chwilą chciał zaniechać zemsty. „Niechże się dokona, skoro tak!” i cofnął się w gęstwinę gałęzi. Dwaj oficerowie skoczyli na siodła. „Teraz wrzasną” - pomyślał Cosimo i odruchowo przycisnął ręce do uszu. Rozległ się podwójny okrzyk. Porucznicy usiedli na jeźach ukrytych pod czaprakiem.

- Zdrada! - krzyczeli i błyskawicznie znaleźli się na ziemi, podskakując, wijąc się i skręcając dokoła własnej osi; wyglądali tak, jakby zamierzali rzucić się na margrabinę.

Ale donna Viola, bardziej niż oni oburzona, krzyknęła, zadarłszy głowę w górę, ku koronie drzewa: „Ty mało złośliwa, ty potworze!” - i tak szybko wdrapała się na kasztanowiec, znikając w jego gałęziach, że obu oficerom wydało się, jakby ją ziemia

pochłonęła.

W koronie drzewa Viola znalazła się twarzą w twarz z Cosimem. Patrzeli na siebie płonącym z gniewu wzrokiem, a gniew ten przydawał im obojgu jakiejś szczególnej archanielskiej czystości. Zdawało się, że za chwilę rozszarpią się na strzępy, kiedy ona wykrzyknęła nagle:

- O mój najdroższy! Takim, takim cię mieć pragnę: zazdrosny, nieubłagany!

Zarzuciła mu ręce na szyję, uścisnęli się i Cosimo nic już nie pamiętał.

Nagle zakołysała się w jego ramionach, odsunęła twarz od jego twarzy; chwilę jakby się nad czymś zastanawiała, a potem rzekła:

- A jednak, ci dwaj, widziałeś, jak oni mnie kochają? Są nawet gotowi dzielić się mną między sobą...

Cosimo uczynił ruch, jakby chciał się na nią rzucić. Ale powstrzymał się, skoczył na wyższą gałąź, zaczął targać i gryźć gałązki, mocno walnął głową o pień: „Wstrętne robaki...!”.

Viola odsunęła się, z twarzą zimną i nieruchomą jak twarz posągu.

- Wiele mógłbyś się od nich nauczyć. - Odwróciła się, zsunęła szybko z drzewa.

Tymczasem dwaj przyjaciele, puściwszy w niepamięć dawne zwady, zabrali się do cierpliwego wyciągania sobie nawzajem igieł jeża. Przerwała im to zajęcie donna Viola.

- Żywo! Wsiadajcie obaj do mojej karety! - Zniknęli wszyscy troje za pawilonem, kareta ruszyła. Cosimo został na indyjskim kasztanowcu kryjąc twarz w dłoniach.

Zaczął się dla niego okres udreki, ale nie tylko dla niego: dla obu byłych rywali także. A Viola, czy mogłaby nazwać ten okres szczęśliwym? Sądzę, że margrabina dręczyła innych dlatego, że samą siebie chciała udreć. Dwaj szlachetni oficerowie wałęsali się wciąż, nierozłączni, pod jej oknami, bądź emablowali ją w jej salonie, bądź też przesiadywali we dwóch w oberży. Ona zwodziła ich obu, domagała się coraz to nowych dowodów miłości, a oni za każdym razem oświadczała, że są gotowi na

wszystko, zgadzali się dzielić ją nie tylko pomiędzy sobą, ale i z innymi, a raz stąpiwszy na zdradziecką pochyłość ustępstw, staczali się coraz niżej i nie umieli się już w tym staczaniu zatrzymać, podnieceni wciąż nadzieją, że kiedyś zdołają wzruszyć ją tak bardzo, że na koniec spełni swoją obietnicę; każdy z nich czuł się związany paktem solidarności z rywalem, a jednocześnie obu żarła zazdrość i nadzieja, że jednak może on właśnie zostanie zwycięzcą, przy tym zaś dręczyła ich świadomość ponizenia, w jakie popadali coraz głębiej i głębiej. Po każdej kolejnej deklaracji, wydartej nieszczęsnym oficerom, Viola dosiadała konia i jechała oznajmić o tym Cosimowi.

- Wiesz, Anglik gotów jest zrobić to czy tamto... a neapolitańczyk także... - wołała wypatrzywszy go gdzieś ponuro tkwiącego wśród gałęzi.

Cosimo nie odpowiadał.

- To jest miłość absolutna - nalegała.

- Absolutna ohyda, wszyscy jesteście ohydni! - wrzeszczał Cosimo znikając w gęstwinie.

Taka to okrutna była teraz ich miłość. I nie widzieli drogi wyjścia.

Angielski okręt admirałski gotował się do odjazdu.

- Pan zostaje, oczywiście? - powiedziała Viola do sir Osberta. I sir Osbert nie stawiał się na okręcie; uznano go za dezertera. Solidarność i duch współzawodnictwa kazały don Salvatorowi zdezerterować także.

- Obaj zdezerterowali! - oznajmiła tryumfalnie Viola Cosimowi. - Dla mnie! A ty...

- A ja??? - ryknął Cosimo z tak dzikim spojrzeniem, że nie powiedziała więcej ani słowa.

Sir Osbert i Salvatore di San Cataldo, dezertery marynarki królewskiej, spędzali czas w oberży, całymi dniami grając w kości, bladzi, niespokojni, zrzucając na siebie wzajem odpowiedzialność. Viola zaś była niezadowolona z siebie i ze wszystkiego dokoła.

Wzięła konia, ruszyła do lasu. Znalazła Cosima na dębie. Zatrzymała konia pod

drzewem, na skraju łąki.

- Jestem zmęczona.

- Nimi?

- Wami wszystkimi.

- Aha.

- Tamci dwaj dali mi dowody największej, jaka może być, miłości...

Cosimo splunął.

- ...Ale to mi nie wystarcza. Cosimo popatrzył na nią.

A ona:

- Nie sądzisz, że miłość to oddanie bezwzględne, absolutne, wyrzeczenie się siebie...

Była tuż, na łące, piękna jak nigdy i tak niewiele byłoby potrzeba, aby stopniał ten chłód, który ścinał jej rysy, rozwiła się jej wyniosłość i by znalazła się znowu w jego ramionach... Wystarczyłoby, żeby Cosimo jakimkolwiek słowem jej dopomógł, żeby poprosił: „Powiedz, co mam uczynić, jestem gotowy...” - a wróciłoby szczęście, szczęście przebywania razem, szczęście nie przyćmione niczym. Ale on powiedział: „Nie może istnieć miłość tam, gdzie człowiek nie jest sobą, zupełnie i ze wszystkich sił”.

Viola poruszyła się gniewnie, ale prócz gniewu było w tym ruchu znużenie. Lecz i teraz jeszcze gotowa była go zrozumieć, właściwie rozumiała go, miała już na ustach słowa: „Jesteś taki, jakim cię pragnę...” - i już gotowa była wspiąć się do niego na drzewo... Ale przygryzła usta i rzekła: „Bądź więc sobą, ale sam, wobec tego”.

„Ależ w takim razie być sobą nie ma żadnego sensu...” - oto co chciał wykrzyknąć Cosimo. Zamiast tego jednak powiedział: „Skoro wolisz tamte dwa robaki...”

- Nie wolno ci obrażać moich przyjaciół!- krzyknęła, ale i teraz jeszcze myślała: „Mnie obchodzisz tylko ty jeden, tylko dla ciebie robię to wszystko, co robię!”

- Oczywiście, tylko mnie można obrażać...

- Nie ciebie! Twój sposób myślenia!

- Ja i mój sposób myślenia to jedno.

- W takim razie żegnaj. Dziś wieczór wyjadę. Nie zobaczysz mnie więcej...

Pogalopowała do willi, kazała pakować rzeczy nie zawiadamiając nawet poruczników. Dotrzymała słowa. Nie wróciła nigdy do Ombrosy. Udała się do Francji, a kiedy przyszła chwila, że niczego tak nie pragnęła jak wrócić - wypadki historyczne spiętrzyły się na przekór jej pragnieniu. Wybuchła wielka rewolucja, potem wojna. Margrabina, wciągnięta od początku w nowy bieg wydarzeń (przebywała w otoczeniu Lafayette'a), wyemigrowała do Belgii, a stamtąd do Anglii. W londyńskiej mgle, w ciągu długich lat wojny z Napoleonem, śniła o drzewach Ombrosy. Wreszcie wyszła powtórnie za mąż za pewnego lorda związanego interesami z Kompanią Indyjską i osiadła z nim w Kalkucie. Z tarasu swego domu patrzyła na lasy, na drzewa dziwniejsze jeszcze aniżeli drzewa w ogrodzie jej dzieciństwa, i raz po raz wydawało jej się, że dostrzega Cosima, jak zbliża się ku niej rozgarniając przed sobą gęstwinę liści. Ale to był tylko cień małpy albo jaguara.

Sir Osbert Castlefight i Salvatore di San Cataldo pozostali złączeni na śmierć : życie i obaj obrali karierę awanturników. Widywano ich to w domach gry w Wenecji, to na wydziale teologicznym w Getyndze, to w Petersburgu , na dworze Katarzyny II, wreszcie ślad po nich zaginął.

Cosimo długo wałęsał się po lasach płaczący, obdarty, nic nie jedząc. Płakał na cały głos jak niemowlę, a ptaki, które dawniej zrywały się do lotu, gdy zbliżał się ten niechybny strzelec, teraz siadały spokojnie na drzewach dokoła niego, przelatowały tuż nad jego głową, wróble wrzeszczały głośno, szczygły wydawały radosne trele, gruchały turkawki, śpiewały drozdy, zięby i sikorki; z dziupli i norek wychodziły wiewiórki, popielice i myszy polne, dołączając do ptasiego chóru swoje piski - i tak to mój brat poruszał się otoczony chmurą leśnych głosów.

Potem przyszedł okres niszycielskiej pasji: obdzierał z liści drzewo za drzewem

zaczynając od wierzchołka i schodząc coraz niżej i zostawiał je ogołoczone jak w zimie, nawet te wiecznie zielone. A potem jeszcze sięgał końców każdej po kolei gałęzi i obłamywał drobne gałązki, póki nie zostały same okaleczone kikuty; i znowu wracał na wierzchołek, nożem zdzierając korę. Strach było patrzeć na te drzewa, na ich białe, żałosne rany.

W tej furii przejawiała się nie tyle uraza do Violi, ile żal, że ją utracił, że nie umiał przywiązać jej do siebie, że zranił ją swoją niesprawiedliwą, głupią pychą. Gdyż ona - teraz dopiero to zrozumiał - była zawsze wierna, a kiedy prowadziła za sobą tamtych dwóch, oznaczało to niewątpliwie, że tylko jego, Cosima, uważa za godnego, żeby był jej jedynym kochankiem; a wszystkie jej dziwaczne kaprysy były wyrazem nigdy nie zaspokojonego pragnienia, żeby ich miłość rosła wciąż i rosła, nigdy nie osiągając krańcowego punktu; on zaś nic z tego nie potrafił zrozumieć i tak bardzo ją rozgniewał, że go porzuciła.

Przez szereg tygodni nie wyjrzał z lasu, żyjąc tak samotnie, jak nigdy dotychczas; nie miał nawet swego psa, bo Viola zabrała go z sobą. I kiedy wreszcie zaczął się znów pojawiać w Ombrosie, był bardzo zmieniony. Nawet ja nie mogłem łudzić się dłużej: tym razem Cosimo naprawdę oszalał.

W Ombrosie zawsze mówiono o Cosimie, że jest szalony; mówiono tak już od czasu, kiedy jako dwunastoletni chłopiec wlaźł na drzewo i oświadczył, że nigdy nie zejdzie. Ale później, jak to nieraz bywa, to jego szaleństwo zostało przez wszystkich w jakiś sposób zaakceptowane; dotyczy to nie tylko samego przebywania na drzewach, ale również innych dziwactw jego charakteru, do których wszyscy przywykli traktując Cosima po prostu jako oryginała. Później, w pełnym rozkwicie jego miłości do Violi, przyszła kolej na owe recytacje w niezrozumiałym języku; zgorzenie wywołał zwłaszcza jeden taki występ, podczas uroczystości w dzień świętego patrona Ombrosy; recytacje Cosima wydały się niektórym bluźniercze, jego okrzyki uznano za hasła heretyckie, ich język - za mowę kartagińskich pelagianów, a może za deklarację socyniańską wygłaszaną po polsku. Od tego czasu coraz częściej wypowiadał ktoś głośno przekonanie, że baron oszalał, a ludzie dobrze myślący zastanawiali się tylko, czy mógł oszaleć ktoś, kto zawsze był szalony?

Teraz jednak mój brat, obiekt tych różnorodnych sądów, oszalał naprawdę i o ile dawniej chodził odziany od stóp do głów w skóry zwierzęce, to teraz zaczął przyozdabiać głowę piórami, jak pierwotne ludy Ameryki, barwnymi piórami dudka czy dzwońca; nosił je nie tylko na głowie, ale także tu i ówdzie na ubraniu. Z czasem zaczął sobie sporządzać odzież całą okrytą piórami i naśladować zwyczaje niektórych ptaków, na przykład dzięciołów: wydłubywał spod kory pędraki i larwy i zachwalał je jako coś znakomitego.

Wygłaszał też pochwały ptaków zwracając się do ludzi, którzy gromadzili się pod drzewami, by go posłuchać i pośmiać się z niego; z myśliwca stał się obrońcą ptactwa i sam siebie nazywał to sikorą, to puszczykiem, to gilem, odpowiednio się przystrajając, i wygłaszał mowy oskarżycielskie pod adresem ludzi, którzy nie widzą w swej ślepotcie, że ptaki to ich najlepsi przyjaciele; były to właściwie mowy oskarżające, pod

płaszczykiem paraboli, całą ludzką społeczność. Same ptaki także zorientowały się w przemianie charakteru Cosima; zbliżały się teraz do niego bez obawy, nawet jeżeli pod drzewem zgromadzili się słuchacze. Mógł więc ilustrować swoje przemowy żywymi przykładami, które przysiadły na gałązkach dokoła niego.

Wśród ombrosańskich myśliwych wiele mówiło się o tym, żeby wykorzystać ten dar

Cosima, używając go na wabia, nikt jednak nigdy nie ośmielał się strzelać do ptaków, ufnie siadających w jego pobliżu. Gdyż baron, mimo swej obecnej żalostnej postaci, mimo obłąkania, budził wciąż jeszcze pewien respekt. Żartowano sobie z niego i nieraz pod drzewami uganiały się za nim, szydząc, całe gromady wyrostków i dorosłych próżniaków - a przecież mimo wszystko szanowano go i słuchano zawsze z uwagą.

Jego ulubione drzewa obwieszane były zapisanymi arkuszami papieru, tabliczkami, na których widniały maksymy zaczerpnięte z Seneki i Shaftesbury'ego, i najrozmaitszymi dziwnymi ozdobami, jak pąki piór, świece kościelne, sierpy, szczegóły kobiecego stroju, pistolety, wagi - wszystko powiązane z sobą, rozmieszczone z pewnym ładem. Ludzie z Ombrosy spędzali długie godziny przypatrując się tym przedmiotom i usiłując odgadnąć znaczenie owych dziwnych rebusów: szlachta, papież, cnota, wojna; ja zresztą myślę, że najczęściej żadnego takiego sensu w sobie nie kryły, miały tylko pobudzać ludzi do myślenia i ukazywać im, że nawet niepowседневne i nie utarte myśli mogą być słuszne.

Cosimo zabrał się też do pisania pewnego rodzaju szkiców przyrodniczych, jak „Śpiew kosa”, „Dzięcioł puka”, „Dialogi sów”, które rozdawał ludziom do czytania. Bo właśnie w tym okresie szaleństwa Cosimo nauczył się drukarstwa i zaczął drukować różne broszury czy gazetki (między innymi „Gazetę Srok”), a następnie połączył je pod wspólnym tytułem „Monitor Dwunożnych”. Na rozłożystym orzechu urządził sobie cały warsztat - ramę, prasę drukarską, kasztę z czcionkami, butlę atramentu - i po całych

dniach składał teksty i odbijał. Zdarzało się, że pomiędzy ramę a papier dostał się pająk czy motyl i kształt jego odciskał się na zadrukowanej karcie; albo popielica skoczyła na nie obeschły druk i zamazała wszystko ogonem; czasem też łakoma wiewiórka chwyciła którąś z czcionek i zaniósła do swej dziupli myśląc, że to coś do jedzenia; zdarzało się to na przykład z literą Q, której okrągły kształt zaopatrzonej w ogonek upodabnia ją do owocu, i Cosimo, który lubił zaczynać swoje artykuły od słowa „Quando”, czy „Quantunque”, musiał je pisać „Quando” i „Cuantunque”.

Wszystko to pięknie, ja jednak wciąż miałem wrażenie, że mój brat nie tylko jest obłąkany, ale także po trochu idiociej, a to rzecz niepomernie bardziej bolesna, gdyż szaleństwo jest bądź co bądź wybuchem pewnej siły natury, w złym czy dobrym, podczas gdy zidiocenie znamionuje tejże natury słabość.

Zimą rzeczywiście zapadł w rodzaj letargu. Przebywał wciąż w swoim grubo wyścielonym worku, zawieszonym u nasady konara, wystawiając na zewnątrz samą tylko głowę, niczym pisklę w gniazdku. Co najwyżej, w najcieplejszej porze dnia w paru susach przedostawał się na olchę rosnącą nad potokiem Merdanzo, żeby załatwić tam swoje potrzeby.

Siedząc w swoim worze trochę czytał (kiedy było ciemno, zapalał oliwny kagamek), a poza tym mrucał coś do siebie albo podśpiewywał. Ale większość czasu po prostu przesypiał.

Co się tyczy jedzenia, to miał on zawsze jakieś swoje tajemne zapasy, ale chętnie przyjmował talerz zupy czy makaronu, ilekroć jakaś poczciwa dusza zaniósła mu go wspiąwszy się na drzewo po drabinie. Z czasem zrodził się wśród prostych ludzi pewnego rodzaju zabobon, jakoby składanie darów baronowi przynosiło szczęście; świadczy to, że osoba jego wzbudzała w ludziach lęk albo życzliwość - ja sądzę raczej, że to drugie. Fakt, że dziedzic naszego baronowskiego tytułu żyje z jałmużny, był mi wielce niemiły; zwłaszcza kiedy sobie myślałem, co by na to powiedział nasz nieboszczyk ojciec. Co do mnie, do tej pory nie miałem sobie nic do wyrzucenia, gdyż

mój brat zawsze okazywał całkowitą pogardę dla domowych dostatków i dawno już spisał dokument zwalniający mnie z wszelkich wobec niego zobowiązań, wyjąwszy niewielką rentę, którą obracał przeważnie na zakup książek. Ale teraz widząc, że nie może sam sobie zdobywać jedzenia, raz na próbę posłałem do niego, po drabinie, jednego z naszych lokajów w liberii z ćwiartką indyka i kielichem burgunda na tacy. Przypuszczałem, że odmówi wiedziony jakąś swoją niepojętą a zasadniczą racją, on jednak przyjął poczęstunek bardzo chętnie, odtąd więc stale posyłałiśmy - chyba żeśmy czasem zapomnieli - część naszych potraw na drzewo dla Cosima.

W sumie wzięwszy, był to żałosny upadek. Ratunkiem okazało się najście wilków, podczas którego Cosimo objawił na nowo swoje dawne najcenniejsze zalety. Zima była ostra, śniegi spadły nawet w naszych lasach. Stada wilków, wygnane głodem z Alp, pojawiły się na naszym wybrzeżu. Pierwszy natknął się na nie któryś z gajowych i przerażony przyniósł tę groźną nowinę do Ombrosy. Ludność miejscowa, która od czasu do czasu owego pamiętnego lata pożarów nauczyła się w chwilach niebezpieczeństwa działać wspólnymi siłami, zorganizowała strażę dokoła miasta, aby nie dopuścić do niego zgłodniałych bestii. Ale poza miasto nikt nie odważał się wyjść, zwłaszcza nocą.

- Szkoda, że baron nie jest już ten, co dawniej! - mówiono w Ombrosie.

Ta ostra zima nie pozostała bez wpływu na stan zdrowia mojego brata. Tkwił wciąż skulony w swoim wiszącym worze jak larwa w oprzędzie, z wieczną kapką u nosa, wydawał się głuchy i jakiś opuchły. Kiedy zaczęło grozić najście wilków, ludzie przechodząc pod drzewem zagadywali go wzdychając: „Ach, baronie, żeby to było dawniej, trzymałbyś straż przed wilkami na swoich wysokich drzewach, a teraz my musimy strzec siebie i ciebie”.

A on tkwił nieruchomo, z przymkniętymi oczyma, jakby nie rozumiał, co mówią, albo jakby nic, go nie obchodziło. Aż tu nagle podniósł głowę, pociągnął nosem i przemówił ochryple: „Owce. Do polowania na wilki. Umieścić owce na drzewach.

Związane". Ludzie gromadzili się pod drzewem, ciekawi, jakie znów obłąkane rady będzie im dawał, ale on wygramolił się z worka sapiąc i kichając; powiedział: „Pokażę wam gdzie” - i ruszył na wędrówkę po drzewach.

Z namysłem, starannie, wybrał pewną ilość dębów i orzechów, zarówno w lesie jak na terenach uprawnych, kazał przynieść tyleż owiec albo jagniąt i poprzywiązywał je, żywe i beczące, własnoręcznie na drzewach, tak żeby nie mogły pospadać na ziemię. Na każdym z tych drzew umieścił strzelbę z kulą w lufie. Sam przebrał się także za owcę: czapa, kubrak, spodnie - wszystko z kędzierzawych owczych skór. I z zapadnięciem nocy zaczął stróżować na drzewach. Powszechnie uznano to za największe z jego dotychczasowych szaleństw.

A właśnie tej nocy wilki nadeszły. Zwęszywszy zapach owcy, słysząc jej beczenie, a wreszcie widząc ją wysoko wśród gałęzi, stado wilków zatrzymywało się u stóp drzewa z wściekłym ujadaniem, szeroko rozwierając zgłodniałe paszcze i wspinając się przednimi łapami na pień drzewa. Wówczas, skacząc z gałęzi na gałąź, zbliżał się Cosimo, a wilki na widok tej dziwnej postaci, ni to owcy, ni człowieka, poruszającej się w górze niczym ptak, nieruchomiały ze zdumienia, z rozwartymi paszczami. I wtedy - bum! bum! - dwa wilki dostawały kulę prosto w gardziel. Dwa: bo jedną strzelbę Cosimo nosił zawsze z sobą (i natychmiast nabijał na nowo), druga zaś czekała z kulą w lufie na każdym z wybranych drzew. Za każdym więc razem dwa wilki pozostawały martwe na zmarzniętej ziemi. Cosimo wytepił ich w ten sposób wiele, a za każdym razem stado rozpraszało się, przerażone, myśliwi zaś, którzy zaraz nadbiegali tam, skąd słychać było strzały i wycie, dokonywali reszty.

Różne epizody tej wojny z wilkami opowiadał później Cosimo w bardzo rozmaitych wersjach i nie wiem, które z nich były prawdziwe. Na przykład: „Bitwa przebiegała pomyślnie, ale kiedy przedostałem się na ostatnie z kolei drzewo z przywiązaną owcą, natknąłem się tam na trzy wilki, którym udało się wspiąć na gałęzie i właśnie kończyły owcę pożerać. Na pół oślepy i zamroczony wskutek silnej gorączki,

wlazłem niemal wilkom w paszcze, zanim je dostrzegłem. Bestie, na widok tej nowej owcy, idącej na tylnych nogach po konarze, zwróciły ku niej swoje zakrwawione, rozwarte pyski.

Strzelbę miałem nie nabitą, bo w tej strzelaninie zużyłem cały zapas prochu, a tej, która była na drzewie, nie mogłem dosięgnąć, bo między mną a strzelbą były wilki. Stałem na gałęzi niezbyt grubej, ale nad sobą, w zasięgu ramion, miałem inną, mocniejszą gałąź. Zacząłem przesuwając się ku tyłowi, powoli oddalając się od pnia. Jeden z wilków ruszył w ślad za mną. Trzymałem się mocno rękami górnej gałęzi, a nogami lekko dotykałem tej dolnej, udając tylko, że po niej idę. Wilk dał się oszukać, posuwał się naprzód, gałąź ugięła się coraz bardziej pod jego ciężarem, nagle ja skokiem przeniosłem się na górną gałąź, a wilk spadł, ledwie zdążywszy szczeknąć po psiemu, i po-gruchotał sobie kości o twardą zmarzniętą ziemię”.

- A tamte dwa?

- ...Tamte dwa przyglądały mi się nieruchomo. Ściągnąłem z siebie kaptur i kubrak z owczej skóry i rzuciłem im. Jeden z wilków, widząc tę lecącą z góry zjawę owcy, próbował chwycić ją zębami; ale przygotowany był na duży ciężar, a to była przecież tylko pusta skóra; zachwiał się, stracił równowagę i zwałił się tak samo jak ten pierwszy, łamiąc łapy i kark.

- Został jeszcze jeden...

- ...Tak, został jeszcze jeden, ale ponieważ zrzucając kubrak nagle pozbyłem się ciepłego ubrania, zebrało mi się na potężne kichnięcie, z tych, co to od nich aż niebo się trzęsie. Na ten niespodziewany i nieznaną odgłos wilk tak mocno drgnął, że także stracił równowagę i zleciał na złamanie karku w ślad za tamtymi dwoma.

Tak to mój brat opowiadał o owej nocy wielkiej bitwy z wilkami. Jedno jest pewne, że będąc już i przedtem mocno przeziębiony nabawił się wówczas ciężkiej choroby. Przez kilka dni był między życiem i śmiercią, a leczono go na koszt gminy, w dowód wdzięczności ze strony miasta. Leżał w wygodnym hamaku, a na

przystawionych do drzewa drabinach wciąż kręcili się, to w górę, to w dół, doktorzy. Zwołano na konsylium najlepszych okolicznych lekarzy, jeden robił mu lewatywę, drugi puszczał krew, ten przykładał synapizmy, ów zmieniał kompresy. Nikt już nie nazywał barona di Rondo szaleńcem, przeciwnie, głoszono jego chwałę jako jednego z najświetlejszych umysłów stulecia.

Tak było, dopóki chorował. Kiedy wrócił do zdrowia, jedni mówili, że jest rozumny jak dawniej, inni, że jest i zawsze był wariatem. Faktem jest, że żadnych dziwactw już nie wyprawiał. I nadal drukował tygodnik, już nie pod tytułem „Monitor Dwunożnych”, lecz „Kręgowiec Rozumny”.

XXV

Nie wiem, czy w owym czasie istniała już w Ombrosie loża wolnomularska: zostałem przyjęty do masonerii w wiele lat później, po pierwszej kampanii napoleońskiej, jednocześnie ze znaczną częścią zamożniejszego mieszczaństwa i drobnej szlachty z naszych stron, nie umiem więc powiedzieć, jakie były początkowo stosunki mego brata z lożą. Ale przytoczę tu pewien epizod, który wydarzył się mniej więcej w tym okresie, o którym właśnie opowiadam i którego prawdziwość potwierdzają rozmaite świadectwa.

Pewnego razu zjawiło się przejazdem w Ombrosie dwóch hiszpańskich podróżnych. Udali się do domu niejakiego Bartolomea Cavagni, cukiernika, znanego jako wolnomularz. Podali się, jeśli się nie mylę, za braci masonów z loży madryckiej, toteż gospodarz zaprowadził ich wieczorem na zebranie miejscowej loży, odbywające się przy świetle pochodni i świec na polanie w głębi lasu. O wszystkim tym zresztą wiadomo tylko z pogłosek; pewne jest jedno: że nazajutrz, kiedy dwaj Hiszpanie opuścili gospodę, górą, po drzewach, szedł za nimi Cosimo di Rondo, z ukrycia śledząc ich ruchy.

Podróżni weszli na podwórze pewnej oberży za miastem. Cosimo przyciął się

obok w gęstwinie glicynii. Przy stole siedział samotny gość, czekający widocznie na tych dwóch. Nie było widać jego twarzy osłoniętej szerokim czarnym rondem kapelusza. Trzy głowy, a raczej trzy kapelusze, pochyliły się ku sobie nad białym prostokątem obrusa. Po krótkiej rozmowie nieznajomy zaczął pisać na wąskim pasku papieru coś, co mu tamci dwaj dyktowali i co, po układzie słów sądząc, wydawało się spisem nazwisk.

- Dzień dobry waćpanom! - odezwał się Cosimo. Trzy kapelusze uniosły się szybko ukazując trzy twarze z oczyma wytrzeszczonymi w stronę człowieka na gałęziach glicynii.

Ale zaraz jeden z kapeluszy, ten o szerokim rondzie, pochylił się znowu, brzegiem dotykając niemal obrusa. Mój brat zdążył jednak dostrzec twarz, która wydała mu się znajoma.

- *Buenos dias a usted!* - odpowiedzieli dwaj pozostali. - Takiż to tutejszy obyczaj witać cudzoziemców spadając z nieba niczym gołąb? Mamy nadzieję, że raczy pan zejść na ziemię, by nam to wytłumaczyć!

- Kto jest wysoko, tego zewsząd dobrze widać - rzekł baron - są natomiast tacy, co pełzają, by ukryć swą twarz.

- Dowiedz się pan, señor, iż żaden z nas nie jest obowiązany pokazywać panu swoją twarz, podobnie jak nie jest obowiązany pokazywać tyłek.

- Wiem dobrze, że ludzie pewnego pokroju mają sobie za punkt honoru trzymać twarz w cieniu.

- Jacyż to, za pozwoleniem?

- Szpiedzy, że tych tylko wymienię! Dwaj Hiszpanie poderwali się gwałtownie.

Ten trzeci, pochylony, nie drgnął nawet, ale po rcz pierwszy dał się słyszeć jego głos:

- By zaś wymienić jeszcze innych, członkowie tajnych stowarzyszeń... - wyskandował powoli.

Można było te słowa tłumaczyć sobie rozmaicie. Cosimo tak właśnie pomyślał i

zaraz wypowiedział to głośno:

- Te słowa, *signore*, można tłumaczyć sobie rozmaicie. Mówiąc „członkowie tajnych stowarzyszeń” insynuuje pan, że ja takim jestem, czy też że wy, a może my wszyscy, a może wreszcie żaden z nas; tak czy inaczej, posłużyć miały zapewne na to, by się dowiedzieć, co ja na to powiem?

- *Como, como, como?* - zagadał zbity z tropu człowiek w kapeluszu o szerokim rondzie i w swym zmieszaniu zapomniał widać, że powinien trzymać głowę schyloną; podniósł ją i spojrzał prosto w twarz Cosima, Cosimo zaś poznał go teraz nieomylnie: był to don Sulpicjo, jezuita, jego wróg z czasów pobytu w Olivabassa!

- Aa! Nie omyliłem się! Otóż bez przyłbicy, wielbny ojcze! - wykrzyknął.

- To pan! Byłem tego pewien! - odparł Hiszpan; zdjął kapelusz i skłonił się ukazując tonsurę. - Don Sulpicjo de Guadalete, *superior de la Compañia de Jesus*.

- Cosimo di Rondo, wolnomularz wtajemniczony!

Z kolei tamci dwaj przedstawili się z krótkim skinięciem głowy:

- Don Calisto!

- Don Fulgencjo!

- Panowie również jezuici?

- Tak. *Nosotros tambien!*

- Czyż wasz zakon nie został ostatnio rozwiązany z rozkazu papieża?

- Nie po to, żeby pozostawić w spokoju libertynów i heretyków pańskiego pokroju! - rzekł don Sulpicjo dobywając szpady.

Byli to jezuici hiszpańscy, którzy po rozwiązaniu ich zakonu podjęli kampanię na własną rękę, organizując siły zbrojne w różnych krajach celem zwalczania nowej myśli i deizmu.

Cosimo również dobył szpady. Dokoła nich zaczęli już gromadzić się gapię.

- Zechciej pan zejść, jeśli mamy się bić po rycersku - rzekł Hiszpan.

Za oberżą rozciągał się las orzechowy. Był właśnie czas zbioru i wieśniacy

porozciągali duże płachty od drzewa do drzewa, żeby zbierać na nie strząsane orzechy. Cosimo przeskoczył na najbliższe drzewo, stamtąd na płachtę i stanął na niej, z trudem utrzymując się na nogach, które zsuwały mu się ku środkowi tego jak gdyby hamaku.

- Niechże pan wejdzie o dwie stopy w górę, don Sulpicjo, skoro ja zszedłem niżej, niż to mam w zwyczaju! - zawołał obnażając szpadę.

Hiszpan wskoczył na rozciągniętą w powietrzu płachtę. Trudno im było utrzymać właściwą postawę, gdyż płachta wciąż zwijała się dokoła ich postaci, niby worek, ale obaj byli tak zawzięci, że mimo wszystko zdołali skrzyżować żelaza.

- Ku większej chwale Boga!

- Na cześć i chwałę Wielkiego Budowniczego Wszechświata!

I wymierzali sobie nawzajem ciosy.

- Zanim utopię tę klingę w pańskim brzuchu - rzekł Cosimo - chciałbym usłyszeć coś o losach señority Ursuli.

- Umarła w klasztorze!

Cosima zmieszała ta wiadomość (która zresztą, przypuszczam, była naprędce zmyślona), z czego skorzystał eks-jezuita, aby zadać zdradziecki cios. Rzucił się mianowicie na jeden z powrozów przytrzymujących płachtę od strony Cosima i przeciął ostrzem szpady. Cosimo byłby spadł na ziemię, gdyby nie to, że zdołał przerzucić się na stronę don Sulpicja i uchwycić brzeg płachty. W skoku tym jego szpada szczepiła się z gardą szpady Hiszpana i utkwiała w jego brzuchu. Sulpicjo zachwiał się, osunął po prześcieradle na tę stronę, gdzie sznur był przecięty, i legł na ziemi. Cosimo wspiął się szybko na orzech; dwaj pozostali eks-jezuici unieśli ciało rannego czy może zabitego towarzysza, umknęli z nim gdzieś i nigdy więcej ich w naszych stronach nie widziano.

Dokoła skrwawionej płachty zgromadził się tłum ciekawych. Od tej pory mój brat uważany był powszechnie za masona.

Tajemnica, obowiązująca członków masonerii, uniemożliwiła mi zebranie bliższych wiadomości o tej sprawie. W czasie kiedy ja zostałem przyjęty w ich poczet, o

Cosimie mówiono tam jako o starym już bracie, którego stosunki z lożą niezbyt jasno były określone; jedni uważali go za „śpiącego”, inni za heretyka, który przeszedł do innego obrządku, jeszcze inni wręcz za odstępcę, zawsze jednak wyrażano się z szacunkiem o jego dawnej działalności. Nie jest nawet wykluczone, że to on był owym legendarnym „Mistrzem Dzięciołem-Murarzem”, któremu przypisywano założenie „Łoży Wschodu w Ombrosie”, zwłaszcza że opisy pierwotnych, stosowanych tam rytuałów noszą wyraźne cechy wpływu Cosima; dość powiedzieć, że neofici musieli z zawiązanymi oczyma wspinać się na drzewo, skąd następnie spuszczano ich na sznurach.

Wiadomo, że u nas pierwsze zgromadzenia masońskie odbywały się nocą w głębi lasu.

Obecność na nich Cosima była więc zupełnie zrozumiała, zarówno w wypadku gdyby to on otrzymał od swoich korespondentów zagranicznych broszury zawierające statuty masonerii i następnie założył tutaj lożę, jak i wówczas, jeśliby to był ktoś inny, kto po wtajemniczeniu we Francji czy w Anglii przeniósł tamtejsze obrzędy do Ombrosy. Możliwe, że masoneria istniała u nas już dawniej, bez wiedzy Cosima, i że tylko przypadkiem którejś nocy, wędrując swoimi drzewnymi szlakami po lesie, trafił on na polanę, gdzie odbywało się zgromadzenie mężczyzn w dziwacznych strojach, przy świetle kandelabrow. Nie byłoby wcale dziwne, gdyby w takim wypadku zatrzymał się, aby posłuchać i przypatrzeć się, a może i wzniecić popłoch, jeżeli wtrącił się ni stąd, ni zowąd wypowiadając którąś ze swoich niepokojących sentencji w rodzaju: „Jeżeli wznosisz mur, pomyśl o tym, co jest po drugiej stronie!” (zdanie to nieraz słyszałem z jego ust) czy coś innego w tym stylu, a masoni, w uznaniu dla jego wzniosłej nauki, przyjęli go do loży, dokąd wniósł wiele różnych nowych rytuałów i symboli.

Faktem jest, że przez cały czas, kiedy mój brat miał z nią do czynienia, „masoneria leśna” (nazywam ją tak w odróżnieniu od tej, która później miała odbywać

zgromadzenia w budynku zamkniętym) miała obrzędy znacznie bogatsze, bardziej urozmaicone; odgrywały w nich jakąś rolę sowy, teleskopy, szyszki, pompy hydrauliczne, grzyby, diabliki Kartezjusza, pajęczyny i tabliczki Pitagorasa. Duże znaczenie miały również czaszki, nie tylko ludzkie, lecz także krowie, wilcze i ośle. Wiele takich przedmiotów, obok kielni, węgielnic i kompasów, stanowiących zwykłe masońskie rekwizyty, znajdowano w owych czasach na gałęziach drzew, często w zaskakujących kombinacjach, które przypisywano wciąż jeszcze szaleństwu barona. Nieliczne tylko osoby dawały do zrozumienia, że teraz te rebusy mają inny, donioślejszy sens. Z drugiej jednak strony nigdy nie dało się przeprowadzić wyraźnej granicy między dawniejszą a nowszą dekoracją drzew, nie można więc wykluczyć, że od początku były to ezoteryczne znaki jakiegoś tajnego stowarzyszenia.

Gdyż Cosimo na długo przedtem, nim przystąpił do masonerii, należał do różnych stowarzyszeń i bractw rzemieślniczych, jak bractwo szewskie Świętego Kryspina, Stowarzyszenie Cnotliwych Bednarzy, Sprawiedliwych Rusznikarzy czy Sumiennych Kapeluszników. Sporządzając własnoręcznie wszystkie prawie potrzebne mu przedmioty, Cosimo znał najrozmaitsze rzemiosła, mógł więc śmiało przystępować do wszystkich stowarzyszeń, które ze swej strony rade były mieć pośród siebie członka znakomitej rodziny, o niezwykłym umyśle i wypróbowanej bezinteresowności.

XXVI

Ombrosa była także krainą winnic. Nie mówiłem o tym do tej pory, gdyż - idąc śladami Cosima nie wychodziłem poza świat roślinności wysokopiennej. Ale były tam rozległe zbocza pokryte winnicami i w sierpniu pod osłoną liści ciemne grona nabrzmiwały gęstym sokiem, mającym już kolor wina. Gdzieniedzie winorośl rozpięta była na pergolach: wspominam o tym dlatego, że Cosimo na starość zrobił się taki drobny i lekki, a przy tym tak dobrze opanował sztukę lekkiego stąpania, że żerdki pergoli doskonale wytrzymały jego ciężar. Mógł więc wędrować i poprzez winnice, a

mając oparcie w rosnących dokoła drzewach owocowych i w słupach umacniających, zwanych u nas „scarasse”, mógł wykonywać rozmaite prace, jak przycinanie winorośli w zimie, kiedy bezlistne pędy wyglądają niczym poskręcane druty, albo obrywanie nadmiaru liści iatem, albo oczyszczanie z robactwa, a wreszcie, we wrześniu, winobranie.

W porze winobrania przychodziła pracować w winnicach na dniówkę cała niemal ludność Ombrosy; między rzędami winorośli tylko migały różnobarwne plamy spódnic i czapek zdobnych w jaskrawe chwasty.

Pełne wiklinowe kosze ładowano na grzbiety mułów, a następnie opróżniano wprost do kadzi. Ale znaczną część tych koszy zabierali wszelkiego rodzaju poborcy, którzy w asyście zbrojnych pachołków przychodzili doglądać wymiaru daniny dla miejscowych nobilów, dla rządu Republiki Genueńskiej, dziesięciny dla kleru i różnych innych danin. Nie było roku, żeby nie wybuchła tu i ówdzie jakaś zwada.

Sprawa tych rozlicznych danin, które trzeba było na prawo i lewo rozdawać, dostarczała tematu większości protestów wpisywanych do tak zwanych „zeszytów zażaleń” zaprowadzanych we Francji po wybuchu wielkiej rewolucji. Do zeszytów takich wpisywano coś czasem i u nas w Ombrosie, tak sobie, na próbę, bo przecież na nic nie mogło się to przydać. „Zeszyty zażaleń” były także jednym z pomysłów Cosimo, który w tym czasie nie potrzebował już chodzić na zebrania loży i dyskutować tam z gromadą pijusów, zwanych się masonami. Sadowił się po prostu na drzewie pośrodku rynku, a pod drzewo schodzili się ludzie - rybacy i okoliczni rolnicy - żeby posłuchać nowin, gdyż Cosimo otrzymywał pocztą gazety, a ponadto miał przyjaciół, którzy do niego pisywali: między innymi astronoma Bailly, którego później obrano merem Paryża, oraz innych klubistów. Nowin nigdy nie brakło: Necker i Sala Gry w Piłkę, i Bastylia, i Lafayette na białym koniu, i król Ludwik w przebraniu lokaja. Cosimo tłumaczył i opowiadał skacząc z gałęzi na gałąź - na jednej naśladował Mirabeau na mównicy, na drugiej - Marata przemawiającego do jakobinów, na jeszcze innej - króla Ludwika w

Wersalu, jak wkłada na głowę czapkę frygijską, żeby udobruchać kumoszki, które piechotą przyszły z Paryża. Chcąc wyjaśnić, co to takiego są owe „zeszyty zażaleń”, Cosimo rzekł po prostu: „Spróbujmy taki zrobić”. Wziął zwykły szkolny zeszyt, uwiązał go na sznurku i zawiesił na drzewie. Kto chciał, przychodził i wpisywał do zeszytu coś, co mu się wydawało złe. Były to bardzo rozmaite zażalenia: rybacy skarżyli się na ceny ryb, właściciele winnic na dziesięciny, pasterze na podział pastwisk, drwale na lasy dominialne; poza tym skarżyli się wszyscy, którzy mieli krewnych skazanych na ciężkie roboty, i ci, których za jakąś przewinę ukarano chłostą, i ci wreszcie, którzy się pokłócili o kobietę; nie było temu końca. Cosimo pomyślał, że nawet jeśli to jest „zeszyt zażaleń”, to niedobrze, żeby był aż tak smutny, i wpadł na pomysł, żeby każdy napisał z kolei, co by mu się najbardziej podobało. Ludzie zabrali się więc na nowo do wpisywania, tym razem wszystkiego, co najlepsze: jeden pisał o krzesiwach, drugi o zupie; temu się podobała blondynka, ten wolałby dwie czarnulki; jeden chciałby spać cały dzień, drugi chodzić na grzyby jak rok długi; jednemu zachciewało się karety z czwórką koni, drugi zadowoliliby się kozą; ten pragnął zobaczyć swoją zmarłą matkę, ów - spotkać wszystkie bóstwa Olimpu: jednym słowem, wszystko, co się komu wydawało dobre na tym świecie, znajdowało się w tym zeszycie, bądź wpisane, bądź narysowane - wielu bowiem nie umiało pisać - bądź nawet wymalowane farbami. Cosimo napisał tam tylko imię: Viola. Imię, które od lat wypisywał wszędzie, gdzie się dało.

Wyszedł z tego naprawdę piękny zeszyt, a Cosimo zatytułował go „Zeszyt uzalania i zadowolenia”. Ale kiedy był już cały zapisany, nie było dokąd go posłać, pozostał więc, gdzie był, zawieszony na drzewie. Z czasem deszcze zatarły pismo, papier zbutwiał, a widok ten przejmował ludzkie serca żalem na obecną nędzę i pragnieniem odmiany.

Jednym słowem, wszystkie przyczyny, jakie wywołały rewolucję we Francji, istniały także i u nas. Tylko że nie byliśmy we Francji i rewolucja nie przyszła. Żyjemy bowiem w kraju, gdzie przyczyny, owszem, bywają, ale nie pociągają za sobą skutków.

Ale i na Ombrosę przyszły ciężkie czasy. Wojska republikańskie prowadziły wojnę przeciwko wojskom austro-sardyńskim na wszystkich frontach. Massena bił się pod Collardente, Laharpe nad Nervią, Mouret wzdłuż skarpy nadmorskiej, wraz z Napoleonem, który był wówczas jeszcze generałem artylerii; a kanonada, której echa wiatr przynosił czasem do Ombrosy, była właśnie jego dziełem.

We wrześniu wszędzie przygotowywano się do winobrania. Ale wydawało się, że te przygotowania dotyczą jakiejś tajemnej a groźnej sprawy.

Szły głosy od drzwi do drzwi:

- Winogrona dojrzały!

- Dojrzały! Pewnie, że dojrzały!

- Jeszcze jak dojrzały! Czas zbierać!

- I tłoczyć!

- Wszyscy pójdziemy! Ty gdzie będziesz?

- W winnicy za mostem. A ty? A ty?

- U hrabiego Pigna.

- A ja w winnicy przy młynie.

- Widziałeś, ilu zbirów? Jakby chmara kosów zleciała się dziobać winne jagody!

- Tego roku wiele nie udziobią!

- Kosów dużo, ale my tu wszyscy myśliwi!

- Są tacy, co się wolą nie pokazywać. Drapnęli.

- Czemuż to w tym roku winobranie tylu ludziom się nie podoba?

- U nas chcieli odłożyć na później. Ale nic z tego! Winogrona już dojrzały!

- Dojrzały!

Nazajutrz jednak winobranie rozpoczęło się w zupełnym milczeniu. Winnice pełne były ludzi pracujących jeden przy drugim wzdłuż rzędów winorośli, nigdzie jednak nie było słycać śpiewu. Czasem zabrzmiało jakieś przyciszone wołanie: „Hej, i wy tu jesteście? Dojrzało!” - czasem jakieś poruszenie w szeregach, ale nastrój był

posepny, może sprawiało to niebo, które nie było zupełnie zaciągnięte chmurami, a mimo to jakieś groźne; jeżeli czasem pojedynczy głos zaintonował gdzieś piosenkę, nikt nie podejmował melodii i śpiew zaraz urywał się, cichnął. Mulnicy transportowali napełniane kosze do kadzi. Zazwyczaj zaraz na początku odstawiano części należne panom, biskupowi i rządowi; tego roku nie: zdawało się, jakby

o tym zapomniano.

Poborcy, którzy przybyli, by zebrać daninę, byli zdenerwowani, nie wiedzieli, czego się trzymać. W miarę upływu czasu, choć nic się nie działo, wszyscy coraz mocniej czuli, że coś się przecież stanie; poborcy

ich pachółkowie czuli, że powinni wziąć się do jakiegoś działania, ale co mianowicie mieliby robić - tego nie wiedzieli.

Cosimo swym bezszelestnym kocim chodem posuwał się wzdłuż pergoli. Z nożycami w ręku, to tu, to tam, na pozór bez żadnego planu, ścinał jakieś grono i podawał je pracującym niżej zbieraczom, mówiąc coś każdemu po cichu.

Dowódca straży nie mógł już dłużej wytrzymać. „No więc - odezwał się niepewnie - cóż tam z naszą dziesięciną?”

Ledwie to powiedział, już pożałował. Przez winnice przeleciał dziwny jakiś dźwięk, coś pomiędzy gwizdem a buczeniem: to jeden ze zbieraczy zadał w muszlę, jedną z tych krętych o donośnym głosie, który zabrzmiał alarmująco po całej dolinie. I zaraz ze wszystkich wzgórz odezwały się w odpowiedzi podobne dźwięki, zbieracze podnosili do ust muszle niby trąbki, Cosimo także, stojąc wysoko na pergoli.

Teraz ze wszystkich winnic buchnął chóralny śpiew; z początku urywany, nierówny, że trudno było zrozumieć, co to za pieśń. Ale wnet głosy zestroiły się, znalazły wspólny ton i rytm, i wszystko jak gdyby sfrunęło potężnym lotem - mężczyźni i kobiety, na pół ukryci między rzędami winorośli, i sama winorośl, pędy i grona jagód i żerdzie - wszystko jak gdyby biegło gdzieś przed siebie, grona zdawały się same spadać do koszy, same wędrować do kadzi, powietrze, chmury, słońce,

wszystko zmieniało się w winny moszcz. Śpiew stawał się coraz bardziej zrozumiały, najpierw sama melodia, a potem i słowa, które mówiły: „Ca ira! Ca ira! Ca ira!” - a młodzi chłopcy deptali winne grona bosymi, czerwonymi od soku nogami - „Ca ira!” - a dziewczęta dźgały ostrymi jak sztylety nożycami w zieloną gęstwinię, tnąc skrócone łodygi, na których zwisały ciężkie grona - „Ca ira!” - a całe chmary drobnych muszek unosiły się nad stosami gron gotowych do tłoczenia - „Ca ira!” i nagle zbiry straciły nad sobą panowanie: „Stać! Cisza tam! Dość tego wrzasku! Kto będzie śpiewał, kula w łeb!” - i zaczęli strzelać, na razie w powietrze.

Odpowiedział im taki grzmot wystrzałów, jakby na wzgórzach dokoła stały pułki wojska w bojowym szyku. Wszystkie myśliwskie strzelby, ile ich było w całej Ombrosie, strzelały raz za razem, a Cosimo z wierzchołka figowego drzewa dowodził ogniem dmąc w muszlę niby w trąbę. We wszystkich winnicach powstał zgiełk i ruch i nie sposób było odróżnić, gdzie jest winobranie, a gdzie walka: mężczyźni, kobiety, winogrona, krzywe noże ogrodnicze, długie pędy winorośli, żerdzie, strzelby, kosze, konie, druty, pięści, wierzganie mułów, łydki, piersi kobiece - wszystko tworzyło jeden wielki chaos i wszystko śpiewało: „Ca ira!”.

- Macie swoje dziesięciny! - Niebawem poborcy danin i ich pachołcy zostali porzuceni głową na dół do kadzi pełnych winogron, na zewnątrz zostały tylko ich wierzgające nogi. Wygramoliwszy się odeszli z kwitkiem, upačkani od stóp do głów sokiem, oblepieni pestkami, skórkami wyciśniętych jagód, które czepiały się ich strzelb, ładownic i wąsów.

Winobranie zmieniło się w radosne święto, wszyscy byli przekonani, że obalili raz na zawsze feudalne przywileje. My zaś, więksi i mniejsi panowie, zabarykadowaliśmy się w domach, uzbrojeni, gotowi drogo sprzedać życie. (Ja, prawdę mówiąc, ograniczyłem się do tego, że nie wytknąłem nosa na dwór, głównie dlatego żeby bracia szlachta nie pomawiali mnie o to, że solidaryzuję się z tym antychrystem, moim bratem, uważanym za głównego podżegacza, najbardziej zażartego jakobina w całej okolicy).

Na razie jednak, poza przepędzeniem poborców i ich zbrojnej asysty, nikomu nie spadł włos z głowy.

Zabrano się z zapałem do przygotowywania radosnych uroczystości. Chciano też zasadzić Drzewo Wolności zgodnie z nową francuską modą; tylko że nikt nie wiedział, jak właściwie ono ma wyglądać, a zresztą u nas drzew było tyle, że doprawdy nie miało sensu dodawać do nich jeszcze sztuczne. Wybrano więc drzewo prawdziwe, wiąz, i przystrojono kwiatami, winnymi gronami, girlandami oraz napisami: „*Vive la Grande Nation!*”. Na samym wierzchołku umieścił się mój brat z trójkolorową kokardą na czapie z kociej sierści i wygłosił prelekcję na temat Rousseau i Woltera, z której zresztą nie było słyhać ani słowa, gdyż lud zataczał dokoła drzewa taneczny korowód śpiewając: „*Ca hal*”.

Ale radość trwała krótko. Nadeszło mnóstwo wojska: genueńskie, w celu ściągnięcia danin i strzeżenia neutralności terytorium, oraz austro-sardyńskie, rozeszły się bowiem wieści, że ombrosańscy jakobini chcą proklamować „jedność z Wielkim Wszechświatowym Narodem”, czyli przyłączenie do Republiki Francuskiej. Buntownicy próbowali stawiać opór, wzniesli tu i ówdzie barykady, pozamykali bramy miejskie... Ale nie na wiele się to zdało. Wojska weszły do miasta ze wszystkich stron naraz, rozmieściły posterunki na wszystkich wiejskich drogach, a tych, którzy mieli opinię agitatorów, uwięziono - z wyjątkiem oczywiście Cosima, bo nie lada zucha byłoby trzeba, żeby go schwytać, oraz tych niewielu, którzy byli z nim razem.

Proces rewolucjonistów odbył się natychmiast, ale oskarżeni zdołali udowodnić, że nie mieli z zamieszkami nic wspólnego, a prawdziwi podżegacze to właśnie ci, którym udało się umknąć. Wypuszczono więc wszystkich na wolność, zwłaszcza że wobec stacjonujących w Ombrosie wojsk można było nie obawiać się nowych zamieszek. Pozostała też w mieście załoga austriacka, dla zabezpieczenia się przed możliwą infiltracją nieprzyjaciela, a na jej czele stał nasz szwagier d'Estomac, mąż Battisty, który wyemigrował z Francji w świącie hrabiego Prowansji.

Miałem więc znów na karku moją siostrę Battistę i łatwo sobie wyobrazić, jak mnie to cieszyło. Zainstalowała się w naszym domu wraz z mężem-oficerem, z końmi i całą chmarą ordynansów. Przez całe wieczory zabawiała nas opowiadaniem o ostatnich egzekucjach w Paryżu; miała nawet z sobą mały model gilotyny, z prawdziwym ostrzem i chcąc nam lepiej uzmysłwić, jaki los spotkał jej wielu powinowatych i przyjaciół, ścinała głowy jaszczurkom, dżdżownicom, a nawet myszom polnym. Tak spędzaliśmy rodzinne wieczory. Zazdrościłem Cosimowi, który pędził swoje dni i noce w lesie, ukryty w jakichś sobie tylko wiadomych ostępach.

O czynach, jakich dokonał w lesie podczas wojny, Cosimo opowiadał tyle nieprawdopodobnych historii, że nie czuję się powołany do osądzania, która z tych wersji jest bardziej od innych wiarygodna. Oddaję więc głos jemu samemu, wiernie powtarzając niektóre z jego opowieści.

W lasy zapuszczały się nieraz patrole zwiadowcze obu armii. Ilekroć z wysoka, spośród gałęzi, usłyszałem szelest kroków w zaroślach, nadstawiałem ucha, by rozpoznać, czy to Austrosardzi, czy Francuzi.

Raz ujrzałem, jak austriacki poruczniczek, jasny blondynek, wiódł patrol żołnierzy w nienagannym umundurowaniu, każdy z warkoczykiem i kokardką, w trójgraniastym kapeluszu i w kamaszach, z białymi bandami skrzyżowanymi na piersi, z bagnetem zatkniętym na broń. Maszerowali dwójkami starając się utrzymać prosty kierunek na tym nierównym i pełnym przeszkód terenie. Nie obeznany z lasem, za to pewien, że ściśle co do joty wypełnia otrzymane rozkazy, oficerek posuwał się wzdłuż linii wyznaczonych na mapie, wskutek czego raz po raz stukał nosem w pień drzewa, podbite gwoździami buty jego żołnierzy ślizgały się na gładkich kamieniach, a cierniowe zarośla wciąż zagrażały ich oczom; on jednak był głęboko przeświadczony o wyższości armii cesarskiej nad jej przeciwniczką.

Byli to doprawdy wspaniali żołnierze. Czekałem na nich ukryty w koronie pinii. W rękę trzymałem w pogotowiu ogromną, półkilową szyszkę. Spuściłem ją na głowę żołnierza zamykającego pochód. Trafiony, rozłożył ramiona, kolana się pod nim ugięły i upadł w bujne zarośla paproci. Nikt tego nie spostrzegł, oddział maszerował dalej!

Dogoniłem ich znowu. Tym razem rzuciłem zwiniętego w kulę jeża kapralowi na kark. Kapral zwiesił głowę i zemdlał. Porucznik spostrzegł, co się stało, posłał dwóch ludzi po nosze, ale nie przerwał marszu.

Patrol, jakby naumyślnie, przedzierał się przez najgęstsze, jakie były w naszych

lasach, zarośla kłującego jałowca. Czekwały tam na niego coraz nowe niespodzianki. Nazbierałem całe pudełka włochatych niebieskich gąsienic, których dotknięcie wywołuje piekącą wysypkę, gorszą niż pokrzywy, i sypanąłem ze sto takich stworzeń na żołnierzy. Pluton przeszedł, zniknął w gęstwinie, po chwili wyłonił się z niej i równym krokiem maszerował dalej, drapiąc się zawzięcie; żołnierze mieli dłonie i twarze całe w czerwonych plamach.

Nadzwyczajne wojsko i wspaniały oficer. W lesie wszystko było im obce, nie rozróżniali więc, co jest tam rzeczą nojmalną, a co niezwykłą. Szli wytrwale naprzód, w zdziesiątkowanej sile, wciąż jednak dumni i niepokonani. Posłużyłem się z kolei pewną rodziną dzikich kotów: chwyciłem za ogony, kręciłem w powietrzu zamaszystego młynka, co je ponad wszelki wyraz rozwścieczało, i ciskałem jednego po drugim na żołnierzy. Było trochę hałasu, głównie kociego jazgotu, potem zapadła cisza. Austriacy opatrzyli rannych, po czym patrol, bieląc się bandażami, podjął swój marsz.

„Nie ma innej rady, tylko wziąć ich do niewoli!” - powiedziałem sobie i postanowiłem ich wyprzedzić, w nadziei, że natknę się na jakiś patrol francuski i powiadomię go o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Choć co prawda od pewnego już czasu Francuzi na tym odcinku frontu nie dawali żadnego znaku życia.

W pewnej chwili, znajdując się na miejscu, gdzie obficie pieniły się jakieś mchy i porosty, zauważyłem, że coś się tam porusza. Zatrzymałem się, wyteżyłem wzrok i słuch. Słychać było coś niby szmer strumyka płynącego po kamieniach, ale po chwili zrozumiałem, że są to ludzkie mamroczące głosy, mogłem nawet rozróżnić tam pewne słowa, jak: „*Mais alors... cre--nom-de... foutez-moi donc... tu m'emmer... quoi...*” Wyteżywszy wzrok w panującym półmroku spostrzegłem, że na tę mszystą roślinność składały się przeważnie futrzane bermyce i bujne wąsy i brody. Był to pluton francuskich huzarów. Podczas zimowej kampanii tak nasiąknęli wilgocią, że z wiosną całe ich uwłosienie zakwitło pleśnią i mchami.

Plutonem dowodził porucznik Agrippa Papillon z Rouen, poeta, wolontariusz w

armii republikańskiej. Żywiąc przekonanie o powszechnej dobroci natury, porucznik Papillon nie pozwalał swoim żołnierzom strząsać z siebie igieł sosnowych, kolczastych łupin kasztanów, gałązek, liści i ślimaków - tego wszystkiego, co czepiało się ich mundurów, gdy przedzierali się przez las. Patrol upodabniał się więc coraz bardziej do otaczającej przyrody i trzeba było mego doświadczonego oka, żeby go dostrzec i odróżnić.

Pośród swoich biwakujących żołnierzy oficer-poeta, którego długie opadające w pierścieniach włosy tworzyły wraz z dwurożnym kapeluszem jak gdyby ramę dokoła wychudłej twarzy, deklamował zwracając się do lasów: „O, lesie! O, nocy! Otom jest w waszej mocy! Miałżeby wiotki pęd kaprifolium, który owija się dokoła nóg tych mężnych żołnierzy, powstrzymać bieg losów Francji? O, Valmy! Jakżeś daleko!”.

Wysunąłem się naprzód: „*Pardon, ci-toyen*”.

- Co? Co? Kto to?

- Pewien patriota z tutejszych lasów, obywatelu oficerze.

- Ach! Tutaj? Gdzież on?

- Tuż przed pańskim nosem, obywatelu oficerze.

- Widzę! Lecz któż to? Człowiek-ptak, syn Harpii! Byłżebyś pan stworem mitologicznym?

- Jestem obywatel Rondo, syn ludzkich istot, zapewniam pana, zarówno od strony ojca, jak i matki, obywatelu oficerze. Co więcej, za matkę miałem dzielnego żołnierza z czasów wojen sukcesyjnych.

- Rozumiem. O, czasy, o, chwała! Wierzę panu, obywatelu, i z niecierpliwością oczekuję nowin, które, jak mniemam, chce mi pan oznajmić.

- Patrol austriacki przedostał się do waszych linii!

- Co pan mówi? A więc bitwa! Nadeszła godzina! O, strumyku, spokojny strumyku, rychło zabarwisz się krwią! Alarm! Do broni!

Na rozkaz porucznika-poety huzarzy zaczęli zbierać broń i manatki, ale poruszali

się tak nieskładnie i marudnie, przeciągając się, kichając i klnąc, że niewiele sobie obiecywałem po ich walorach bojowych.

- Obywatelu oficerze, czy ma pan jakiś plan?

- Plan? Ruszyć na wroga!

- Pewnie, ale jak?

- Jak? W zwartych szeregach!

- Gdyby mi pan pozwolił coś sobie doradzić, powiedziałbym, że na pańskim miejscu ustawiłbym żołnierzy w szyku rozproszonym czekając, aż patrol nieprzyjacielski sam wpadnie w pułapkę.

Porucznik Papillon był zgodnym człowiekiem i nie wysunął co do mego planu żadnych obiekcji. Huzarów rozstawionych po lesie trudno było odróżnić od krzaków, a porucznik austriacki z pewnością najmniej był zdolny do uchwycenia tej różnicy. Patrol wojsk cesarskich maszerował ściśle według wyznaczonej na mapie trasy, raz po raz rozbrzmiewała komenda „Szeregiem po lewej! Szeregiem po prawej!”. Przeszli tuż przed nosem francuskich huzarów, wcale tego nie spostrzegając. Huzarzy w milczeniu, wydając tylko takie zwykłe leśne odgłosy jak szelest liści i trzepot skrzydełek, zrobili manewr okrążający. Z wierzchołków drzew świstem przepiórki i hukaniem sowy informowałem ich o ruchach nieprzyjaciela i wskazywałem skróty, którymi mieli iść, by przeciąć tamtym drogę. Austriacy, niczego się nie domyślając, znaleźli się w pułapce.

- Stać! W imię wolności, równości i braterstwa oznajmiam, że jesteście wszyscy jeńcami! - usłyszeli nagle głos dochodzący z wierzchołka drzewa i ujrzeli wśród gałęzi człowieka uzbrojonego w strzelbę o długiej lufie.

- *Urrah! Vive la Nation!* - i wszystkie krzaki dokoła nich okazały się francuskimi huzarami z porucznikiem Papillon na czele.

Rozległy się austriacko-sardyńskie przekleństwa, ale nim zdążyli zareagować, cały oddział został rozbity. Austriacki porucznik, blady, ale z dumnie wzniesionym czołem, oddał szpadę nieprzyjacielskiemu koledze.

Stałem się nader cennym współpracownikiem armii republikańskiej, zawsze jednak wolałem uprawiać łowy samopas, uciekając się tylko do pomocy leśnych stworzeń, na przykład wtedy, kiedy zmusiłem do ucieczki całą kolumnę austriacką wypuszczając na nią gniazdo os.

Fama o moich czynach rozeszła się szeroko w obozie austro-sardyńskim, znacznie, jak to zwykle bywa, rozdęta; mówiono, że nasze lasy roją się od zbrojnych jakobinów czających się na drzewach. Toteż wojska królewskie i cesarskie, maszerujące przez las, pilnie nadstawiały uszu i byle odgłos spadającego kasztana czy pisk wiewiórki wystarczały, aby już widziały się otoczone przez jakobinów i czym prędzej zmieniały kierunek marszu. Dzięki temu mogłem za pomocą ledwie dosłyszalnych szelestów czy trzasku gałązek kierować piemonckie i austriackie kolumny tam, gdzie mi się żywnie podobało.

Pewnego dnia zawiodłem jedną taką kolumnę w kolczastą gęstwinę, gdzie się zupełnie zagubiła. W tym leśnym ostępie mieszkała rodzina dzików: uciekając z gór, gdzie wciąż rozbrzmiewał huk armat, dziki całymi stadami schodziły do niżej położonych lasów. Zabłąkani Austriacy przedzierali się przez ciernie, nie widząc nic dalej niż koniec swego nosa; nagle stado dzików o zjeżonej szczecinie zerwało im się spod nóg, z głośnym chrząkaniem. Rozjuszona zwierzęta rzuciły się wprost na żołnierzy, wpadały im pod nogi, podcinały kolana wyrzucając ich w powietrze, leżących tratowały racicami, kłami rozpruwały im brzuchy. Cały batalion został okropnie poharatany. Zaczajeni na drzewach, ja i moi towarzysze, ścigaliśmy uciekających kulami. Z tych nielicznych, którzy dotarli do obozu, jedni opowiadali o trzęsieniu ziemi, inni o bitwie z bandą jakobinów, którzy zjawili się jak spod ziemi, gdyż ci jakobini byli najprawdziwszymi diabłami, pół ludźmi, pół zwierzętami, żyjącymi na drzewach w niedostępnych głębinach leśnych.

Jak już mówiłem, wolałem działać na własną rękę albo z garstką towarzyszy z Ombrosy, którzy wraz ze mną schronili się w lasy po winobranii. Z armią francuską

starałem się mieć jak najmniej do czynienia, bo wiadomo przecież, jak to jest z wojskiem: gdziekolwiek się ruszy, przynosi z sobą coś niedobrego. Ale do oddziału porucznika Papillon nabrałem szczerzej sympatii i niepokoiłem się o dalsze jego losy; gdyż dla tego plutonu pod wodzą poety zastój na froncie mógł się okazać zgubny. Mchy i porosty coraz bujniej okrywały mundury żołnierzy, gdzieniegdzie wyrastały nawet kępki wrzосу i paproci. Na bermycach wiły sobie gniazda mysikróliki i rozkwitały leśne konwalijki, buty obrastały ziemią tworząc razem z nią ogromne, twarde, ciężkie kopyta; cały pluton był już bliski wypuszczenia korzeni. Uległość wobec praw natury, cechująca porucznika Agrippę Papillon, zmieniała po trochu oddział mężnych żołnierzy w jakieś zbiorowisko zwierzęco-roślinne.

Trzeba ich było zbudzić. Ale jak? Wpadłem na pewien pomysł i udałem się do porucznika Papillon, by mu przedstawić mój plan. Zastałem poetę deklamującego do księżycy.

- O, luno! Krągła jak otwór lufy, jak kula armatnia, która, utraciwszy pęd wybuchu, toczy się dalej powoli i cicho po przestworze niebios! Kiedyż wybuchniesz, o, luno, wznosząc wysoki tuman pyłu i iskier, zasypując wraże wojska i trony, a mnie otwierając wyłom chwały w murze lekceważenia, jakim przytłaczają mnie moi współobywatele! O, Rouen! O, luno! O, losie! O, Konwencie! O, żaby! O, dziewczęta! O, życie moje!

A ja: „Citoyen...”

Papillon gniewny, że mu przerwano, zapytał sucho: „No?”.

- Chciałem rzec, obywatelu oficerze, że byłby jeden sposób, aby wyrwać pańskich ludzi z letargu, który zaczyna już być dla nich nader niebezpieczny.

- Obyż sprawiły to niebiosy, obywatelu! Ja, jak pan widzi, rwę się do czynu. Jakież to sposób?

- Pchły, obywatelu oficerze.

- Przykro mi, muszę jednak odrzeć pana ze złudzeń, obywatelu. Armia republikańska nie ma pcheł. Wszystkie wyginęły z wycieńczenia wskutek blokady i

drożyzny.

- Mogę dostarczyć ich trochę, obywatelu oficerze.

- Nie wiem, czy mówi pan poważnie, czy żartuje. W każdym razie przedłożę projekt wyższym władzom i zobaczy się, co dalej. Obywatelu, dziękuję za wszystko, co czyni pan dla sprawy Republiki. O, sławo! O, Rouen! O, pchły! O, luno! - i oddalił się nie przestając bredzić.

Zrozumiałem, że muszę działać na własną rękę. Zaopatrzyłem się w wielką ilość pcheł i gdzie tylko dostrzegłem francuskiego huzara, wystrzelałem trochę pcheł z katapulty, celując dokładnie między kark za kołnierz. Poza tym- rozsypywałem je całymi garściami w miejscach biwaków oddziału. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie, bo gdyby mnie schwytano na gorącym uczynku, na nic by się nie zdała moja opinia patrioty: zostałbym uwięziony, odstawiony do Francji i zgilotynowany jako emisariusz Pitta. Ale mój pomysł okazał się opatrnościowy: swędzące ukąszenia pcheł obudziły w huzarach ludzką, cywilną potrzebę drapania się, szukania i tępienia insektów. Zaczęli zrzucać z siebie opleśniałą, zbutwiałą odzież i tornistry obrosłe grzybem i pajęczyną, myć się, golić, czesać - jednym słowem odzyskali świadomość swojej ludzkiej osobowości, zaczęli znowu odczuwać sens cywilizacji i wyzwalać się spod władzy surowej natury. A jednocześnie stało się to dla nich bodźcem do działania, zbudziło zapal bojowy od dawna uspiony. Kiedy nadszedł moment walki, zastał ich gotowych: siły zbrojne Republiki złamały opór nieprzyjaciela, przerwały front i pomaszerowały ku przyszłym zwycięstwom pod Dego i Millesimo.

XX.VIII

Nasza siostra i emigrant d'Estomac uciekli z Ombrosy w samą porę, żeby ----- nie zaskoczyły ich wojska republikańskie. Lud Ombrosy ogarnął nastrój taki, jak w pamiętne dni winobrania. Zasadzono Drzewo Wolności, tym razem wierniej naśladowujące przykłady francuskie, czyli po prostu podobne do jarmarcznych „słupów szczęścia”. Cosimo, oczywiście, wdrapał się na czubek w czapce frygijskiej na głowie. Ale prędko mu się to sprzykrzyło i poszedł sobie.

Wokół pałaców nobilów było trochę wrzawy, krzyczano: „*Aristo, alla lanterna, saira!*”. Mnie, jako że byłem bratem mego brata, a ponadto nasza rodzina zaliczała się raczej do pomniejszej szlachty, pozostawiono w spokoju, a nawet uznano mnie za patriotę, co przysporzyło mi pewnych kłopotów później, kiedy znów się odmieniło.

Ustanowiono *la municipalite, le maire* - wszystko po francusku; mego brata wybrano do zgromadzenia tymczasowego, jakkolwiek wielu się temu sprzeciwiało, uważając go za wariata. Zwolennicy dawnego reżimu śmieli się i mówili, że to wszystko, to jeden wielki dom wariatów.

Obrady zgromadzenia odbywały się w dawnym pałacu genueńskiego gubernatora. Cosimo sadowił się na drzewie świętojańskim na wysokości okien i przysłuchiwał się dyskusjom. Czasem wtrącał się krzycząc głośno i głosował, kiedy było trzeba. Wiadomo jednak, że rewolucjoniści są bardziej wymagający niż konserwatyści: toteż niektórzy wysuwali obiekcje, że tak nie uchodzi, że taki system szkodzi powadze zgromadzenia, i tak dalej; a kiedy na miejsce oligarchicznej Republiki Genueńskiej ustanowiono Republikę Liguryjską, do nowych władz już mego brata nie wybrano.

I pomyśleć, że w tym czasie Cosimo napisał i wydrukował „Projekt Konstytucji dla Miasta Republikańskiego z Deklaracją Praw Mężczyzn, Kobiet, Dzieci, Zwierząt Domowych i Dzikich, nie wyłączając Ptaków, Ryb i Owadów, a także Roślin, zarówno Wysokopiennych jak Ogrodowizny i Ziół”. Było to piękne dzieło, z którego wszyscy

rządzący mogliby się wiele nauczyć; nikt jednak nie wziął go pod uwagę i praca ta pozostała martwą literą.

Ale największą część swego czasu Cosimo spędzał wciąż jeszcze w lasach, gdzie saperzy armii francuskiej budowali drogę potrzebną dla transportów artyleryjskich. Ze swymi długimi brodami, które zdawały się wypełzać spod czap i gubiły się pod skórzanymi fartuchami, saperzy różnili się wielce od wszystkich innych oddziałów wojskowych. Może wiązało się to z faktem, że za sobą pozostawiali nie zniszczenie, lecz przeciwnie, coś trwałego i pożytecznego; dawało im to zadowolenie z siebie i ambicję, by zadanie to spełnić jak najlepiej. A poza tym mieli tyle do opowiadania: przemaszerowali przez wiele krajów, mieli za sobą oblężenia i bitwy; niektórzy z nich byli też świadkami wielkich rzeczy, jakie działy się w Paryżu, na własne oczy widzieli zdobywanie szturmem więzień, a także i gilotynę. Cosimo przez całe wieczory przysłuchiwał się ich opowieściom. Odłożywszy kilofy i łopaty, saperzy zasiadali dokoła ogniska kurząc krótkie fajeczki i snując wspomnienia.

W dzień zaś Cosimo pomagał wytyczać kierunek drogi. Nikt lepiej od niego nie nadawał się do tej pracy. Znał wszystkie miejsca, przez które należało przeprowadzić drogę, by jak najmniej napotkać wzniesień i spadków i jak najmniej wyniszczyć drzewostan. A bardziej jeszcze niż względami na wygodę francuskiej artylerii kierował się potrzebami ludności tych pozbawionych dróg okolic. W ten sposób ciągłe przemarsze wojsk, tych rabusiów kur, przynieść miały jedną przynajmniej korzyść: drogę zbudowaną na ich koszt. Chociaż tyle: bo teraz wojska okupacyjne, zwłaszcza odkąd z republikańskich stały się cesarskimi, wszystkim bardzo dawały się we znaki. I wszyscy przychodzili wyżalać się na nie przed patriotami: „Widzicie, co wyprawiają ci wasi przyjaciele!”. A patrioci rozkładali bezradnie ręce i wznosząc oczy ku niebu odpowiadali: „Cóż, wojsko jak wojsko, miejmy nadzieję, że się to kiedyś skończy!”.

Armia napoleońska rekwirowała świnie, krowy, nawet kozy. Co się tyczy podatków i danin, było gorzej niż przedtem. Na domiar złego przyszedł jeszcze pobór

do wojska. A na to nikt u nas nigdy nie miał chęci: powoływana młodzież uciekała w lasy.

Cosimo robił, co w jego mocy, by ulżyć tym niedolom: pilnował bydła, kiedy chłopi, bojąc się obławy, wypędzali je do lasu; stał na straży, kiedy cichaczem przewożono ziarno do młyna i oliwki do tłoczni, żeby wojsko nie zagarnęło lwiej części dla siebie; albo prowadził dezertersów do jaskiń leśnych, gdzie mogli się ukryć. Jednym słowem starał się bronić lud przed samowolą i wyzyskiem, ale żadnych zamachów na wojska okupacyjne nie dokonywał, mimo że w tym czasie zaczęły grasować po lasach zbrojne bandy „brodaczy”, bardzo dając się we znaki Francuzom. Cosimo był z natury uparty i nie znośił przeczyć samemu sobie: skoro był przyjacielem Francuzów dawniej, uważał, że musi być i nadal wobec nich lojalny, chociaż tyle się na świecie zmieniło i wszystko było inne, niż można się było spodziewać. A wreszcie trzeba też wziąć pod uwagę, że zaczynał się starzeć i nie chciało mu się już wielce wysilać ani dla jednej, ani dla drugiej strony.

Napoleon udał się do Mediolanu, gdzie kazał się ukoronować, po czym odbył wielką podróż po Italii. W każdym kolejnym mieście witano go z wielką pompą, pokazując mu wszelkie miejscowe osobliwości i zabytki. W Ombrosie włączono między innymi do programu odwiedzin u „patrioty na drzewach”, gdyż, jak to zazwyczaj bywa, choć u nas nikt do Cosima wielkiej wagi nie przywiązywał, za granicą był on postacią szeroko znaną. Nie miało to być takie sobie zwyczajne spotkanie: wszystko przygotował zawczasu miejski komitet uroczystości, tak żeby wypadło jak najpiękniej. Wybrano odpowiednie drzewo, miał być dąb, ale orzech miał lepsze położenie, przybrano więc ów orzech w dębowe gałązki, obwieszono trójkolorowymi wstęgami w barwach francuskich i barwach lombardzkich, powiązanych w kokardy i festony. W końcu na gałęzi usadowili mego brata w odświętnym stroju, ale w sławetnej czapie z kocięj sierści i z wiewiórką na ramieniu.

Spotkanie wyznaczono na godzinę dziesiątą, dokoła zgromadziły się tłumy

ciekawych, ale oczywiście aż do wpół do dwunastej Napoleon się nie pokazał ku wielkiej udręce mego brata, który na starość zaczął cierpieć na osłabienie pęcherza i raz po raz musiał się kryć za pień drzewa, żeby sobie ulżyć.

Nadszedł wreszcie Cesarz ze świtą, całą najeżoną dziobami kapeluszy. Było już południe, Napoleonowi, kiedy patrzył w górę na Cosima, słońce świeciło prosto w oczy. Cesarz zaczął wypowiadać okolicznościowe frazesy: „*Je sais tres bien que vous, ci-toyen...* - tu podniósł rękę, robiąc daszek nad oczyma - *parmi les lorets...* - tu uskoczył lekko w bok, chroniąc się przed natrętnym słońcem - *parmi les frondaisons de notie luxuriante...*” - i znów uskoczył w drugą stronę, gdyż Cosimo pochylił się w ukłonie, odsłaniając tym samym słońce.

Widząc ów niepokój Bonapartego, Cosimo zapytał grzecznie: „Czy mogę coś dla pana uczynić, *mon Empereur?*”.

- Tak, tak - rzekł Napoleon - stań pan troszkę z boku, bardzo proszę, żeby zasłonić mnie przed słońcem, o tak, właśnie tak, doskonale... - Urwał, jakby nagle uderzony jakąś nową myślą, i zwracając się do wicekróla Eugeniusza, rzekł: - *Tout cela me rappelle quelque chose... Quelque chose que j'ai deja vu...*

Cosimo pospieszył z pomocą: - To nie pan był, Wasza Cesarska Mość: to Aleksander Wielki.

- Ach, tak, oczywiście! - wykrzyknął Napoleon. - Spotkanie Aleksandra z Diogenesem!

- *Vous n'oubliez jamais votre Plutarque, mon Empereur* - rzekł Eeauharnais.

- Tylko że wtedy - wtrącił Cosimo - to Aleksander pytał Diogenesa, co mógłby dla niego uczynić, a Diogenes prosił go, by się odsunął na bok...

Nagle Napoleon strzelił palcami, jakby nareszcie przypomniał sobie zdanie, którego szukał w pamięci. Szybkim spojrzeniem upewnił się, że dygnitarze z jego świty słuchają, po czym rzekł posługując się najczystszą włoską mową:

- Gdybym nie był cesarzem Napoleonem, chciałbym być obywatelem Cosimem

Rondo!

To rzekłszy odwrócił się i odszedł. Świta ruszyła za nim wśród brzęku ostróg.

Na tym się skończyło. Można by się było spodziewać, że w jaki tydzień po tym przysłany zostanie Cosimowi krzyż Legii Honorowej. Ale nic takiego nie nastąpiło. Mój brat nic sobie z tego nie robił, ale dla nas, rodziny, byłaby to bądź co bądź przyjemność.

Młodość szybko przemija na tym świecie, a cóż dopiero na drzewach, gdzie spadanie stanowi wspólny los wszystkiego: liści i owoców. Cosimo zbliżał się więc ku starości. Tyle lat, tyle nocy spędzonych w ciągu tych lat na mrozie, na wietrze, na deszczu, pod wątlą osłoną albo i bez żadnej zgoła, na dworze, bez domu, bez ognia, bez gorącego jada... I oto Cosimo zmienił się w skurczonego staruszka o nogach wygiętych w łuk i ramionach długich jak u małpy, przygarbionego, opatulonego w futrzaną opończę z kapturem, niby jakiś kosmaty mnich. Twarz miał spaloną słońcem, pomarszczoną jak pieczony kasztan, z dwojgiem jasnych okrągłych oczu świecących pośród zmarszczek.

Armia Napoleona została rozbita nad Berezyną, do Genui zawinęła eskadra angielska; pędziliśmy dni w oczekiwaniu nowych wstrząsających wiadomości. Cosimo nie pokazywał się w Ombrosie: przesiadywał na wysokiej pinii w lesie, przy drodze artyleryjskiej, tej samej, przez którą ciągnęły armaty pod Marengo, i bacznie spoglądał na wschód, ku opustoszałej równinie, gdzie teraz spotkać można było jedynie pasterzy z kozami albo muły objuczone drewkami. Na cóż on czekał? Napoleona widział już, Rewolucja - cóż, wiedział już dziś, czym się ona skończyła; teraz można się było spodziewać tylko złego. A jednak Cosimo tkwił tam, wyteżając wzrok, jak gdyby lada moment miała się zza zakrętu ukazać Wielka Armia, okryta jeszcze szronem i lodem Rosji, i Bonaparte na koniu, z nie ogolonym podbródkiem przyciśniętym do piersi, zgorączkowany, poblądły... Zatrzyma konia pod pinią (za nim ucichną nagle kroki, z głuchym łoskotem padać będą ciskane na ziemię tornistry i karabiny, wyczerpani żołnierze zaczną zrzucać z nóg, na skraju drogi, obuwie i odwijać szmaty z obolałych stóp) i powie: „Miałeś rację, obywatelu Rondo; daj mi swój projekt konstytucji, udziel mi rad, których ani Dyktoriał, ani Konsulat, ani Cesarstwo nie chciały słuchać; zaczniemy od początku, wzniesiemy na nowo Drzewo Wolności, ocalimy Wszechświatową Oj-

czyzną!". Takie były zapewne sny i nadzieje Cosima.

Zamiast tego, pewnego dnia na drodze artyleryjskiej ukazały się trzy postacie, wlokące się mozolnie od wschodu. Jeden z tych ludzi, kulawy, podpierał się szczudłem, drugi miał głowę owiniętą szmatami na kształt turbana, trzeci, najmniej poszkodowany, miał tylko czarną przewiązkę na oku. Spłowiałe łańchmany, jakie mieli na sobie, strzępy szamerunków na piersiach, bermyce bez wierzchów, ale ze sterczącą jeszcze u jednej z nich kitą, wysokie cholewy zdartych butów - wszystko to wskazywało na przynależność do Gwardii Cesarskiej. Broni nie mieli: jeden tylko włókł za sobą pustą pochwę szabli, drugi niósł na ramieniu lufę karabinu, niby kij, z zawieszonym tobołkiem jakichś rzeczy. Idąc podśpiewywali: *De mon pays. De mon pays... De mon pays...* - w kółko, jak pijacy.

- Hej, cudzoziemcy! - krzyknął ku nim mój brat. - Kto jesteście?

- Patrz no, co za ptaszek! Co tam robisz? Dziobiesz ziarnka z szyszek?

A inny: - Co? Szyszki nam chcą dawać? Tacyśmy wygłodniali, a tu chcą, żebyśmy żarli szyszki?

- A to pragnienie! To pragnienie, które nas dręczy, odkąd nałykaliśmy się śniegu!

- Jesteśmy trzeci pułk huzarów!

- W komplecie!

- Wszystko, co z niego zostało!

- Trzech na trzystu: to nie fraszka!

- Co tam! Ja się wymigałem, reszta mnie nie obchodzi.

- Ale, nie bądź taki pewny, jeszcześ skóry do domu nie doniósł.

- A bodaj cię diabli!

- Jesteśmy zwycięzcy spod Austerlitz!

- I niedobitki spod Wilna! Radujmy się!

Do mego kraju rodzinnego.

- Powiedz no, ty ptaku gadający, gdzie jest jaka karczma w tych stronach?

- Wysusziliśmy beczki z połowy Europy, a pragnienie wciąż nas pali!

- To dlatego, żeśmy podziurawieni przez kule, wino ucieka.
- Podziurawiony to ty jesteś!
- Słuchaj no, karczma, i żeby nam dali pić na kredyt!
- Zapłacimy innym razem!
- Napoleon zapłaci!
- Ba!...
- Zapłaci car! Idzie za nami: z rachunkiem zgłóście się do niego!

Cosimo rzekł:

- Wina tu nie mamy, ale trochę dalej jest strumień, tam będziecie mogli ugasić pragnienie.

- Utop się w swoim strumieniu, puszczyku!

- Żeby nie był zgubił karabinu w Wiśle, już bym cię tu ustrzelił i upiekł na różnie jak drozda!

- Zaczekajcie! Ja tam idę do tego strumienia, zamoczyć nogę, bo mnie piecze...

- A umyj sobie i tyłek, jak chcesz... Ostatecznie poszli jednak do strumienia wszyscy trzej, moczyć obolałe nogi, umyć twarze i poprać swoje łachmany. Mydło dał im Cosimo, należał bowiem do tych, którzy na starość stają się schludni, zaczynają brzydzić się własnym brudem, którego za młodu nie dostrzegali; toteż zawsze miał przy sobie mydło. Świeża woda ochłodziła nieco zadziorność trzech weteranów; ale razem z zadziornością przygasła też ich wesołość, powrócił smutek, wzdychali i jęczeli nad swoim losem. A znów w tej żałości czysta woda stała się pewną pociechą; rozkoszując się nią, przyspiewywali swoje: „*De mon pays... De mon pays...*”

Cosimo wrócił na swój punkt obserwacyjny nad drogą. Usłyszał tętent koni. Wzniesając tuman kurzu przygalopował oddział konnicy. Mieli dziwne, nigdy nie widziane mundury, pod ciężkimi czapami widniały jasnowłose, brodate twarze, trochę jakby przypłaszczone, o przymrużonych zielonkawych oczach. Cosimo ukłonił się kapeluszem.

- Jaki pomyślny wiatr was przywiał, kawalerowie?

Zatrzymali się.

- *Zdrastwuj!* Powiedz, *batiuszka*, daleko jeszcze?

- *Zdrastwujtie*, żołnierze - odpowiedział Cosimo, który liznął po trochu wszystkich języków, nie wyłączając rosyjskiego, - *Kuda wam?* Dokąd chcecie dojechać?

- Tam, dokąd ta droga prowadzi...

- Cóż, ta droga prowadzi do wielu różnych miejsc... A wy dokąd jedziecie?

- W *Pariz*.

- No, do Paryża są inne, dogodniejsze drogi.

- *Niet, nie w Pariz. Wo Francju, za Napoleonom. Kuda wiedot eta doroga?*

- W różne miejsca: *Olivabassa, Sassocorto, Trappa?*

- *Kak? Aliviabassa? Niet, niet.*

- Cóż, jak się chce, można dojechać i do Marsylii...

- W *Marsel... da, da, Marsel...* Francja...

- A po co wy jedziecie do Francji?

- Napoleon przyszedł wojować z naszym carem, a teraz nasz car goni Napoleona.

- Skąd jedziecie?

- *Iz Charkowa. Iz Kijewa. Iz Rostowa.*

- No, to widzieliście piękne miasta? A gdzie wam się lepiej podoba? Tu u nas czy w Rosji?

- Czy piękne miasta, czy brzydkie, nam się podoba Rosja.

Znowu galop, tuman kurzu, pod drzewem zatrzymał się koń z oficerem na siodle. Oficer krzyknął na kozaków:

- *Won! Marsz! Kto wam pozwolił ostanowitsia?*

- *Do swidanija, batiuszka!* - pożegnali Cosima żołnierze. - Nam pora... - i ruszyli galopem.

Oficer został u stóp pinii. Był wysoki, smukły, twarz miał szlachetną i smutną.

Podniósł odkrytą głowę ku zasnutemu lekkimi obłokami niebu.

- *Bonjour, monsieur* - odezwał się do Cosima - *vous connaissez notre langue?*

- *Da, gospodin oficer* - odpowiedział mój brat - *mais pas mieux que vous le francais, quand meme.*

- *L'tes-vous lin habitant de ce pays? Etiez-vous ici pendant qu'il y avait Napoleon?*

- *Oui, monsieur officier.*

- *Comment ca allait-il?*

- *Vous savez, monsieur, les armees lont toujours des degats, quelles que soient les idees qu'elles apportent.*

- *Oui, nous aussi nous taisons beaucoup de degats... mais nous n'apportons pas d'idees...*

Był melancholijny i niespokojny, a przecież był zwycięzcą. Cosimo poczuł do niego sympatią i chciał go jakoś pocieszyć:

- *Vous avez vaincu!*

- *Oui. Nous avons bien combattu. Tres bien. Mais peut-etre...*

Dał się słyszeć wrzask, odgłos upadku, szczęk broni.

- Kto tam? - krzyknął oficer. Wrócili kozacy, wlokąc za sobą po ziemi półnagie ciała, a w rękach, lewych (prawe dzierżyły krzywe szable, obnażone i - ach, tak! - ociekające krwią) nieśli coś, co okazało się brodatymi głowami owych trzech huzarów-pijusów.

- *Francuzy! Napoleon! Wszyscy porznięci!*

Młody oficer sucho i zwięźle kazał im to zabrać. A potem przemówił znowu do Cosima.

- *Vous voyez... La guerre... I y a plu-sieurs annes que je lais le mieux que je puis une chose afireuse: la guene... et tout cela pour des ideals que je ne saurais presque expliquer moi-meme...*

- Ja także - odparł Cosimo - żyję od wielu lat dla ideałów, których nie umiałbym wyjaśnić nawet sobie samemu: *mais je fais une chose tout a fait bonne: je vis dans les arbres.*

Oficer z melancholijnego stał się naraz nerwowy.

- *Alors* - powiedział - *je dois m'en aller*. - Oddał ukłon wojskowy. - *Adieu, monsieur... Quel est votre nom?*

- *Le baron Cosme de Rondeau* - krzyknął za odjeżdżającym Cosimo. - *Pioszczaj-lie, gospodin... Et le votre?*

- *Je suis le prince Andriej...* - galop konia zagłuszył nazwisko.

XXX

Nie wiem doprawdy, co nam przyniesie ten wiek dziewiętnasty, który zaczął się źle, a im dalej, tym staje się gorszy. Nad Europą ciąży cień Restauracji; wszyscy nowatorzy - czy to jakobini, czy bonapartyści - zostali pogiębieni; absolutyzm i jezuci są znowu górą; ideały młodości, blaski i nadzieje naszego osiemnastego stulecia - wszystko to jest już tylko popiołem.

Powierzam swoje myśli temu zeszytowi, inaczej nie umiałbym ich wyrazić: byłem zawsze człowiekiem statecznym, bez wielkich porywów i gwałtownych pragnień, ojcem rodziny i szlachcicem, raczej światłym i posłusznym prawom. Ekscesy polityczne nigdy się na mnie zbyt mocno nie odbiły i tuszę, że tak będzie i nadal. Ale w duszy ileż smutku!

Dawniej było inaczej, był mój brat. Mówiłem sobie: „On myśli za nas obu” - i żyłem sobie spokojnie. Oznaką wielkiej zmiany było dla mnie nie przyjsie wojsk austriackich i rosyjskich, nie aneksja Piemontu ani nowe podatki, ani czy ja wiem co jeszcze, lecz to, że kiedy otworzyłem okno, nie widziałem go już na żadnym wierzchołku drzewa. Teraz, kiedy już go nie ma, wydaje mi się, że powinien bym pomyśleć o tylu różnych rzeczach - o filozofii, polityce, historii; czytam gazety i książki, łamię sobie nad nimi głowę, ale tego, co on mógłby powiedzieć, tam nie ma; on myślał o czymś, co by obejmowało wszystko, o czymś, czego nie można powiedzieć słowami, lecz tylko żyjąc tak, jak on żył. Tylko będąc tak nieubłaganie sobą, jak on był aż do śmierci, mógł dać coś z siebie wszystkim ludziom.

Pamiętam jego chorobę. Dowiedzieliśmy się o niej stąd, że przeniósł swoje posłanie na wielkie drzewo orzechowe pośrodku rynku. Dawniej, wiedziony instynktem leśnego zwierza, trzymał zawsze w ukryciu miejsca, w których sypiał. Teraz natomiast czuł potrzebę przebywania stale na oczach ludzi. Mnie na ten widok ścisnęło się serce: nieraz myślałem o tym, że ciężko by mi było umierać w samotności; może więc

ta zmiana była oznaką bliskiego końca? Posłaliśmy mu lekarza, dostał się do niego po drabinie. Zszedłszy skrzywił się i rozłożył bezradnie ręce.

Z kolei ja wszedłem na drabinę.

- Cosimo - liczysz już sobie sześćdziesiąt pięć lat, czy podobna, żebyś jeszcze nadal żył na drzewach? Co chciałeś nam powiedzieć, to już powiedziałeś, a myśmy zrozumieli. Okazałeś wielką siłę ducha, dokonałeś tego, coś zamierzył, teraz możesz zejść.

Toż i dla tych, co całe życie spędzili na morzu, przychodzi na koniec chwila, kiedy pora im zejść na ląd.

Ale cóż? Machnął tylko ręką na znak, że nie. Nic już prawie nie mówił. Wstawał czasem, otulony derką aż po głowę, i sadowił się na gałęzi, tak żeby zażyć trochę słońca. Dalej już nie chodził. Pewna staruszka z ludu, poczciwa dusza (kto wie, może jego niegdyś kochanka?), chodziła robić koło niego porządek i zanosila mu ciepłą strawę. Stale teraz oparta była o pień drabina, bo często zachodziła potrzeba dopomożenia mu w czymś, no i na wypadek, gdyby zdecydował się wreszcie zejść na dół. Co do tego zresztą żywili nadzieję inni, nie ja, który znałem dobrze jego charakter. Dokoła drzewa, na placu gromadzili się wciąż ludzie; dotrzymywali mu towarzystwa gawędząc między sobą, nieraz też zwracali się z czymś do niego, choć wiadomo było, że zupełnie stracił chęć do rozmowy.

Przyszło pogorszenie. Wciągnęliśmy na drzewo łóżko i umocowaliśmy starannie, a on chętnie się na nim położył. Poczulem wyrzuty sumienia, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Prawdę mówiąc, przeciwko wszelkim udogodnieniom Cosimo nigdy się nie wzbraniał; pod tym jednym warunkiem, żeby to było na drzewach, starał się zawsze urządzać jak najwygodniej. Toteż teraz staraliśmy się dać mu wszystko, co mogło mu się przydać: maty osłaniające go od wiatru, baldachim, kociołek z żarem. Kiedy mu się trochę polepszyło, umieściliśmy między dwoma konarami fotel: spędzał na nim całe dni, otulony kołdrami.

Pewnego ranka nie było go widać ani w łóżku, ani w fotelu. Rozejrzeliśmy się, zatrwożeni: wdrapał się na sam wierzchołek drzewa i siedział okrakiem na bardzo wysokiej gałęzi, w samej tylko koszuli.

- Co tam robisz?

Nie odpowiedział. Był zdrętwiały, zdawało się, że cudem tylko utrzymuje się tam na górze. Przygotowaliśmy wielkie prześcieradło, takie, jakich się używa przy zbiorze oliwek, i ze dwudziestu ludzi trzymało je, rozciągnięte, gdyż przypuszczaliśmy, że Cosimo lada chwila spadnie z drzewa.

Na razie udał się do niego lekarz. Niełatwa to była sprawa, trzeba było związać razem dwie drabiny, jedną nad drugą. Lekarz zszedł, mówiąc: „Niech pójdzie ksiądz”.

Z dawna już ułożyliśmy, że spróbuje niejaki don Pericle, przyjaciel Cosima, ksiądz zaprzysiężony za czasów Francuzów; należał niegdyś do masonerii, kiedy jeszcze nie było to księżom wzbronione, a ostatnio, po wielu perypetiach, biskup przywrócił mu jego dawną funkcję. Wdrapał się po drabinie w asyście ministranta, w kapłańskich szatach i z cyborium. Był dość długo, wyglądało na to, że rozmawia z chorym, wreszcie zszedł na dół.

- No i jak, przyjął sakramenty, don Pericle?

- Nie, nie, ale powiada, że tak lepiej, że dla niego to lepiej. - Nic więcej nie udało się z księdza wydobyć.

Ludzie trzymający prześcieradło zmęczeni już, a Cosimo tkwił wciąż na wierzchołku bez ruchu. Zerwał się wiatr południowy, drzewo kołysało się mocno, czekaliśmy w gotowości. I właśnie wtedy na niebie ukazał się balon.

Jacyś Anglicy robili na wybrzeżu doświadczenia z balonem. Balon był wspaniały, suto przybrany sznurami, frędzlami, kokardami, pod nim zwisała wiklinowa łódeczka, a w niej dwóch oficerów w złocistych epoletach i stosowanych kapeluszach obserwowało teren przez lunetę. Skierowali właśnie lunetę na plac, bacznie przyglądając się człowiekowi na drzewie, rozpostartemu prześcieradłu, tłumowi widzów - tym

wszystkim niezwykłym rzeczom. Cosimo także podniósł głowę i przyglądał się uważnie balonowi.

Nagle balon, porwany nagłym podmuchem wiatru, zaczął kręcić się jak fryga i pomykać wirującym ruchem ku morzu. Załoga nie tracąc głowy zaczęła - o ile się nie myłę - zmniejszać ciśnienie powietrza w balonie, jednocześnie odwijając sznur kotwicy, by spróbować o coś ją zaczepić. Srebrzysta kotwica kołysała się na tle nieba, u końca długiej liny, i w ślad za wirującym ruchem balonu sunęła właśnie nad placem, mniej więcej na wysokości wierzchołka orzecha, aż zląkłem się, czy nie potrąci Cosima. Ale tego, co za chwilę miały ujrzeć nasze oczy, nikt z nas nie przewidział.

Konający Cosimo, w chwili kiedy lina kotwiczna przelatowała tuż obok niego, wykonał skok niemal tak zwinny jak za lat młodości, uczeplił się liny, skulony, nogami opierając się o kotwicę, i w takiej postaci zobaczyliśmy go, jak unoszony wiatrem, wcale, zdawało się, nie hamując szybkości balonu, znika w przestworzu...

Balon przeleciał nad zatoką i wylądował na przeciwległym jej brzegu. Ale u końca liny wisiała jedynie kotwica. Aeronauci, pochłonięci wysiłkiem utrzymania właściwego kierunku, nic nie spostrzegli. Według wszelkiego prawdopodobieństwa umierający starzec spadł, kiedy balon przelatował nad morzem.

Tak zniknął Cosimo, nie dając nam nawet tej pociechy, jaką byłby jego powrót na ziemię chociażby po śmierci. W grobowcu rodzinnym płyta poświęcona jego pamięci nosi napis: „Cosimo Piovasco di Rondo - Żył na drzewach - Kochał zawsze ziemię. - Wzniósł się do nieba”.

Raz po raz przerywam pisanie i podchodzę do okna. Niebo jest puste, a nam, starym mieszkańcom Ombrosy, którzy przywykliśmy żyć w cieniu zielonych koron drzew, przykry jest ten widok, wprost razi nasze oczy. Można by rzec, że drzewa nie przetrwały odejścia mego brata albo że ludzi opanowało istne szaleństwo siekiery. Zmienił się też charakter roślinności: nie ma już dębów ostrolistnych, wiązów, dębów wieczniezielonych; teraz Afryka, Australia, obie Ameryki i Indie wyciągają aż tu do nas

korzenie i ramiona. Dawna roślinność cofnęła się wyżej: na wzgórzach pozostały oliwki, w lasach górskich - pinie i kasztanowce. Niżej na wybrzeżu - istna Australia czerwieni się eukaliptusami, pełna podobnych do słoni fikusów, drzew ogrodowych i samotniczych. I palmy, palmy o rozczochranych czubach, niegościnne drzewa pustyni.

Cienista Ombrosa już nie istnieje. Patrząc na ogołoczone niebo zadaję sobie pytanie, czy kiedyś rzeczywiście istniała? Może cała ta gmatwanina gałęzi i liści, rozwidleń, zielonych kopuł i pióropuszy, misterna a bezkresna, i te nieregularne wycinki nieba, gdzieś widoczne - może wszystko to istniało tylko dlatego, że mój brat przemykał się tam lekko jak ptak; może był to zaledwie haft na pustce, podobny do tej cieniutkiej nitki atramentowej, którą pokrywam karty tego zeszytu, ślad pełen skreśleń, dopisków, nerwowych gryzmołów i kleksów, plam i pustych miejsc; pismo chwilami duże i wyraźne jak winne jagody, chwilami gęste, drobniutkie, podobne do małych nasionek; to kurczące się w sobie, to wybiegające naprzód, łączące poszczególne części zdań konturem podobnym do liści czy obłoków; potyka się, podrywa znowu, zawraca i biegnie aż po ostatnią, pozbawioną już sensu kłódkę słów, myśli i majaków - aż do końca.

Luty, 1957